NATIONAL GEOGRAPHIC EXTRA | NR 01(30)/2026 | Cena 29,99 zł (w tym 8% VAT)

INSPIRUJĄCY
PRZEWODNIK
DLA KAŻDEGO

NATIONAL GEOGRAPHIC
TRAVELER

AZJA 30
NAJPIĘKNIEJSZYCH MIEJSC

INDONEZJA | MALEZJA | CHINY | LAOS | NEPAL | SRI LANKA | UZBEKISTAN | OMAN | KOREA

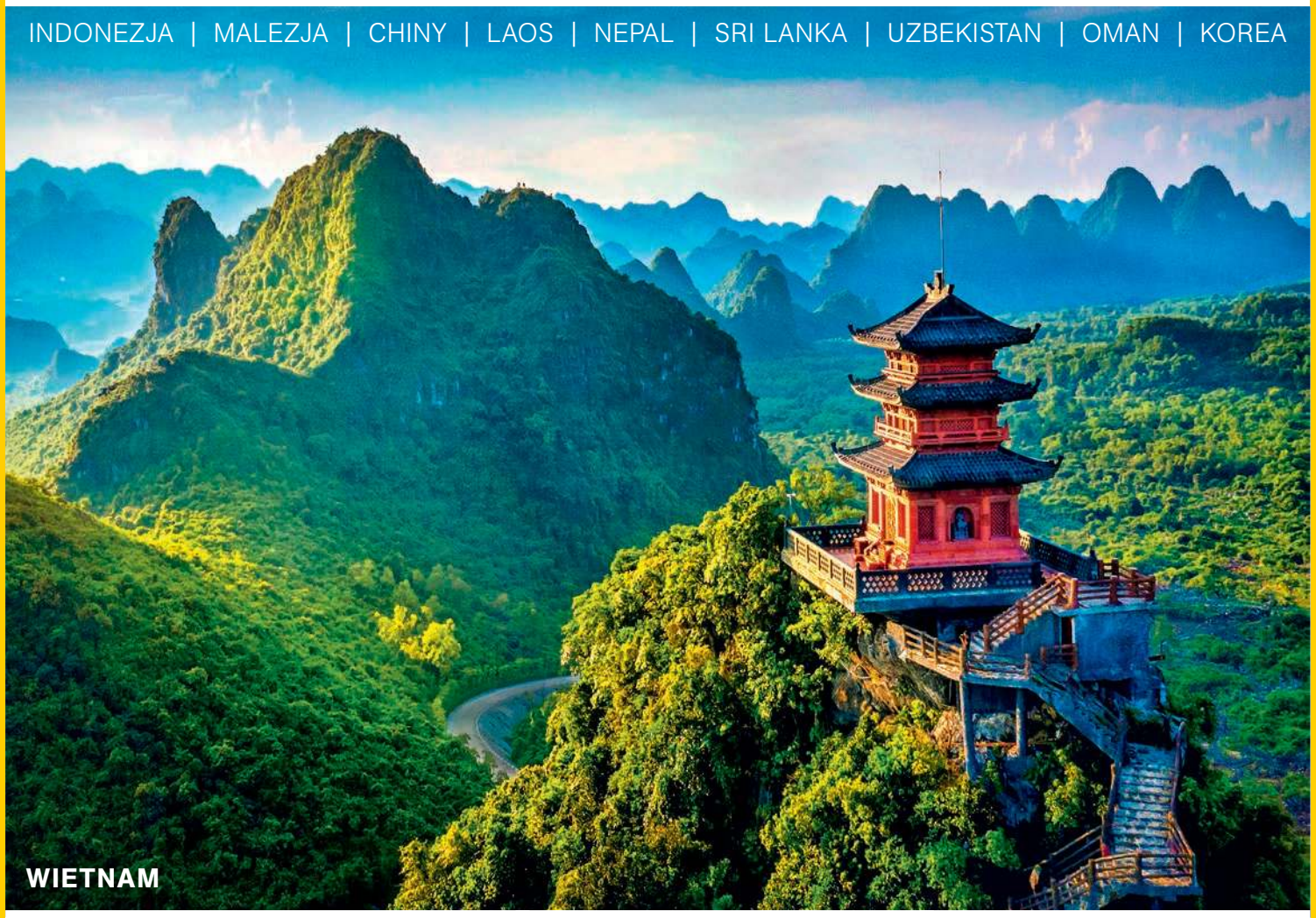

WIETNAM

ISSN 2450-1247
01
9 772450 124605

INDIE

JORDANIA

TAJLANDIA

eprasa.pl 9d6ea83e6a

JUŻ W SPRZEDAŻY!

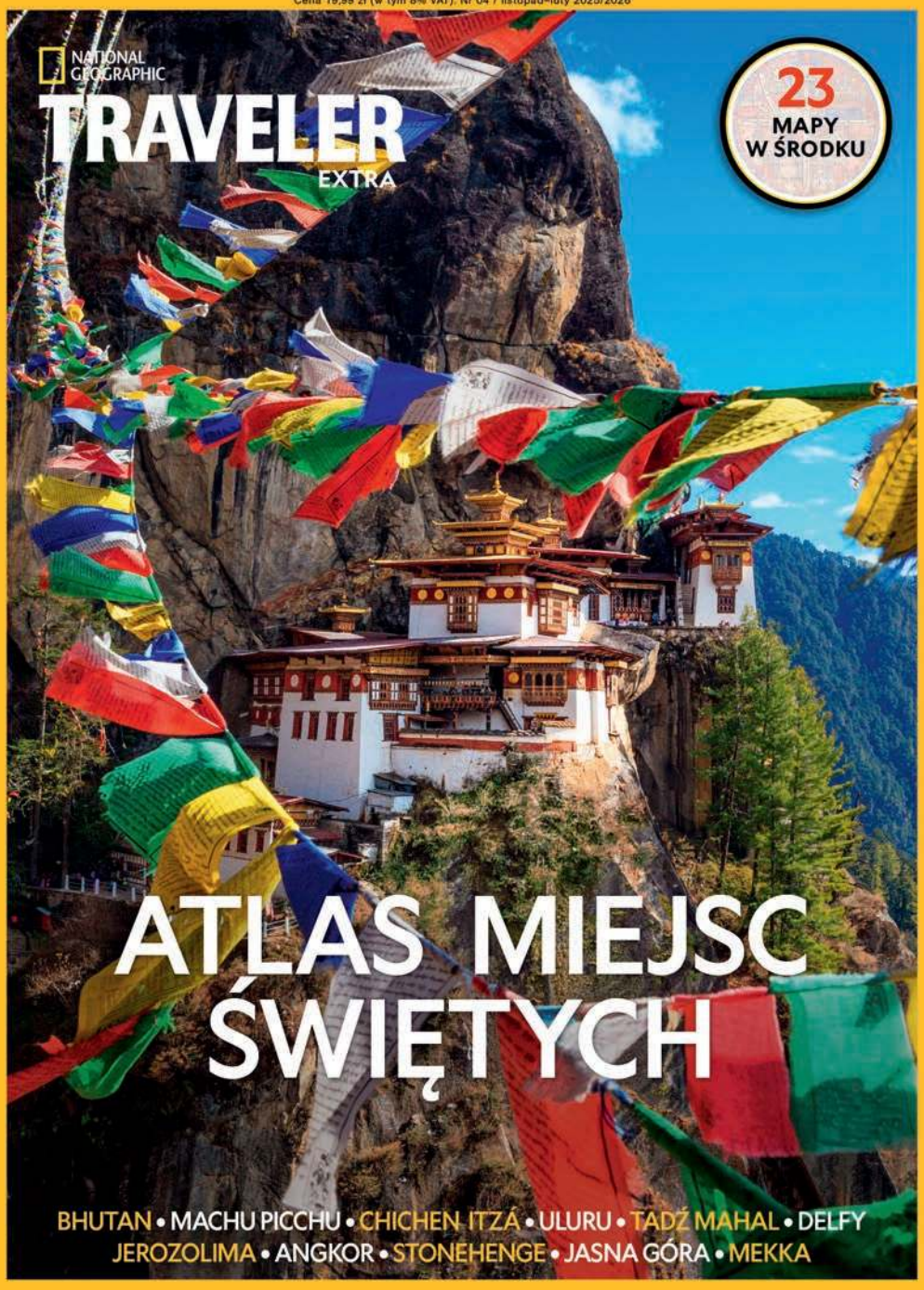

Zamów magazyn na kultowy.pl

www.national-geographic.pl natgeopl

Ulica Khaosan w Bangkoku, centrum świata backpackerów, to miejsce, w którym zaczyna się przygoda.

Khaosan Road budzi się do życia, gdy tylko gaśnie słońce. Ta niepozorna ulica jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przeobraża się w rozrywkowe serce Bangkoku. Rozbłyska milionami kolorowych lampek, których girlandy zwisają nad głowami niczym wibrujące baldachimy, dekorując restauracje, sklepy i nocne kluby. Zewsząd dobiega muzyka: hip-hop, reggae, pop, a że każdy tu słucha czegoś innego, i to na cały regulator, ten harmider jest nie do opisania, ale ja go po prostu uwielbiam. Salony masażu z powystawianymi na zewnątrz leżakami mieszają się z salonami tatuażu i piercingu. Obok nich można pomalować dłonie i stopy henną, przedłużyć włosy czy rzęsy. Te z kolei sąsiadują ze szwalniami obiecującymi uszycie garnituru na miarę w ciągu zaledwie jednego dnia. A do tego wszechobecne, nie do pominięcia stragany na kółkach. Prawdziwa esencja azjatyckiej ulicy, a Bangkok to przecież światowa stolica street foodu.

Zewsząd atakuje nas jedzenie w niesamowitej różnorodności: świeżo wyciskane soki, słodkie, smażone w cieście banany, a dla odważnych tarantule i inne owady. Niektórzy odnajdują się na skąpanych słońcem plażach Ameryki Łacińskiej, wspinają się na góry w Ameryce Północnej czy wpadają w trans afrykańskiej sawanny, oddając hołd jej pierwotnemu pięknu. Choć każdy z tych kierunków jest wyjątkowy, kiedy jednak zbliżają się wakacje, moje myśli niemal automatycznie biegną w kierunku Azji. Być może wynika to z niesamowitej łatwości podróżowania, ze smaku ulicznego jedzenia, niezliczonych i różnorodnych atrakcji, jakie tam na nas czekają. A może z pewności, że mogę liczyć na ten ciepły i niewymuszony uśmiech mieszkających tam ludzi. Cieszę się więc, że w tym wydaniu specjalnym *Travelera* zapraszamy Was do Azji, może również dla Was jest ona, albo stanie się, celem kolejnej, zainspirowanej przez nas podróży.

Agnieszka Frenus

SHUTTERSTOCK

NA OKŁADCE:
WIETNAM: ADOBE STOCK,
INDIE: SHUTTERSTOCK,
JORDANIA: SHUTTERSTOCK,
TAJLANDIA: ADOBE STOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

KAZACHSTAN

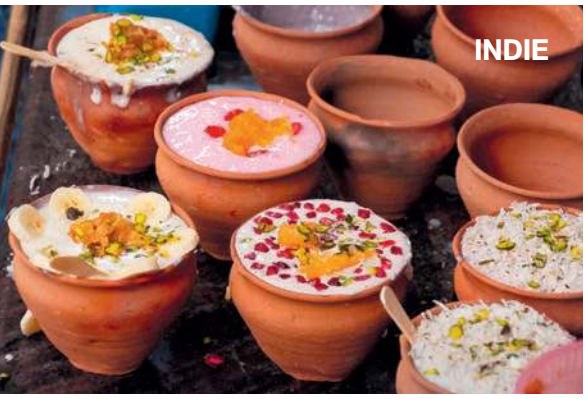
INDIE

LAOS

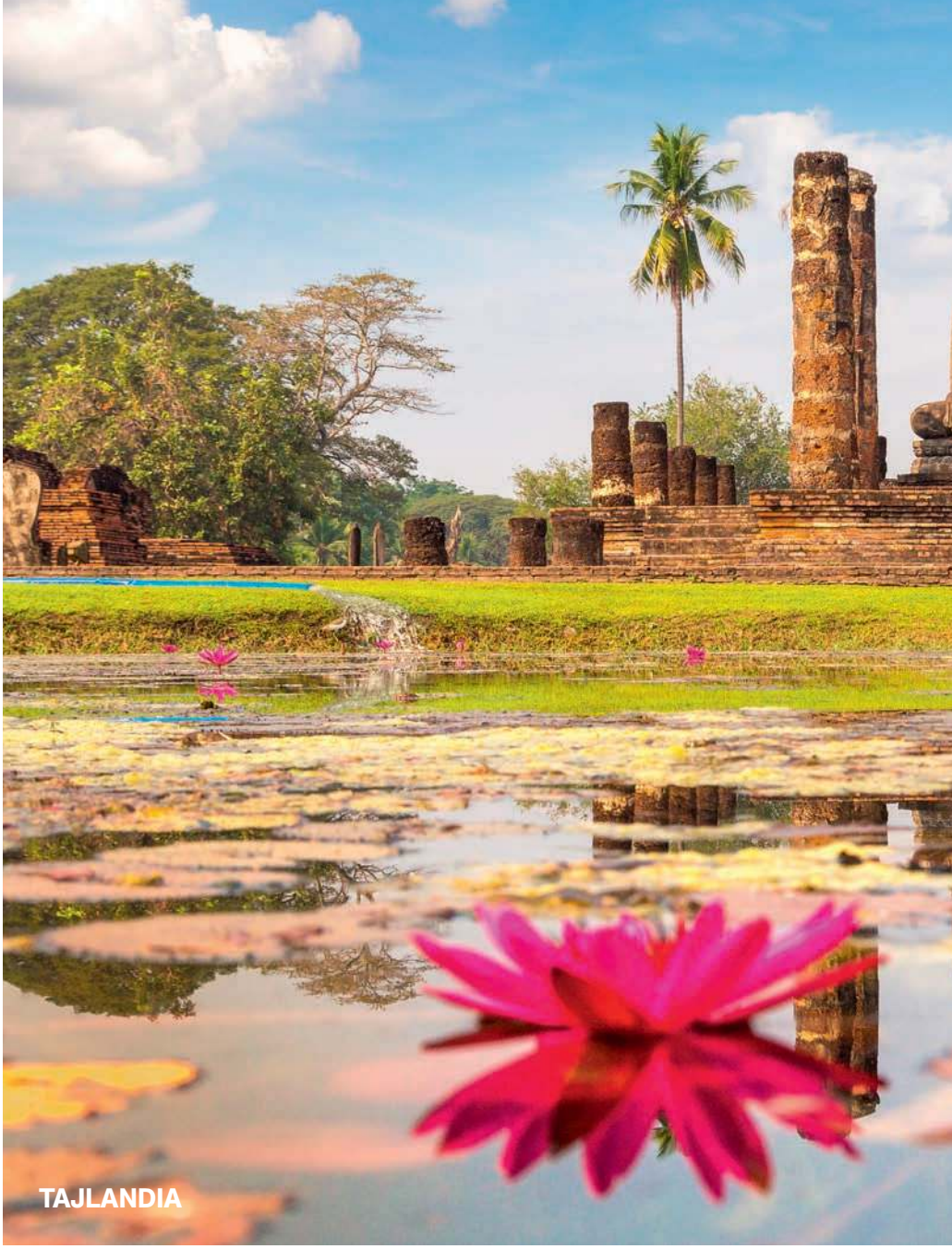
TAJLANDIA

SPIS TREŚCI

AZJA

8 **WIETNAM**
Zjawiskowe plaże, wapienne ostańce i rozrywkowy Sajgon

18 **PUSAN**/KOREA PD.
Przyciąga wspaniałą kuchnią, łaźniami i filmowym festiwalem

24 **PARK NARODOWY JIRISAN**/KOREA PD.
Tutejsze góry uważane są za święte

26 **LAOS**
Pociągiem z Wientianu do Luang Prabang

34 **TAJLANDIAPÓŁNOCNA**
Stworzona jest dla łowców przygód

42 **INDONEZJA**
W drodze na wulkan Rinjani

48 **KUALA LUMPUR** /MALEZJA
Tutaj futurystyczne wieżowce splatają się z aromatami ulicznych targów i wielokulturowym rytmem miasta

56 **JUNNAN**/CHINY
Trekking Wąwozem Skaczącego Tygrysa

58 **ANNAPURNA**/NEPAL
Pieszo przez najpiękniejsze miejsca w Himalajach

68 **EVEREST**/NEPAL
Trekking do bazy pod najwyższą górą świata

76 **KERALA**/INDIE
Mieszkalną łodzią przez widowiskowe rozlewiska

82 **INDIE DUCHOWE**
Tu codzienność przenika się z mistycyzmem

92 **RADŻASTAN**/INDIE
W świecie królewskich miast i ogromnej pustyni

102 **BANGLADESZ**
Namorzynowe lasy, doskonała herbata i sympatyczni ludzie

eprasa.pl 9d6ea83e6a

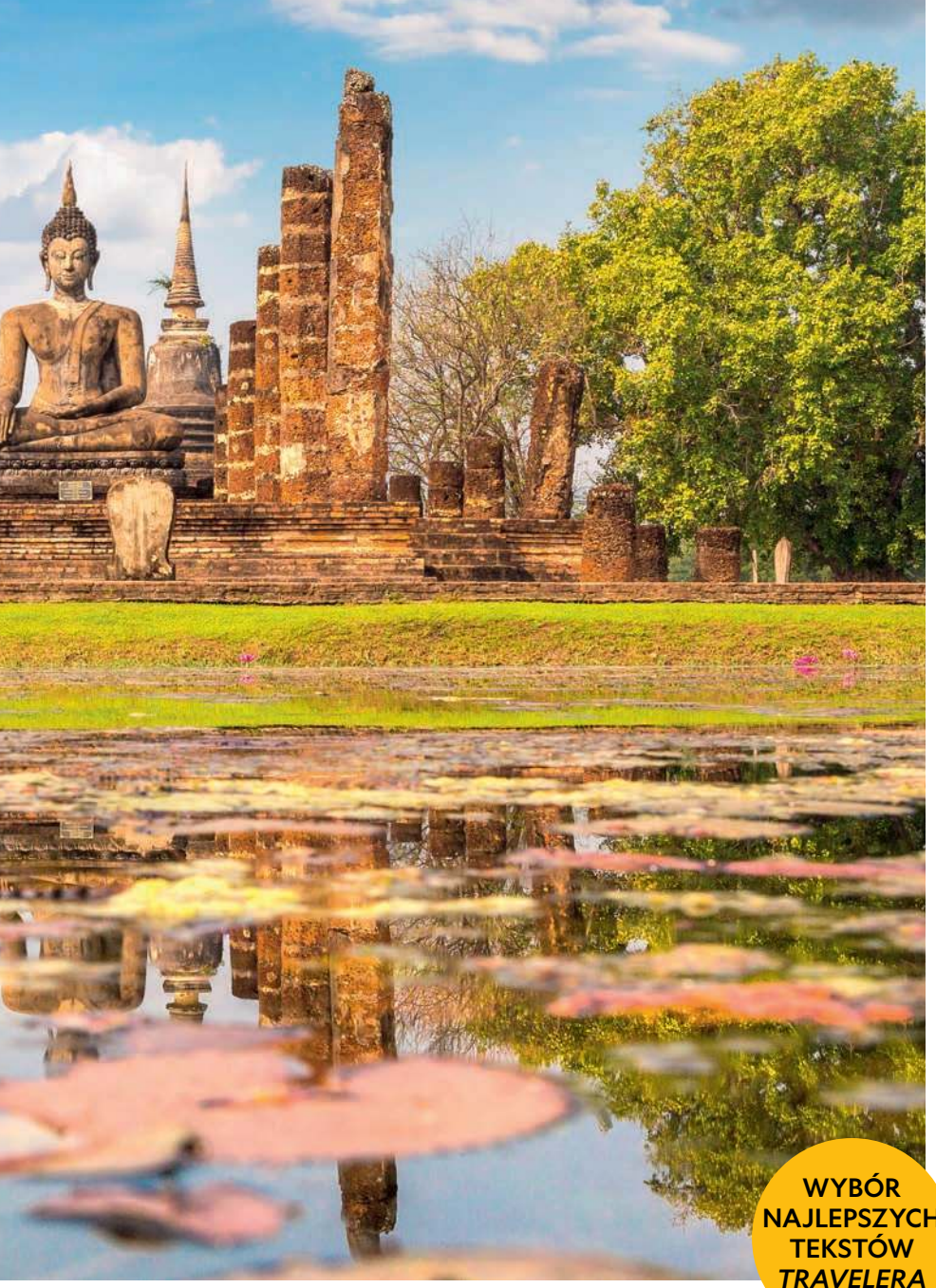

WYBÓR NAJLEPSZYCH TEKSTÓW *TRAVELERA*

112 WYSPA GOŁĘBI /SRI LANKA
Schronisko piratów i wielki złoty lew

118 DŻAFNA /SRI LANKA
Północna część wyspy Cejlon to kraina, która wciąż opiera się komercji

126 KIRGISTAN
Spanie w jurcie na pustkowiu i konny rajd z przygodami

136 UZBEKISTAN
Od zachwytu nad błękitnymi kopułami Samarkandy, przez tętniącą życiem Bucharę, aż po pustynną fortecę Chiwę

146 TADŻYKISTAN
Rowerem przez legendarny Korytarz Wachański

152 TURKMENISTAN
Surrealistyczne jezioro i wrota piekieł

160 OMAN
Zachwycające pałace i zielone oazy

168 JORDANIA
Petra i Dżarasz – dwie ekscytujące podróże w przeszłość

176 CZTERY ŚWIĘTE MIEJSCA
Pałac Potala, Wat Tham Suea, Jay Sri Maha Bodhi, Izumo-taisha

SHUTTERSTOCK (3), ADOBE STOCK

NATIONAL GEOGRAPHIC
TRAVELER

ng@burdamedia.pl
www.national-geographic.pl

REDAKTOR NACZELNY **ŁUKASZ ZAŁUSKI**
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO / DYREKTOR ARTYSTYCZNA **AGNIESZKA FRANUS**
REDAKTOR PROWADZĄCY / SEKRETARZ REDAKCJI **MICHAŁ CESSANIS**
REDAKTOR PROWADZĄCY **MACIEJ WESOŁOWSKI**
GRAFIK PROWADZĄCA **WIOLETTA WIŚNIEWSKA**
FOTOEDYTORZY **TERESA TULEJA, ROMAN TUROS**
GRAFIK **KRZYSZTOF STYPUŁKOWSKI**
KARTOGRAFKA **JOANNA KOPKA**
KOREKTOR **TOMASZ CHOLAŚ**

ZESPÓŁ:
REDAKTOR **AGNIESZKA MICHALAK,** REDAKTORZY ONLINE **MAGDALENA RUDZKA, SABINA ZIĘBA, JONASZ PRZYBYŁ, SZYMON ZDZIEBŁOWSKI**

WSPÓŁPRACOWNICY
DZIENNIKARZE **BARBARA ŻUKOWSKA, AGNIESZKA BIELECKA, BARTEK KAFTAN, JULIA ZABRODZKA, MICHAŁ GŁOMBIOWSKI, PAWEŁ KEMPA, KATARZYNA KACHEL, JOANNA LAMPARSKA, ZUZANNA O'BRIEN, WIKTORIA MICHAŁKIEWICZ, RADOSŁAW ŻYDONIK, JAKUB RYBICKI, PIOTR MILEWSKI, SERGIUSZ PINKWART, MAGDALENA RUDZKA, MATEUSZ WALIGÓRA, OLGA DĘBICKA**
FOTOGRAFOWIE **TOMASZ TOMASZEWSKI, MAREK ARCIMOWICZ, PAWEŁ MŁODKOWSKI, MIKOŁAJ NOWACKI, MARCIN DOBAS, ADAM BRZOZA**

PATRONATY MEDIALNE **patronaty-ng@burdamedia.pl**
REDAKCJA ONLINE **NG@BURDAMEDIA.PL**
REDAKTOR PROWADZĄCY **JAN STRADOWSKI**
STRONA INTERNETOWA **WWW.NATIONAL-GEOGRAPHIC.PL**

Wydawca czasopisma National Geographic Traveler ostrzega P.T. sprzedawców, że sprzedaż aktualnych i archiwalnych wydań magazynu po cenie innej niż wydrukowana na okładce jest działaniem na szkodę Wydawcy i grozi odpowiedzialnością sądową.

BurdaMedia Polska

WYDAWCA
BURDA MEDIA POLSKA SP. Z O.O., CZŁONEK IZBY WYDAWCÓW PRASY, UL. MARYNARSKA 15, 02-674 WARSZAWA, TEL. (22) 360 39 09, WWW.BURDAMEDIA.PL

LICENCJOBIORCA **NATIONAL GEOGRAPHIC SOCIETY**

ZARZĄD
CHIEF EXECUTIVE OFFICER **MACIEJ KLEPACKI**
CHIEF OPERATING OFFICER **TOMASZ JAŻDŻYŃSKI**

REKLAMA
BIURO.REKLAMY@BURDAMEDIA.PL
SALES DIRECTOR MULTIMEDIA LUXURY & LIFESTYLE **MAŁGORZATA GURBAŁA**
LUXURY & PEOPLE TEAM LEADER **EWELINA DORDA**
ZESPÓŁ **DOMINIKA CHOJNOWSKA, ANNA URBANIAK**
KOORDYNATOR WYDANIA **EDYTA BRZEZICKA**

DZIAŁ MARKETINGU
DIRECTOR MARKETING LUXURY & LIFESTYLE **MAŁGORZATA NOCUŃ-ZYGMUNTOWICZ**
BUSINESS ANALYST AND DEVELOPMENT MANAGER **EDYTA PIECYK**
BRAND MANAGER **WIKTORIA BUGAŁA**

PRODUKCJA
DYREKTOR PRODUKCJI **KRZYSZTOF KRASZEWSKI**

DYSTRYBUCJA
DYREKTOR DYSTRYBUCJI I PRENUMERATY **TOMASZ KAŁUŻA**

PRENUMERATA I SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA
CUSTOMER SERVICE COORDINATOR **MARIOLA BURDECKA**
BIURO OBSŁUGI KLIENTA, UL. MARYNARSKA 15, 02-674
WARSZAWA, INFOLINIA TEL: (22) 360 39 09 (PON.-PT. GODZ. 9.00–17.00),
E-MAIL: BOK@BURDAMEDIA.PL,
NUMER RACHUNKU DO WPŁATY ZA PRENUMERATĘ: ING 04 1050 0086 1000 0090 3172 2706

Copyright © 2016 National Geographic Partners, LLC. All rights reserved. National Geographic Traveler: Registered Trademark ® Marca Registrada. National Geographic nie ponosi odpowiedzialności za materiały niezamówione.

NATIONAL GEOGRAPHIC SOCIETY
CHIEF EXECUTIVE OFFICER **DR. JILL TIEFENTHALERI**
SENIOR MANAGEMENT PRESIDENT AND CHIEF OPERATING OFFICER **MICHAEL L. ULICA**
CHIEF DIVERSITY, EQUITY, & INCLUSION OFFICER **SHANNON P. BARTLETT**
CHIEF COMMUNICATIONS, MARKETING, & BRAND OFFICER **CRYSTAL BROWN**
CHIEF HUMAN RESOURCES OFFICER **MARA DELL**
CHIEF SCIENCE & INNOVATION OFFICER **IAN MILLER**

NATIONAL GEOGRAPHIC
TRAVELER

EDITOR IN CHIEF **NATHAN LUMP**
EXECUTIVE MANAGING EDITOR **DAVID BRINDLEY**
EXECUTIVE CREATIVE DIRECTOR **PAUL MARTINEZ**
EXECUTIVE DIRECTOR, DIGITAL **ALISSA SWANGO**
EXECUTIVE DIRECTOR, MULTIPLATFORM CONTENT **MICHAEL TRIBBLE**

INTERNATIONAL EDITIONS
EDITORIAL DIRECTOR **AMY KOLCZAK**
EDITORIAL SPECIALIST **LEIGH MITNICK**

eprasa.pl 9d6ea83e6a

WYBIERZ SIĘ W POD

ZAMÓW PRENUMERATĘ JUŻ DZIŚ!

ROCZNA PRENUMERATA
MAGAZYNU TRAVELER
z dużym plecakiem
NG OCEAN (turkusowy)

591 zł

Cena regularna 12 magazynów TRAVELER i dużego plecaka **NG OCEAN** (50 litrów) poza prenumeratą wynosi **785 zł**

Otrzymujesz:

- **12 wydań** TRAVELERA
- duży plecak **NG OCEAN** (turkusowy)
- **Darmową dostawę do domu**

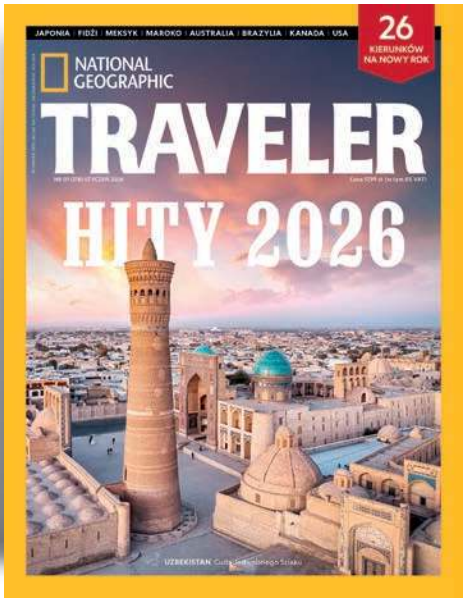

ROCZNA PRENUMERATA
MAGAZYNU TRAVELER

165 zł

Cena regularna 12 magazynów NG TRAVELER poza prenumeratą wynosi **215,88 zł**

Otrzymujesz:

- **12 wydań** TRAVELERA
- **Darmową dostawę do domu**

Zamów na **kultowy.pl** lub u Opiekuna Prenumeraty:

+48 22 360 39 09 **bok@burdamedia.pl**

eprasa.pl 9d6ea83e6a

RÓŻ Z TRAVELEREM

ROCZNA PRENUMERATA
MAGAZYNU TRAVELER
z walizką kabinową
NG CRUISE (burgund)

563 zł

Cena regularna pakietu 12 wydań Travelera i walizki kabinowej **NG CRUISE** poza prenumeratą wynosi **774 zł**

Otrzymujesz:

- **12 wydań** TRAVELERA
- walizkę kabinową **NG CRUISE** (burgund)
- **Darmową dostawę do domu**

PAKIET ROCZNYCH PRENUMERAT TRAVELER + TRAVELER EXTRA

195 zł

Cena regularna 12 wydań Travelera i 4 wydań Travelera Extra poza prenumeratą wynosi **295,84 zł**

Otrzymujesz:

- **12 wydań** TRAVELERA
- **4 wydania** TRAVELERA EXTRA
- **Darmową dostawę do domu**

Zamów na **kultowy.pl** lub u Opiekuna Prenumeraty:

+48 22 360 39 09 **bok@burdamedia.pl**

eprasa.pl 9d6ea83e6a

TEKST **MACIEJ WESOŁOWSKI**

WIETNAM

RZEKI WIJĄCE SIĘ WŚRÓD WAPIENNYCH OSTAŃCÓW, RAFY KORALOWE I RAJSKIE WYSPY. NATURALNE PIĘKNO TEGO KRAJU OSZAŁAMIA. I WCIĄŻ JEST MAŁO ZNANE ZA GRANICĄ.

Wpisany w 2014 r. na listę UNESCO rezerwat rzeki Trang An porównywany jest często z zatoką Ha Long. Widoki są równie wspaniałe.

Spokojna w dzień ulica Bui Vien w Ho Chi Minhie w nocy zamienia się w imprezowe centrum dawnego Sajgonu.

Na dzień dobry dwa wietnamskie klasyki: zupa pho i bagietka bánh mì nadziewana siekanym mięsem, ogórkiem, papryką, marchwią, chili i japońską rzodkwią. Do tego chili, majonez, tofu i kolendra. Trudno o lepszy początek dnia w Ho Chi Minh, mieście nadal powszechnie nazywanym Sajgonem. Taką nazwę ta ogromna metropolia oficjalnie nosiła jeszcze do roku 1976, a więc niedługo po zakończeniu wojny wietnamskiej. Potem powojenne władze Socjalistycznej Republiki Wietnamu zdecydowały się uczcić największego z narodowych bohaterów, twórcę współczesnego państwa – Ho Chi Minha właśnie. Ulica jednak wie swoje i nowej nazwy używa jedynie w sytuacjach formalnych. A Sajgon – jeśli chodzi o atmosferę i tożsamość – jest zdecydowanie nieformalny. To wprawdzie centrum biznesowe i najbogatsze miasto kraju, ale też niekwestionowana stolica wietnamskiej rozrywki. Mam okazję się o tym przekonać wieczorem na ulicy Bui Vien, która aż dudni od muzyki i tańca, a płynie nią szeroka fala lekkiego piwa i egzotycznych drinków. Oficjalnie mieszka tu 9 mln ludzi, ale w to akurat mało kto wierzy. Kolejne co najmniej 5 mln mieszkańców żyje tu na stałe, choć bez rejestracji. I to widać na ulicach. Ho Chi Minh jest wielkie, głośne, intensywne, chaotyczne. Fascynujące! Wciąż też – zarówno w architekturze, jak i w kuchni – czuć tu ducha dawnych francuskich Indochin. Bagietki, wołowina, wino, zupa cebulowa – w Azji to naprawdę nie są oczywiste potrawy, a w Sajgonie znajdziemy je bez najmniejszego trudu. A jeśli dodamy do tego największe architektoniczne perełki metropolii: postkolonialny budynek poczty i katolicką bazylikę katedralną Notre Dame z 1880 r., która silne skojarzenia z Paryżem budzi nie tylko ze względu na nazwę, to mamy wyraźny szkic do miejskiego obrazu. Na zabytkowej poczcie głównej dowiaduję się, że stąd do budynku poczty w stołecznym Hanoi jest równe 2 tys. km. Kawał drogi! Ale jeśli policzyć te wszystkie kilometry trasy meandrującym wybrzeżem, wyjdzie pewnie jeszcze z tysiąc więcej. Wzdłuż tego wybrzeża ruszamy już następnego dnia. Na północ.

Nie liczcie, że rozpoznacie wietnamskie banknoty po postaci. Twarz wodza Ho Chi Minha jest na każdym.

W wielu wietnamskich miastach spotkamy mobilnych sprzedawców owoców i warzyw, dla których kramem jest np. ich własny rower.

KRÓLESTWO DURIANU

Lecimy do Nha Trang. To średniej wielkości miasto w południowo-wschodnim Wietnamie, tuż przy

ADOBE STOCK (2), GETTYIMAGES, SHUTTERSTOCK, POPRZEDNIE STRONY ADOBE

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Kwiaty w Wietnamie mają często znaczenie symboliczne. Białe oznaczają czystość i niewinność.

Owoce morza, sajgonki, szaszłyki i dużo warzyw – to tylko niektóre z przysmaków wietnamskiej ulicy.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

WIETNAM
HO CHI MINH, NHA TRANG, NINH BINH

Zielone mogoty i wijąca się pomiędzy nimi rzeka Trang An to wielka atrakcja regionu Ninh Binh. W tej scenerii powstał niegdyś głośny hollywoodzki film: *King Kong: Wyspa czaszki*.

Chińska kaligrafia ma w Wietnamie bardzo długą tradycję. Jej początki szacuje się na II w. p.n.e.

morzu, oferujące masę turystycznych atrakcji. Na początek zwiedzamy świątynię hinduistyczną Po Nagar. Poświęcona jest bogini Yang Ino Po Nagar – wcieleniu popularnej w świecie hinduizmu Durgi, i istnieje w tym miejscu od VIII w. Prowadzą do niej strome schody, a na wzgórzu znajduje się cały kompleks świętych miejsc. Towarzyszą im drzewa agarowe, o których drewnie mawia się, że jest na wagę złota. Po Nagar postawili tutaj Czamowie, którzy niegdyś rządzili na tych terenach. Dziś to jedna z najciekawszych mniejszości narodowych Wietnamu. Są spokrewnieni z Malajami, w większości wyznają islam lub hinduizm. Od zakupów na bazarze w Nha Trang może się zakręcić w głowie. Tutejsze stragany przypominają kolorowy kalejdoskop. Suszone kalmary i ośmiornice, wieprzowe szaszłyki i wołowe potrawki. Paczki z pieprzem i torby z liczi. Rambutany i smocze owoce. Fistaszki i pistacje. Wreszcie potężne kawałki świeżych durianów w przykrytych folią pudełkach. Są kraje, gdzie ludzi z durianami nie wpuszcza się do autobusów czy wagonów metra. Zdaniem niektórych ich odór jest nie do zniesienia. Ale są i tacy, którzy ten zapach uwielbiają. A jeszcze dużo więcej takich, którzy przepadają za tą maślaną konsystencją i nieporównywalnym z niczym smakiem. Wietnamczycy w swojej większości bez wątpienia do nich należą. Durian jest tu wręcz hołubiony. Świeży i surowy, ale też suszony, w formie czipsów czy miękkich ciasteczek z fasolowym nadzieniem. Po intensywnym dniu czas na odpoczynek w Thap Ba – błotnym spa. Wchodzę do wanny wypełnionej rozpuszczoną w wodzie żółtawą glinką. Ten rozwór ma ponad 36 stopni,

Ulica Bui Vien w Ho Chi Minh słynie z dziesiątek barów i klubów nocnych z muzyką i tańcem.

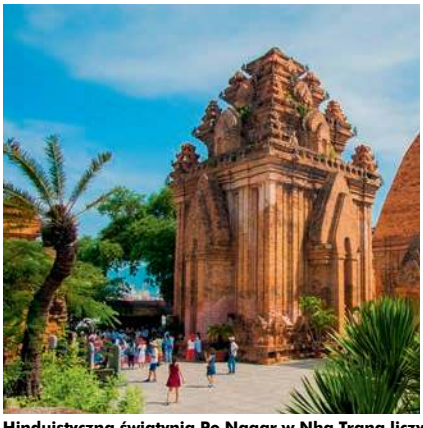

Hinduistyczna świątynia Po Nagar w Nha Trang liczy sobie blisko 1,3 tys. lat. To jeden z najważniejszych zabytków kultury ludu Czamów w Wietnamie.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Skalny ogród Hon Chong to duża atrakcja okolic Nha Trang.

GETTY IMAGES , ADOBESTOCK (2).POPRZEDNIE STRONY ADOBESTOCK

a ja muszę się w nim zanurzyć niemal cały. Tylko wtedy, po 20-minutowej kąpieli, znów będę piękny i młody. Po prysznicu wskakuję na kwadrans do jacuzzi z jeszcze cieplejszą wodą, a na koniec mogę nieco odetchnąć w chłodniejszym basenie.

WYSPA ROBINSONA

Następnego dnia jedziemy na plażę Doc Let, 72 km na północ od Nha Trang. Tutaj, zaledwie kilkanaście metrów od wybrzeża, znajduje się wyjątkowej urody rafa koralowa. Zakładamy więc maski, rurki oraz płetwy i wskakujemy do wody. Podwodny świat Doc Let zachwyca. Pomiędzy polipami koralowymi i ukwiałami przesuwają się całe kolonie bajecznie kolorowych ryb. Zważywszy na to, że mało kto w Europie wie o tym miejscu, jest tu ich dużo więcej, niż można by się spodziewać. Po szybkim obiedzie w plażowej restauracji jedziemy w stronę archipelagu wysp Diep Son. Jest on znany z połowu owoców morza, zwłaszcza homarów. Ładujemy się na łódź motorową i płyniemy wśród wysp z jedwabnym białym piaskiem oraz dziesiątek pontonowych platform, które wprost na wodzie rozłożyli rybacy. Stoją na nich prowizoryczne chaty, w których chowają się przed ostro prażącym słońcem. To stąd pochodzi duża część homarów, jakie lądują później na europejskich, amerykańskich czy chińskich stołach. Wysiadamy na jednej z wysepek, prawie bezludnej. „Prawie" – dlatego że kogoś tu jednak spotykamy. Jest dobrze po sześćdziesiątce, ma szeroki uśmiech i rzadką kozią bródkę. – Robinson – przedstawia się, gdy pytam go o imię. – Wietnamski Robinson. Naprawdę nazywa się Dai Angh i żyje na tym rajskim odludziu niczym bohater literacki stworzony przez Daniela Defoe. No, może aż tak samotny nie jest. Bo ledwie parę minut dalej leży kolejna wyspa, na której pod prowizorycznym daszkiem stworzono nawet lokalną tawernę. Kucharz serwuje ryby i owoce morza, do tego mnóstwo warzyw i owoców. Proste ludowe przepisy. Ale smaki godne najlepszych restauracji świata, również tych z gwiazdkami Michelina. Kluczem do sukcesu jest tutaj świeżość, świeżość i jeszcze raz świeżość. Jedziemy do latarni morskiej na przylądku Dai Lanh. Z parkingu na szczyt wzgórza, na którym stoi ta budowla, prowadzi stroma ścieżka przez las. Nawet jeśli sama latarnia nie jest cudem architektury, warto się tam wspiąć – dla widoków, jakie roztaczają się z góry. Przy dobrej pogodzie zobaczyć stąd można nawet filipińską wyspę Palawan. Dzień kończymy w mieście Tuy Hoa – również mocnym akcentem kulinarnym. Miejscowym

eprasa.pl 9d6ea83e6a

WIETNAM
CHO CHI MINH, NHA TRANG, NINH BINH

Pagoda Buu Long – buddyjska świątynia w Ho Chi Minhie nazywana jest czasem wietnamskim Tadż Mahal.

Położone 45 km na północ od Nha Trang solanki Hon Khoi to jeden z najstarszych punktów produkcji soli w Wietnamie.

SHUTTERSTOCK, ADOBESTOCK

specjałem jest słynna na cały Wietnam zupa na (ogromnym!) oku tuńczyka. Tego wieczora miejscowy rarytas robi furorę wśród turystów z Wietnamu. Europejczycy i Amerykanie są dużo bardziej powściągliwi, chętnych jest ledwie dwóch. Więcej amatorów znajdują za to homary, a tawkże sałatka z surowej meduzy.

RZEKA KING KONGA

Na koniec jedziemy do prowincji Ninh Binh. To tutaj leży miejscowość Hoa Lu, która na przełomie X i XI w. była stolicą Wietnamu. Dziś jest to niewielkie prowincjonalne miasteczko, w którym zachowały się nieliczne świątynie i grobowce. Przede wszystkim jednak region Ninh Binh znany jest z cudów natury skupionych wokół rzeki Trang An. I to jest nasz główny cel. Zanim jednak wybierzemy się nad rzekę, ruszamy na nocne zwiedzanie pagody Bai Dinh. To jedno z najświętszych miejsc dla wietnamskich buddystów. A jednocześnie najwyższa tego typu świątynia w całej Azji Południowo-Wschodniej. Stupa liczy sobie 100 m i ma 13 pięter – na najwyższe można wjechać windą! Zjawiskowo wygląda zwłaszcza w nocy, gdy jest przepięknie oświetlona. Tuż obok, w świątyni, podziwiać można trzy monstrualne złote (a skromne) posągi Buddy. Każdy mierzy 7 m i waży 50 ton! Następnego dnia wcześnie rano ruszamy na rejs rzeką Trang An. W 2014 r. ten ekosystem wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Naturalny krajobraz tych okolic często porównywany jest do słynnej zatoki Ha Long. Tu również zachwyt budzą wyrastające z wody nawet 200-metrowe wapienne ostańce, leje krasowe, zalane wodą doliny i malownicze jaskinie z naciekami krasowymi. Podczas badań archeologicznych na tym terenie odnaleziono ślady obecności człowieka sprzed ponad 30 tys. lat. Płyniemy niewielką łodzią wiosłową. I mimo że na rzece jest podobno aż 2 tys. takich łódek, panuje cisza. Wyrastające tuż przed nami zielone mogoty zapierają dech, urywają rozmowy. W pewnym momencie przepływamy obok dużych krytych strzechą chat. To z pewnością nie jest element naturalnego krajobrazu. Przewodnik tłumaczy, że tuż przed tym, zanim rezerwat Trang An został umieszczony na liście UNESCO, fachowcy z Hollywood nakręcili tu wysokobudżetowy kinowy hit *King Kong: Wyspa czaszki*. Zostały po nich elementy scenografii. Dlaczego UNESCO nie interweniuje i nie każe ich rozbierać? Tego przewodnik już nie wie. My zaś nie mamy już wątpliwości: wietnamskie krajobrazy są jak jedna wielka scenografia. Do dowolnego filmu. ■

eprasa.pl 9d6ea83e6a

TEKST **MICHAŁ GŁOMBIOWSKI**

PUSAN

PRZYCIĄGA PLAŻAMI, WSPANIAŁĄ KUCHNIĄ, ŁAŹNIAMI I FILMOWYM FESTIWALEM.

Haedong Yonggungsa to położona na klifie buddyjska świątynia z 1376 r.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Sky Capsule to futurystyczna kolejka jadąca ponad dachami miasta i nad brzegiem morza, oferująca widoki na panoramę Pusanu.

Ajeossi jest trochę skonfundowany. Mimo włożonego trudu nie jest w stanie doprowadzić mnie do należytego porządku. Europejski brud, który przyniosłem ze sobą do jednej z publicznych łaźni w mieście Pusan, okazał się ponad jego siły. Dla jasności: nie stronię na co dzień od wody i mydła. W podróży zdarza mi się brać prysznic trzy razy dziennie. W Korei to jednak za mało. Jeżeli nie spędzasz kilku godzin każdego dnia na szorowaniu się, udrażnianiu porów skóry, nakładaniu lepkich od śluzu ślimaka maseczek na twarz i wklepywaniu w siebie nieskończonej ilości balsamów, jesteś... no cóż, trochę brudasem. Ten kraj ma obsesję na punkcie piękna i czystości. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni potrafią zrobić wszystko, by zyskać na atrakcyjności. *Ajeossi* to koreańskie słowo, które można przetłumaczyć jako „wujaszek". Używa się go do określenia w grzeczny sposób mężczyzn starszych od siebie, których dobrze się nie zna. Może być to sprzedawca czy kasjer. Mój „wujaszek" jest szorowaczem-masażystą pracującym w łaźni. Te przybytki przyciągają tłumy, które przelewają się przez kolejne izby, w których można się pławić w wodzie o różnej temperaturze lub wygrzewać się w saunach. Przechodząc z pomieszczenia do pomieszczenia, zawsze należy się umyć. I nie mówimy tu o szybkim prysznicu, lecz o długich minutach spędzonych na skrobaniu się twardą szczotką. Można robić to samodzielnie lub oddać się w ręce ajeossi. Zdecydowałem się na tę drugą opcję. Starszy mężczyzna kazał mi się położyć na plastikowym stole i zabrał się do szorowania żółtą myjką, okładania mnie pięściami i zalewania gorącą wodą z mydłem. Gdy 20 min później wstałem, zdawało mi się, że moja skóra jest absolutnie miękka i zupełnie nowa, ale mężczyzna potrząsał zmartwiony głową. Nie był zadowolony – zapewniał mnie na migi, że kolejnym razem postara się jeszcze bardziej, i kazał mi koniecznie przyjść następnego dnia.

Ajeossi można przetłumaczyć jako „wujaszek". Używa się go do określenia mężczyzn starszych od siebie, których dobrze się nie zna.

Naengmyeon, czyli tradycyjne koreańskie zimne kluski w bulionie, to jedno z najbardziej orzeźwiających dań regionu.

MORSKIE ROBAKI

Jimjilbang – publiczne łaźnie parowe – są nieodłącznym elementem koreańskiej kultury, na równi z muzyką K-pop czy sceną filmową. Te miejsca sprzyjają rodzinnym spotkaniom, plotkowaniu, poznawaniu nowych ludzi, a przede wszystkim

ADOBESTOCK , GETTY IMAGES , SHUTTERSTOCK (2) , POPRZEDNIE STRONY

eprasa.pl 9d6ea83e6a

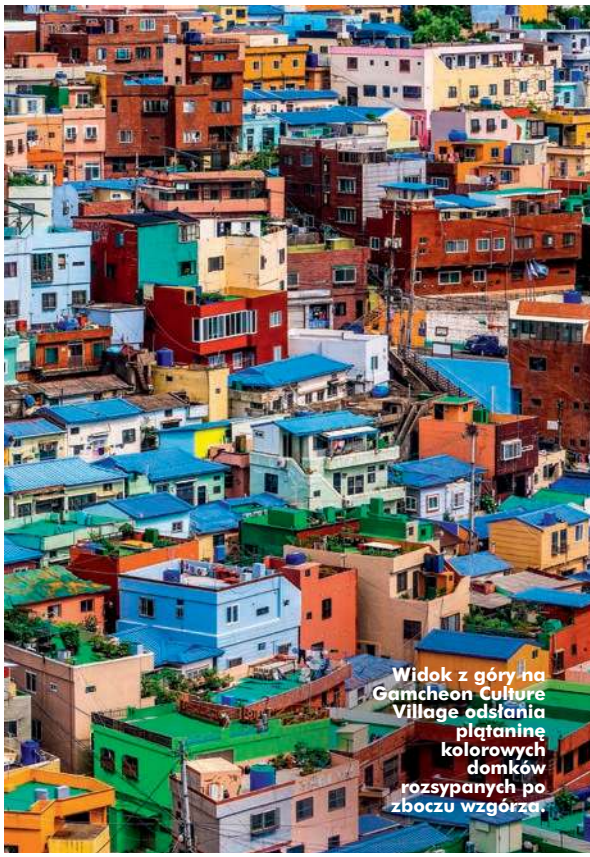

Widok z góry na Gamcheon Culture Village odsłania plątaninę kolorowych domków rozsypanych po zboczu wzgórza.

Nocny targ Bupyeong to królestwo street foodu. Ten labirynt stoisk to jedno z najlepszych miejsc, by poznać smaki Pusanu.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Gunam-ro to tętniący życiem deptak dzielnicy Haeundae, pełen kawiarni, neonów i modnych butików.

Jagalchi to największy w Korei targ rybny, na którym sprzedawczynie – zwane ajumma – oferują świeże owoce morza.

pozbywaniu się codziennego stresu. Przepracowani Koreańczycy ucinają sobie na podłogach łaźni regenerujące drzemki, a oszczędni turyści czasem do nich dołączają, traktując jimjilbang jako sposób na najtańszy nocleg. Szeroki dostęp do łaźni nie jest jednak jedynym atutem Pusanu. To położone nad morzem miasto kusi szerokimi piaszczystymi plażami, w tym plażą Haeundae, na którą latem zjeżdżają Koreańczycy z całego kraju, tętniącymi życiem targami ulicznymi i całym mnóstwem wydarzeń kulturalnych. Pusan dawno już przestało się czuć młodszym bratem stołecznego Seulu i w udany sposób buduje własną niezależną markę. Kilka godzin wcześniej, zanim oddałem się w ręce „wujaszka", wybrałem się na targ rybny Jagalchi. Handel owocami morza odbywał się tutaj już 600 lat temu. Dziś prowadzony jest on w nowoczesnej piętrowej hali, w której ciągną się wyłożone kaflami alejki obstawione setkami stoisk z ilością ryb i owoców morza, której nie da się objąć wyobraźnią. Przez to miejsce przewija się 30–50 proc. wszystkich sprzedawanych w Korei morskich specjałów, a wczesnym rankiem odbywa się tu żywiołowa licytacja zwożonych z portu ładunków ryb. W tym spektaklu biorą udział handlarze oraz szefowie kuchni szukający specjałów do swoich restauracji. W późniejszych godzinach targ odwiedzają mieszkańcy miasta. Przechadzam się wraz z nimi, próbując się odnaleźć w tej mnogości towaru i zupełnie nieznanych mi gatunków morskich stworzeń. Jednym z dziwniejszych są szczetnice, po koreańsku zwane gaebul. Więcej mówiącymi określeniami są jednak „morskie robaki" oraz „ryby penisy" i choć w rzeczywistości nie są to ryby, lecz bezkręgowe pierścienice, reszta nazwy dość dobrze oddaje wygląd tych podwodnych stworów. Szczetnic i innych oferowanych na targu stworzeń można spróbować w restauracyjkach na piętrze, które przygotowują produkty kupione na stoiskach przez klientów. Kto nie przepada za morskimi smakami, powinien przejść obok, na targ Bupyeong Kkangtong. Czeka tu nieskończona ilość gotowych dań, szczególnie po godzinie siódmej wieczorem, gdy Bupyeong Kkangtong zamienia się w nocną arenę street foodu. Kupić tu można wszystko, od bindaetteok (ciasto z fasolą mung) i guksu (koreański makaron) po pajeon (naleśnik z zieloną cebulką) i dwaeji gukbap – typową dla Pusanu pikantną zupę wieprzowo-ryżową.

Para w tradycyjnych strojach koreańskich hanbok – mężczyzna ma na sobie długą granatową szatę z haftowanymi motywami, a kobieta występuje w różowej chimie (spódnicy) i jasnej jeogori (krótkiej bluzce).

ADOBESTOCK, GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK

DRZEMKA W TRAWIE

Jednak nie samymi kulinariami żyje Pusan. Po sycącym posiłku popitym piwem z jednego z rzemieślniczych browarów można się oddać uczcie kulturalnej. Od niemal trzech dekad miasto jest organizatorem jednego z najbardziej prestiżowych festiwali filmowych w Azji. Twórcy wydarzenia stawiają sobie za cel promocję młodych filmowców, ale na pokazach pojawiają się też gwiazdy kinematografii. To wydarzenie ma światowy wymiar – przez ekrany przewinęły się dzieła twórców z 85 krajów. Od 2011 r. festiwal organizowany jest w nowym kompleksie Busan Cinema Center mającym 30 tys. m² powierzchni, posiadającym pięć sal kinowych, w tym jedną na otwartym powietrzu, w której filmy może oglądać aż 4 tys. widzów. Podczas festiwalu całe Pusan żyje kinem – projekcje odbywają się w różnych punktach w mieście, a seansom towarzyszą spotkania z twórcami, wystawy i koncerty. Pod koniec dnia uciekam do Citizens Park, by położyć się na kocu w trawie i uciąć sobie krótką drzemkę. Jeszcze 10 lat temu ten 133-hektarowy obszar był bazą wojsk USA (amerykańskie wojska stacjonowały tu podczas wojny koreańskiej). Opuszczony teren zamieniono w oazę zieleni, obsadzając ponad milionem drzew i krzewów. Pojawiły się też staw, fontanna i mostki nad potokami. Park stał się jednym z ulubionych miejsc mieszkańców, którzy przychodzą tu na odpoczynek i pikniki. Kładę się, zamykam oczy i czując promienie słońca na skórze, zapominam na chwilę, że jestem w samym centrum nowoczesnego miasta. ■

eprasa.pl 9d6ea83e6a

JIRISAN

DLA WIELU KOREAŃCZYKÓW GÓRY PARKU NARODOWEGO JIRISAN UWAŻANE SĄ ZA ŚWIĘTE.

Legenda głosi, że wejście na szczyty pasma górskiego Jirisan nawet głupców przemienia w mędrców – obcowanie z pięknem tych okolic jest przeżyciem transcendentnym, potrafiącym dokonać cudów. Nie wiadomo, ile w tym prawdy, Park Narodowy Jirisan jest jednak z pewnością jednym z popularniejszych celów koreańskich piechurów. Być może nie szukają oni jednak mądrości, lecz chcą po prostu zanurzyć się w dziewiczych lasach, wędrować wzdłuż strumieni i przez kwietne łąki i zobaczyć ciągnącą się po horyzont górską panoramę. W parku wyznaczono kilkadziesiąt pieszych szlaków, za najbardziej spektakularny (ale też i wymagający) uchodzi jednak Jirisan Ridge. To wędrówka po górskim grzebiecie na dystansie 59 km, od świątyń Hwaeomsa na wschodzie do Daewonsa na zachodzie. Na piechurów czeka po drodze pięć górskich schronisk z podstawowymi wygodami. Ukończenie trasy zajmuje od trzech do pięciu dni, zależnie od

SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Jirisan to pierwszy park narodowy w Korei Południowej. Ustanowiono go w 1967 r.

formy fizycznej i narzuconego sobie tempa. Dziennie pokonuje się od 10 do 15 km. I choć ta odległość nie wydaje się duża, trzeba wziąć pod uwagę, że przez większość marszu trasa idzie wzniesieniami, zahaczając o kolejne szczyty pasma górskiego. Trudność szlaku jest zmienna – niektóre odcinki są łatwe, jest też jednak kilka uznawanych za „eksperckie". Niedogodność polega przede wszystkim na nierównym terenie i sporych przewyższeniach. Kolana i mięśnie nóg szczególnie odczują strome zejścia pomiędzy skalnymi blokami. Pokonanie dziennego dystansu zajmuje więc z postojami ok. 7–10 godz. Pewną konsternację budzą liczne ostrzeżenia przed niedźwiedziami, których populację w parku szacuje się na kilkadziesiąt sztuk. Pocieszeniem może być jednak fakt, że na trasie nie odnotowano nigdy ataku tych drapieżników na ludzi, a spotkanie ich nadal pozostaje mało prawdopodobne. ■

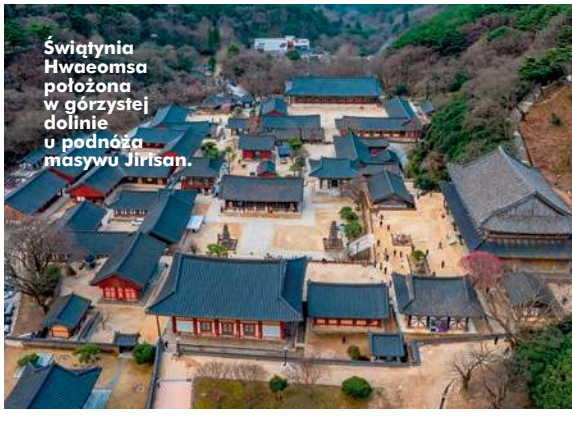

Świątynia Hwaeomsa położona w górzystej dolinie u podnóża masywu Jirisan.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

LAOS
LUANG PRABANG, WIENTIAN

Wodospady Kuang Si to kaskady turkusowej wody spadającej po wapiennych tarasach, tworzące naturalne baseny kąpielowe.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

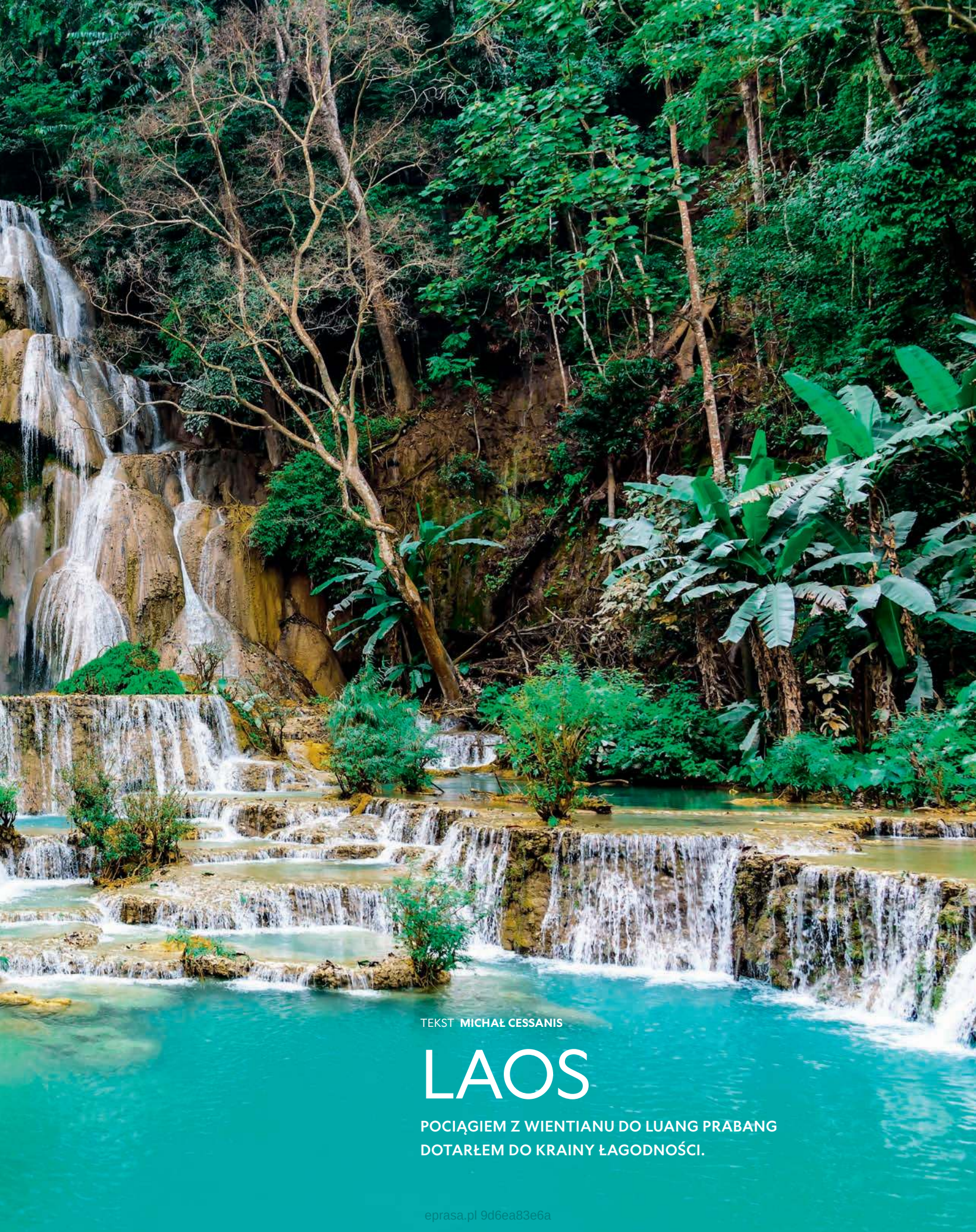

TEKST **MICHAŁ CESSANIS**

LAOS

POCIĄGIEM Z WIENTIANU DO LUANG PRABANG DOTARŁEM DO KRAINY ŁAGODNOŚCI.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Jest jeszcze głucha noc, gdy mieszkańcy Luang Prabang zaczynają gotować na parze w bambusowych misach kleisty ryż dla buddyjskich mnichów. Ci bowiem, zanim wstanie słońce, ubrani w pomarańczowe szaty wychodzą na ulice miasta po jałmużnę. To ceremonia Sai Bat kultywowana w Laosie od XIV w. Odbywa się codziennie, a uczestniczą w niej tysiące mnichów i nowicjuszy z klasztorów w całym kraju. Od mieszkańców siedzących na matach rozłożonych wzdłuż ulic otrzymują wcześniej ugotowany ryż. Zjedzą go na śniadanie i na obiad, a potem będą pościć do kolejnego wschodu słońca.

MEDYTACJA I ODKUPIENIE

Przyglądam się tej ceremonii z pewnej odległości, stojąc w pobliżu świątyni Sensoukharam przy głównej ulicy miasta – Sakkaline. Mnisi idą gęsiego, bez butów, w absolutnej ciszy, starając się z nikim nie nawiązywać kontaktu wzrokowego – poranna procesja jest dla nich formą medytacji. Ryż zbierają do przewieszonych przez ramię na sznurku misek, po czym skręcają w boczne uliczki, w których czekają na nich kolejni mieszkańcy z porcjami jedzenia. Dla wiernych Sai Bat też ma wielkie znaczenie. Wierzą bowiem, że karmiąc mnichów, spotka ich wiele dobra w przyszłym życiu. Wraz z pierwszymi promieniami słońca mnisi znikają, podobnie jak obdarowujący ich mieszkańcy. Miałem to szczęście, że udało mi się obejrzeć tę ceremonię w spokoju, bez tłumów turystów, choć te przed pandemią podobno były tu na porządku dziennym, bowiem ceremonia Sai Bat stała się tak popularna, że ściągali na nią podróżnicy z całego świata. Spokojnie było też na porannym targu, na który doszedłem po wschodzie słońca. W wąskich uliczkach tłoczyli się sprzedawcy obłędnie kolorowych warzyw i owoców, pachnących intensywnie przypraw, kleistego ryżu, najsłodszych mandarynek i bananów, jakie w życiu jadłem, i mięsa rozłożonego na gazetach. Nie było jednak głośno, chaotycznie i męcząco, czego doświadczyłem wcześniej na targowiskach w wielu innych azjatyckich krajach. Usiadłem w jednym z małych barów i zamówiłem szklankę mocnej, aromatycznej laotańskiej kawy podawanej ze skondensowanym mlekiem, która była dla mnie wybawieniem po pobudce w środku nocy. Zresztą kawy podczas pobytu w Laosie piłem dużo, bo smakowała mi z bardzo słodkimi deserami na bazie mleczka kokosowego sprzedawanymi na ulicznych straganach. I zawsze miałem na to czas, bowiem Luang Prabang okazało się miastem idealnym do niespiesznego bycia i poznawania. Chciałem spróbować laotańskiego stylu życia nazywanego bo pen nyang, co można przetłumaczyć jako zrzucenie z siebie ciężaru i beztroskie spędzanie czasu. I chyba mi się to udało.

Szybką kolej wybudowali tu Chińczycy. Trasa biegnie z Wientianu, przez Luang Prabang, aż do chińskiej prowincji Junnan.

Rytuał Sai Bat polega na ofiarowaniu ryżu mnichom, którzy o świcie przemierzają ulice miasta w ciszy i skupieniu.

Luang Prabang zachwyca położeniem między Mekongiem a rzeką Nam Khan, otoczone zielonymi wzgórzami.

REWOLUCJA W PODRÓŻY

Do sąsiadującego z Tajlandią, Kambodżą, Wietnamem, Chinami oraz Mjanmą Laosu przybyłem po spokój, którego w moim zabieganym życiu miałem ostatnio mało. Żeby go jednak doświadczyć, musiałem najpierw wyjechać z głośnej stolicy – Wientianu, do dawnej klimatycznej stolicy, jaką jest Luang Prabang. I odbyłem tę podróż pociągiem, który zrewolucjonizował przemieszczanie się po kraju. Szybką kolej wybudowali tu Chińczycy, trasa biegnie z Wientianu, przez Vang Vieng, Luang Prabang, aż do chińskiej prowincji Junnan. A pokonanie drogi pomiędzy dwoma laotańskimi miastami skróciło się z 8 godz. autobusem do 2 godz. pociągiem. Chętnych na podróż jest tak wielu, że bilety sprzedawane są na kilka dni do przodu, a w punktach kasowych pojawili się stacze i interesik się kręci. Chińczycy

SHUTTERSTOCK (4). POPRZEDNIE STRONY SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

W Centrum Ratowania Niedźwiedzi Tat Kuang Si odpoczywa młody niedźwiedź księżycowy. Ośrodek ratuje zwierzęta z rąk kłusowników.

Targ w Luang Prabang ożywa tuż po wschodzie słońca, gdy sprzedawcy rozkładają świeże warzywa, zioła i ryż na wąskich uliczkach przy świątynnych murach.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Objedzony lodami o smaku gorzkiej czekolady dotarłem do wodospadów Kuang Si. Faktycznie, jest to malownicze miejsce.

wybudowali nie tylko tory, ale też gigantyczne dworce na obrzeżach miast, do których trzeba dojechać tuk-tukiem, tak jak ja to zrobiłem, albo znacznie drożej taksówką. A potem wsiąść do pociągu i przejechać z krainy chaosu do krainy łagodności. I nie ma przesady w tym, co piszę. W Luang Prabang mogłem doświadczyć czasu, jego najprzyjemniejszej części. Spędzałem go np. na skrzypiącym rowerze bez przerzutek, jaki miałem w hotelu, a którym robiłem sobie kilkugodzinne wycieczki. Zachwycając się przy tym kolejnymi starymi domami pamiętającymi czasy francuskie, świątyniami z rudymi i złoconymi dachami i zjeżdżając nad Mekong, gdzie zawsze w jednej z restauracji zatrzymywałem się na słodko-pikantną sałatę z papai. Przy okazji odkrywałem też miejsca niezwykłe, jak bambusowy pieszy mostek przerzucony przez rzekę Nam Khan tuż przed jej ujściem do Mekongu, którym w porze suchej, a więc od października do marca, dojść można do dwóch wiosek rzemieślników – Ban Xieng Lek (tu mieszkają tkacze) i papierniczej Ban Xiang Khong. Zaś w porze deszczowej rzeka most zabiera. I co roku odbudowywany jest przez tę samą rodzinę.

RADOŚĆ PRZY STOLE

Radość z posiadania czasu odnajdywałem też w najprostszych czynnościach, jak jedzenie, którego nie mogłem sobie odmówić w Laosie. Zwłaszcza że popołudniami plac

Laotański Nowy Rok, czyli Pi Mai, to najważniejsze i najradośniejsze święto w Laosie, obchodzone w kwietniu. Jest symbolicznym przejściem z pory suchej do deszczowej.

Złoty posąg leżącego Buddy w Luang Prabang symbolizuje oświecenie i spokój.

w centrum Luang Prabang zamienia się w ogromną jadłodajnię, od której odchodzą jeszcze boczne uliczki z kolejnymi straganami. Dużo tu miałem czasu na smakowanie zup z marynowanymi warzywami, laotańskiej wersji pad thaia podawanego z sokiem z tamaryndowca, przekąsek z wodorostami, bagietek z mięsnymi pulpecikami (to pozostałość po Francuzach) czy ostro-słodkich kiełbas z trawą cytrynową, które okazały się bardzo pozytywnym kulinarnym zaskoczeniem. Odkryciem była dla mnie tutejsza przestrzeń, a co za tym idzie, widoki. Tych doświadczyłem najpierw na wzgórzu Phou Si – uchodzącym za najlepsze miejsce do oglądania zachodu słońca w Luang Prabang – na które prowadzi ścieżka z centrum. Stąd mogłem zobaczyć, jak malowniczo położone jest miasto – w kotlinie pomiędzy wzgórzami, niemal zawsze nieco rozmytymi we mgle, których kontury przypominały mi pagórki malowane przez dzieci na plastyce. Przyrodę podziwiałem też m.in. z pokładu drewnianego statku, płynąc leniwym Mekongiem w stronę dwóch, ukrytych w wapiennych skałach, jaskiń Pak Ou, 25 km od Luang Prabang. Po drodze mając przystanek w wiosce Ban San Hai, w której próbowałem laotańskiej whisky – pierwszy i ostatni raz. Po dotarciu do jaskiń obejrzałem przechowywany tu skarb – ponad 4 tys. większych i mniejszych, czasem wręcz miniaturowych posągów Buddy wykonanych z drewna, kości, ceramiki, brązu, do tego w różnym stanie rozkładu i w różnych pozycjach – medytujących, nauczających czy leżących. Zaś po pokonaniu dwustu stopni spojrzałem z Tham Theung, górnej jaskini, na szeroki i spokojny Mekong i uchodzącą do niego rzekę Ou.

WOLNOŚĆ NA SKUTERZE

Kolejnego dnia już nie statkiem, lecz skuterem przemierzałem okolice miasta. Zanim jednak wyjechałem nim w teren, dla własnego bezpieczeństwa trenowałem jazdę na ulicach Luang Prabang. Wcześniej w wypożyczalni dokładnie obejrzałem skuter z każdej strony, fotografując go i sprawdzając, czy działają hamulce i kierunkowskazy. Wolałem dmuchać na zimne, czytając wcześniej regulamin, w którym podkreślono kolorem czerwonym, że skuter nie ma żadnego ubezpieczenia i za najmniejszą ryskę będę musiał zapłacić z własnej kieszeni. Jechałem więc najpierw nad wyraz uważnie w sporym ruchu przez miasto, by wreszcie z niego wyjechać i... podróżować przez prawie puste drogi, nie spotykając w ogóle ludzi. Czasami widziałem Mekong, który powoli płynie z Himalajów do Wietnamu, nawadniając po drodze Chiny, Mjanmę,

SHUTTERSTOCK (2). POPRZEDNIE STRONY SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Łodzie cumują u stóp wapiennego klifu prowadzącego do jaskiń Pak Ou słynących z tysięcy figurek Buddy pozostawianych tu od setek lat.

Laos i Kambodżę. Zatrzymywałem się w przypadkowych miejscach, do których zjeżdżałem, nie bardzo wiedząc, co mnie w nich czeka. Tak w drodze do wodospadów Kuang Si, największej atrakcji w pobliżu Luang Prabang, dojechałem do farmy bawołów Laos Buffalo Dairy, pierwszej mleczarni w Laosie, gdzie produkowane są m.in. pyszne lody sprzedawane w przydrożnej budce. Jej właścicielami jest grupa przyjaciół, która większość swojego zawodowego życia spędziła, pracując dla wielkich korporacji w Singapurze. – Aż przyszedł kryzys wieku średniego, wypalenie zawodowe i chęć zmiany miejsca do życia – opowiada Australijka Susie Martin, którą spotkałem w mleczarni. – Razem z Rachel i Stevenem szukaliśmy miejsca znacznie spokojniejszego, w którym mielibyśmy szansę zrobić coś nowego, także dla lokalnej społeczności – dodaje.

Przenieśli się więc do Luang Prabang, do krainy bawołów, w której w ogóle nie było przemysłu mleczarskiego, i postanowili go stworzyć. Zdobyli inwestorów, wypożyczyli od sąsiadów trzy pierwsze bawoły, potem kolejne, zatrudnili Laotańczyków i rozkręcili firmę, która ma się świetnie. A ich mozzarelle, ricotty, jogurty, serniki i lody sprzedawane są dziś nie tylko w Laosie, lecz także w sąsiadujących z nim krajach. – Największą jednak satysfakcję mamy z tego, że pomogliśmy naszym sąsiadom, założyliśmy fundację, wspieramy ich hodowle bawołów, tak aby sami mogli na nich zarabiać – mówi Susie. Objedzony lodami o smaku gorzkiej czekolady dotarłem wreszcie do wodospadów Kuang Si. Faktycznie, malownicze to miejsce z licznymi kaskadami, z których najwyższa ma 60 m wysokości, a spadająca woda wpływa do turkusowych basenów, w których można się kąpać. Są też miejsca do rodzinnego piknikowania oraz ścieżki pośród wysokich drzew prowadzące m.in. do Centrum Ratowania Niedźwiedzi Tat Kuang Si. Odzyskują w nim siły czarne niedźwiedzie azjatyckie (mieszka ich tu obecnie 15) uratowane z rąk kłusowników polujących na nie dla żółci stosowanej w medycynie chińskiej. Po obejrzeniu wodospadów i niedźwiedzi ruszyłem znów przed siebie, bo ta samotność na skuterze zaczęła mi się coraz bardziej podobać. Nigdzie nie musiałem się śpieszyć, godzinami mogłem nic nie mówić. Słyszałem wreszcie naturę, a nie tylko ciągły ludzki zgiełk. I mogłem usłyszeć też siebie, swój wewnętrzny głos. Pozwólcie, że nie zdradzę wam, co mi podpowiedział. Wiem jednak, że do Luang Prabang będę powracał, by częściej doświadczać nieśpiesznego stylu życia. Zapamiętajcie jego nazwę: bo pen nyang.■

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Świątynia Queen's Napamaytanidol na szczycie Doi Inthanon (2565 m n.p.m.) w prowincji Chiang Mai.

TEKST **KATARZYNA KACHEL**

TAJLANDIA PÓŁNOCNA

STWORZONA JEST DLA ŁOWCÓW PRZYGÓD I TYCH, KTÓRZY LUBIĄ MIEJSCA Z NIEZWYKŁĄ HISTORIĄ.

Gigantyczna grillowana krewetka rzeczna, lokalny przysmak Ayutthai, podawana jest z pikantnym sosem z limonki i chili.

Bambusowy most prowadzi do wodospadu Pha Dok Siew ukrytego w gęstych lasach Doi Inthanon.

Wat Rong Khun, znana jako Biała Świątynia, zachwyca surrealistyczną architekturą i symboliką przejścia od cierpienia ku oświeceniu.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

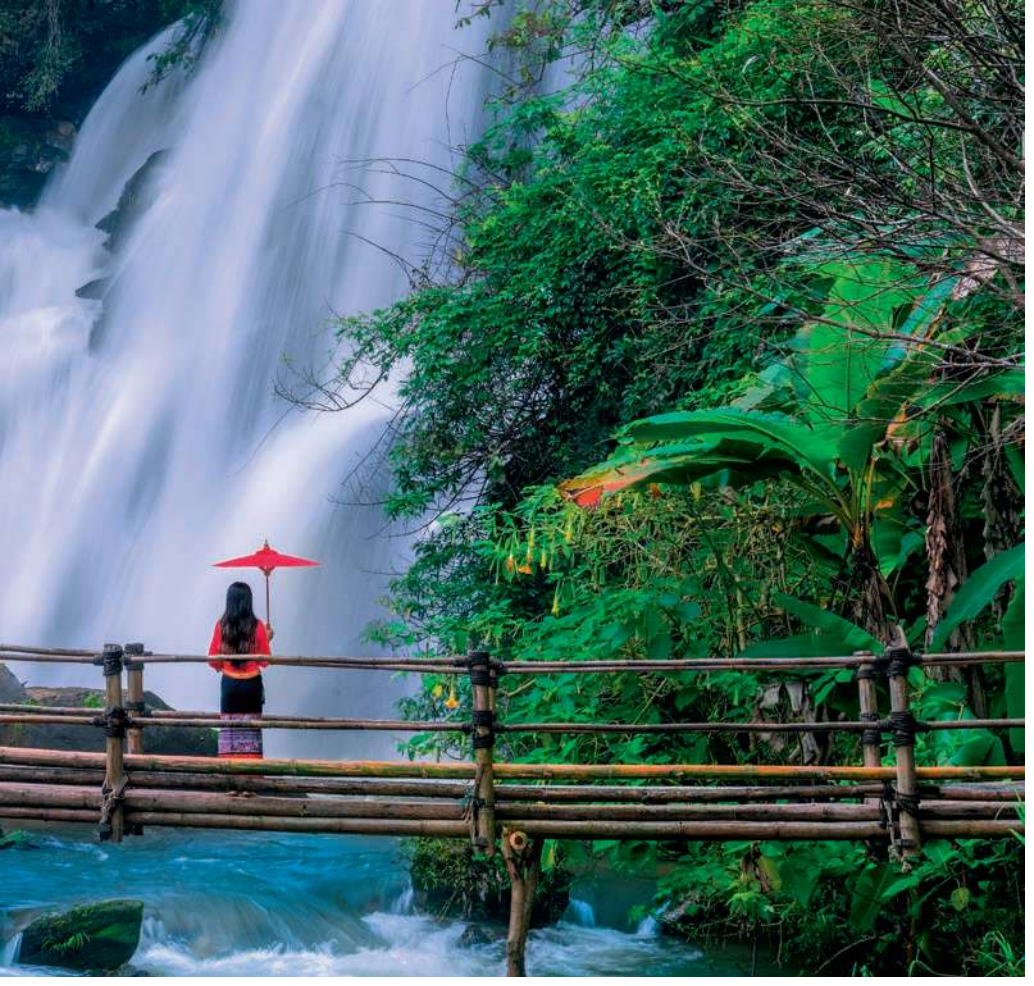

SHUTTERSTOCK (4); POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

Kiedy patrzę na mapę Tajlandii, zgadzam się z tymi, którzy widzą w kształcie tego kraju głowę słonia, którego trąba muska granicę z Malezją. W tej podróży startuję z samego jej czubka. Decydując się na północ Tajlandii, wybieram królestwo zachwycających górskich krajobrazów, egzotycznych parków, dżunglę i magnetyczne świątynie. Wciąż jest tu sporo miejsc mało skomercjalizowanych, dziewiczych i dzikich. A wspomnienie opiumowych wojen nadal wywołuje tutaj dreszczyk emocji.

LEGENDA ZŁOTEGO TRÓJKĄTA

Lubię miejsca styków, tych kulturowych, geograficznych, językowych czy historycznych. I chyba nie ma lepszego, które by łączyło je wszystkie tak smacznie jak prowincja Chiang Rai z legendarnym i wciąż działającym na wyobraźnię Złotym Trójkątem. W tym pięknym górzystym regionie, kiedyś słynącym z upraw maku i produkcji opium, dziś uprawia się mniej ekscytujące ryż, truskawki i kapustę. To także tu, jadąc skuterem, mijam cudowne zielone dywany charakterystyczne dla plantacji kawy. A hoduje się ją z czułością, choć to mozolne zajęcie. I czuć to w każdej filiżance napoju, który popijam w rodzinnych palarniach, jakich tutaj nie brakuje. Najbardziej urzekły mnie te położone w górskiej wiosce Ban Pha Hee. Nie znam miejsca bardziej magicznego, w którym piłabym espresso z tak oszałamiającym widokiem na okoliczne szczyty i plantacje. Ci, którzy przyjeżdżają tu zwabieni mafijnymi mitami czy w poszukiwaniu palarni opium, być może będą zawiedzeni. Makowe uprawy podobno wciąż są, ale znajdują się w niedostępnych górzystych, przygranicznych rejonach. Plotkuje się czasami o narkotykowych baronach, którzy wciąż tu rządzą, ale trudno rozstrzygnąć, czy owe plotki nie mają tylko podnieść temperatury

W tym pięknym górzystym regionie, kiedyś słynącym z upraw maku i produkcji opium, dziś uprawia się ryż, truskawki i kapustę.

W górskich rejonach Doi Chang w Chiang Rai dojrzewają jedne z najlepszych tajskich kaw, a zbiory czerwonych owoców kawowca wciąż odbywają się ręcznie.

zwiedzającym. O legendach Złotego Trójkąta posłuchałam w muzeum nazywanym Domem Opium, w którym pracują ludzie z plemion Akha i Hmong. Wstęp kosztuje 50 bahtów, czyli niecałe 6 zł. Dom Opium ma uświadamiać zwiedzającym, jak pustoszący i szkodliwy jest to nałóg, ale kiedy patrzę na piękne poduszki, na których siadało się, by palić opium w długiej ręcznie rzeźbionej fajce, nie potrafię się nie zachwycić. Na ekspozycji jest wiele pięknych przedmiotów, malowanych we wzory naczyń, narzędzi do zbierania soku z makówek, przyborów do palenia narkotyków, ozdobnych fajek i wag. Działa to na wyobraźnię. Zwłaszcza kiedy już stoję nad potężną rzeką Mekong, której wody łączą Tajlandię z Laosem i Mjanmą. Nazwa Złoty Trójkąt na otoczone złą sławą bezprawia tereny narkotykowego zagłębia, zamiast odstraszać, przyciąga

eprasa.pl 9d6ea83e6a

TAJLANDIA
CHIANG RAI, CHIANG MAI, SUKHOTHAI

W Wat Si Chum w Sukhothai młodzi mnisi składają pokłony przed monumentalną złotą dłonią Buddy symbolizującą oddanie i spokój dawnych królestw Tajlandii.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

nadal turystów z całego świata. Nie próbuję się nawet targować, kiedy za równowartość 50 zł dwaj panowie proponują mi wycieczkę małą łodzią motorową. Dzięki temu mogę podejrzeć nadbrzeże Mjanmy, a w Laosie, dokładnie na wyspie Donesao, wysiąść na półgodzinny przystanek. W lasku nad wodą rozstawione są drewniane stoły, na których kwitnie handel lokalnymi produktami, za których oryginalność nie dałabym głowy, dlatego nie decyduję się na zakupy. Wsiadam na łódź i wracam do Tajlandii.

U TAJSKIEGO GAUDÍEGO

Ze Złotego Trójkąta miałam półtorej godziny drogi autem do miejsca, które chciałam zobaczyć od zawsze. To Wat Rong Khun, czyli Biała Świątynia wznoszona przez ekscentrycznego artystę. Budowla, która dla jednych jest królestwem kiczu, dla innych

Kiedy udaje mi się przejść przez piekło, wchodzę do środka śnieżnobiałej świątyni, której przepych jest oszałamiający.

GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK

Gigantyczny balon w kształcie bohatera z *Angry Birds* unosi się nad polami Chiang Rai podczas festiwalu balonowego.

cprasa.pl 9d6ea83e6a

Kobiety z plemienia Akha zbierają młode liście herbaty na wzgórzach Choui Fong.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

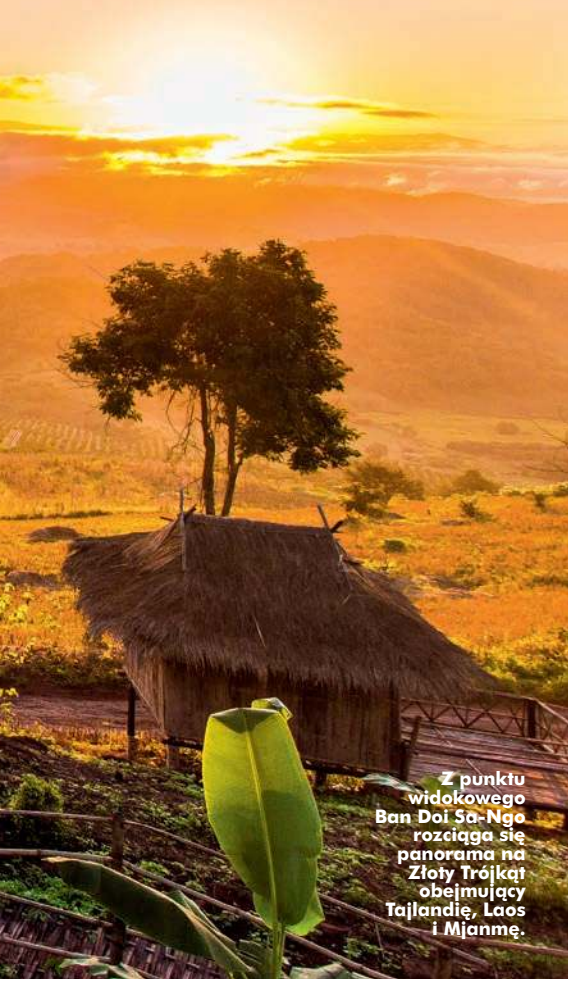

Z punktu widokowego Ban Doi Sa-Ngo rozciąga się panorama na Złoty Trójkąt obejmujący Tajlandię, Laos i Mjanmę.

– mistycznymi bramami piekła i nieba. Most, którym idę do świątyni, zawieszony jest nad piekłem, z którego dłonie rozpaczliwie wyciągają ci, którzy do czeluści trafili za swe grzeszne życie i niecne uczynki. Kiedy dobrze się im przypatruję, dostrzegam rękę, w której środkowy palec z paznokciem pomalowanym na czerwony wyraźnie uniesiony jest do góry. Czyżby artysta w religijnym dziele swojego życia świadomie umieścił ten dość obraźliwy gest? Nie wierzę w przypadek, zwłaszcza że tajski Gaudí już wcześniej tworzył dzieła, które uchodziły wśród konserwatywnych Tajów za kontrowersyjne. Tak właśnie nazywam Chalermchaia Kositpipata, bo podobnie jak kataloński artysta jest lekko opętany na punkcie dzieła swojego życia. Kiedy udaje mi się przejść przez piekło, wchodzę do środka śnieżnobiałej świątyni, której rozmach, przepych jest tak oszałamiający, że odbiera mowę, ale także zdolność oceny, czy to kicz, czy arcydzieło. Czuję się, jakbym znalazła się w głowie Kositpipata, w jego świecie pełnym symboli i metafor. W Białej Świątyni mieści się wszystko, co jest ważne dla Tajów: naród, religia, monarchia. Jest tu ukryte przesłanie o pokoju na świecie, potępienie nienawiści, wojen, ale także tego, co nas od wieczności i świętości odciąga, jak popkultura. I w świątyni obok obrazów czy posągów Buddy znajduję także Spider-Mana, Kung Fu Pandę, lorda Vadera, a nawet Terminatora. Jest w tym miejscu rodzaj dumy i wolności, który naród ma już nawet w nazwie kraju (Tajlandia znaczy „kraj wolnych ludzi"). I o wolności duchowej i artystycznej mówi też w wywiadach Kositpipata. Świątynię według założeń ma ukończyć 67 uczniów artysty do 2070 r. Biały kolor oddaje czystość Buddy, a szklane elementy, które odbijają słońce – jego mądrość. Są też dwa złote budynki. Jeden poświęcony sztuce Kositpipata, drugi sztuce nieco bardziej przyziemnej. Toaleta w Wat Rong Khun przypomina królewski pałac, jest tak piękna, że wcale się nie dziwię, iż ludzie z szacunku zostawiają przed wejściem do niej swoje buty. Tam właśnie kończy się mój pobyt w Białej Świątyni, skąd obieram cel na najwyższą górę Tajlandii. Droga przede mną długa, bo 4 godz. w samochodzie.

KRÓLESTWO WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA

Niegdyś Doi Inthanon (2565 m n.p.m.) Tajowie nazywali Doi Luang – „dużą górą", potem Doi Ang Ka, czyli „szczytem stawu wrony". Obecna nazwa pochodzi od imienia Inthawichayanona, ostatniego króla Chiang Mai, którego wrażliwość na przyrodę i chęć ochrony tego kawałka świata były tak istotne, że nawet po śmierci chciał w nim zostać. Dlatego został tutaj pochowany. Na szczyt można wejść, co zabiera minimum 3 godz., albo wjechać autem. Wybieram opcję dojazdu, bo chcę z góry zobaczyć wschód słońca. Słońce odważnie przedziera się przez mgłę. Po horyzont odsłania się tropikalny las. Wyjeżdżam stamtąd oczarowana przyrodą i zapachami. Czeka mnie jeszcze jeden przystanek. To Historyczny Park Sukhothai, czyli dawne państwo Tajów. Królestwo, które w XIII w. wyswobodziło się spod panowania Khmerów. A potem zawładnęło terenami, które dziś obejmują południową Tajlandię. Wypożyczonym za grosze rowerem zwiedzam kompleks kilkudziesięciu świątyń i pozostałości pałaców. Robię sobie zdjęcie przy potężnym Buddzie, a potem jadę do Wat Mahathat, największej królewskiej świątyni. Po drodze mijam liczne stawy i stawiki, w których odbijają się budowle. I choć nazwa Królestwa Sukhothai, pierwszego tajskiego państwa, znaczy „wschodzące słońce", ja czekam na jego zachód, który okryje miejsce ciepłym pomarańczowym światłem. Tak zakończy się moja podróż po czubku głowy słonia. ■

Słońce odważnie przedziera się przez mgłę. Po horyzont odsłania się tropikalny las. Wyjeżdżam stamtąd oczarowana.

Tajski makaron z wieprzowiną, orzeszkami i świeżymi ziołami nabiera charakteru dzięki kilku kroplom limonki. To smak, który najlepiej odkrywać na ulicznych straganach Sukhothai.

ADOBESTOCK (2) . SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

INDONEZJA
LOMBOK/WULKAN RINJANI

Zapierający dech widok z krawędzi krateru Rinjani na położone w kalderze jezioro Segara Anak.

TEKST **MICHAŁ GŁOMBIOWSKI**

INDONEZJA

TRUDNA WĘDRÓWKA NA KRAWĘDŹ KRATERU WULKANU RINJANI WYNAGRADZANA JEST WSPANIAŁYMI WIDOKAMI.

Wodospad Tiu Kelep w pobliżu wsi Senaru. Wielu podróżników zatrzymuje się tutaj przed wyruszeniem na górę Rinjani.

Indonezyjska wyspa Lombok jest skarbnicą górskiej scenerii i plaż godnych pocztówek. Znaczną jej część zajmuje wulkan Rinjani, do którego pielgrzymują uczestnicy ceremonii Mulang Pekelem, by w kulminacyjnym momencie święta wrzucić do wypełniającego krater jeziora Segara Anak złoto, srebro i inne

Na szczycie wulkanu, szczególnie rano, panują niskie temperatury nawet w najcieplejszym okresie roku. Norma to ok. 5 st. C, ale słupek rtęci może spaść nawet do 0 st.

Gotowane owoce morza, smażone jajko, ryż, krewetkowe prażynki i warzywa – posiłek podczas wspinaczki musi być kaloryczny.

kosztowności. Do kaldery można się jednak wybrać, nawet jeżeli nie chcemy się pozbyć swoich jubilerskich skarbów. Wulkan to bowiem popularny cel pieszych wędrówek, ceniony wśród turystów lubiących bardziej wymagające aktywności. Trasa nie jest co prawda trudna technicznie i do jej pokonania nie potrzeba żadnego specjalistycznego sprzętu, wymaga jednak dość dobrej kondycji i sprawności fizycznej.

MAŁPY I PTAKI

Szlak prowadzi na wysokość 3130 m n.p.m., większość wędrowców potrzebuje na pokonanie całego dystansu od dwóch do czterech dni. Droga nie zatacza pętli, co oznacza, że start i meta wypadają w innych lokalizacjach. Wystartować można z miejscowości Senaru lub Sembalun – za nieco łatwiejszą uchodzi ta druga opcja. Pierwszego dnia trzeba się wspiąć na wysokość ok. 2 tys. m, idąc m.in. przez łąki oraz zamieszkaną przez małpy i ptaki dżunglę. Ten odcinek ma zaledwie 8 km, ale druga połowa to ostre podejście po żwirowym niestabilnym podłożu. Jego pokonanie zajmuje nawet 4 godz. (tak, to kilometr na godzinę!). Celem jest krawędź krateru i to nad nim spędza się noc w namiocie. Nie liczcie jednak na kameralne warunki. Na wulkan prowadzi jeden szlak, co oznacza, że wędrowcy siłą rzeczy gromadzą się na ograniczonym obszarze. Trasa jest na tyle popularna, że wieczorem krawędź krateru niemal zamienia się w kempingowe miasteczko. Ze wszystkimi tego zaletami i wadami: można liczyć na międzynarodową integrację, ale trzeba zapomnieć o spokojnym śnie.

W GÓRĘ I W DÓŁ

Drugi dzień, na który przypada atak szczytowy, większość podróżnych zaczyna już w środku nocy, tak by zdążyć na górę przed wschodem słońca. Zwyczajowo pobudka zarządzana jest więc około drugiej w nocy. Kilka krakersów, gorąca herbata na śniadanie i już myślimy tylko o szczycie. Godzinę później wszyscy wyruszają na szlak. Wąska ścieżka wymaga wędrowania w pojedynkę, migoczące w mroku czołówki piechurów tworzą piękny, przesuwający się świetlny ślad. Do pokonania jest tysiąc metrów przewyższenia po wymagającej ścieżce zasnutej drobnymi kamieniami uciekającymi spod stóp. Na górę dociera się wyczerpanym, ale rozlewające się po okolicy miękkie światło wschodzącego słońca wynagrodzi trud wędrówki. Wulkan

SHUTTERSTOCK (4). POPRZEDNIE STRONY SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Makak krabożerny (jawajski) to najbardziej popularna małpa na wyspie Lombok.

Dwudniowy trekking na szczyt Rinjani z miejscowości Sembalun lub Senaru oznacza 12–16 godz. marszu dziennie. Warto więc pomyśleć nad rozłożeniem wędrówki na trzy lub cztery dni.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Wulkan Rinjani uważany jest za święte miejsce dla ludu Sasak i Balijczyków.

Rinjani uchodzi za jedno z najlepszych miejsc na świecie do podziwiania wschodu słońca. Jeżeli zdecydujecie się na samodzielną wyprawę, bez przewodnika, zostańcie na górze do 8–9 rano (zorganizowane wycieczki zarządzają odwrót dużo wcześniej). Nie będzie już wtedy tłumów i zobaczycie, jak światło słońca wpełza powoli do wnętrza wulkanu. To niezwykle malowniczy moment, na który trzeba poczekać właśnie, aż słońce będzie nieco wyżej na niebie. Ze szczytu trzeba się wycofać na krawędź krateru, tym razem pokonując stromą ścieżkę w dół. Dotrzecie do obozu, a później do termalnych źródeł siarkowych. Kąpiel w nich – choć w ciągu dnia temperatura powietrza jest już dość wysoka – pozwala zmyć z siebie całe zmęczenie poranną wędrówką. Odpoczynek się przyda, gdyż czeka was kolejne wejście na krawędź krateru – tym razem po jego przeciwległej stronie. To 500-metrowe ostre przewyższenie, a zaraz po osiągnięciu górnego punktu kaldery i ostatnim spojrzeniu na jezioro i wulkan żwirowa ścieżka poprowadzi 200 m poniżej, gdzie spędza się w namiocie kolejną noc. Ostatni dzień upływa na powolnym schodzeniu po zboczu wulkanu. Pierwsze kilka godzin marszu daje w kość, nachylenie jest bowiem spore, a żwirowe podłoże wciąż niestabilne. Mocno pracują mięśnie nóg i stawy kolanowe. Im niżej jednak, tym łatwiej, a druga część wędrówki to już przyjemny spacer po dżungli i pomiędzy uprawnymi polami. ■

SHUTTERSTOCK

Stratowulkan Rinjani liczy 3726 m n.p.m., a kaldera Segara Anak ma 6–7 km średnicy.

MALEZJA
KUALA LUMPUR

Widok na miasto z jednego z hotelowych basenów: tak można podziwiać słynne bliźniacze wieże Petronas (452 m wys.) i wieżę KL (421 m wys.).

eprasa.pl 9d6ea83e6a

TEKST **MICHAŁ CESSANIS**

KUALA LUMPUR

CHAOS? MY MÓWIMY, ŻE NASZA STOLICA JEST HARMONIĄ PRZECIWIEŃSTW, WIĘC WRZUĆ NA LUZ – DOBRZE MI RADZIŁ ZNAJOMY Z MALEZJI.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

W samym centrum miasta, tuż pod wieżowcami, rozciąga się fragment pierwotnego lasu deszczowego. To dziś Forest Eco Park.

Batu Caves – te jaskinie niedaleko Kuala Lumpur są miejscem pielgrzymek hindusów.

Thean Hou to największa chińska świątynia w Kuala Lumpur. Poświęcona jest bogini morza Tian Hou.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

SHUTTERSTOCK (2),GETTY IMAGES (2) : POPRZEDNIE STRONY: ADOBESTOCK

Zaczęło się od łez. Bynajmniej nie ze wzruszenia ani ze śmiechu. To płakały moje kubki smakowe po pierwszym w Malezji posiłku – późnym śniadaniu tuż po przylocie. Nie było to nic wyrafinowanego, choć w jednej z tych chińskich restauracji, które wymieniane są jako hity malezyjskiej metropolii.

MIEJSCE KULTOWE

Yut Kee słynie z dań z kurczaka. Mięso było faktycznie niezłe, ale polałem je piekielnie ostrym sosem z kawałkami suszonych rybek i jak zwykle przeholowałem. Ten pożar ugasiła druga mrożona słodka kawa z mlekiem. – Lepiej? – zagaił Mervyn Lee, właściciel Yut Kee. I tak zaczęliśmy rozmawiać o życiu w KL (tym skrótem posługują się Malezyjczycy). – Gdyby jeszcze 10 lat temu ktoś mnie spytał, czy przejmę rodzinny interes, to pewnie bym powiedział nie. Ale widziałem, jak moi rodzice ledwo wiążą koniec z końcem i ile pieniędzy wydali na moją edukację. Dlatego postanowiłem im pomóc – mówi. Restauracja Yut Kee pierwszych klientów przyjęła w 1928 r., kiedy to dziadek Mervyna, przybyły do Malezji z chińskiej prowincji Hajnan, Lee Tai Yu postanowił spróbować szczęścia w gastronomii. Nawet nie przypuszczał, że tworzy miejsce dziś kultowe. – Miał cztery żony, ale tylko jednego syna. Mojego tatę Jacka, który gdy był już pełnoletni, przejął zarządzanie restauracją od żon dziadka. Wcześniej to one po jego śmierci nad wszystkim czuwały. Przez to nawet nazywane były Aniołami Lee Tai Yu – wyjaśnia rodzinną historię. Nawet nie wiem, kiedy przy tej pogawędce zrobiło się południe. Przed knajpą ustawiała się coraz dłuższa kolejka wygłodniałych miłośników kotletów z kurczaka. Zwolniłem więc dla nich swój stolik.Grabem – odpowiednikiem Ubera – jadę do dzielnicy Chinatown, dokładnie na Pasar Seni, centralne targowisko działające od 1888 r. Z tylnej kanapy auta oglądam miasto, które na przestrzeni ponad 150 lat z osady chińskich robotników okolicznych kopalni cyny przemieniło się w metropolię – kulturowy tygiel tworzony przez Malajów, Chińczyków i Hindusów. Stolica Malezji wygląda jak wielki plac budowy, nad którym mało kto panuje. To dlatego, że budynki powstają tu bez miejscowych planów zagospodarowania. Kuala Lumpur rozrasta się więc na potęgę, przybywa coraz więcej biurowców, apartamentowców, które wyrastają niemal na każdym skrawku wolnej przestrzeni. Wdzierają się pomiędzy stare domy z czasów kolonialnych, tworząc architektoniczny chaos. Gdybym nie wrzucił na luz, bardzo bym się z tym miastem pokłócił. Dlatego wolałem skupić się na przyjemnościach.

JAKI PYSZNY... DURIAN

Na targowisku ruch jak w ulu. W biało-niebieskim budynku w stylu art déco, ustawionym w latach 30. ub. wieku na miejscu starej hali, kiedyś sprzedawano świeże mięso, ryby, warzywa i owoce. Teraz to jednak wielki ciucholand, w którym można przepaść na kilka godzin. Na szczęście cel miałem jeden: kupić spodnie rybackie, na których punkcie oszaleli turyści przybywający do Azji. Są szerokie, wiązane w pasie jak fartuch i przewiewne. Idealne, by zwiedzać w nich upalne miasto. Po zakupach przechadzam się jeszcze po Kasturi Walk – zadaszonym chodniku, gdzie występują lokalni muzycy, a potem zaglądam na pobliską Petaling Street, by spróbować malezyjskich słodyczy. Uzależniłem się od tutejszego króla deserów – cendola, i to z durianem okrzykniętym najbardziej smrodliwym owocem świata, z czym zupełnie się nie zgadzam. Uwielbiam go i to pod każdą postacią: na surowo (dojrzały ma posmak kawowy), w ciastach i właśnie w cendolu. To kawałki lodu ze słodkim syropem podawane z galaretkami z zielonego groszku,

Samadhi oznacza najwyższy stan osiągany w medytacji – moment, w którym umysł osiąga spokój absolutny.

Uliczny kucharz w Chinatown przygotowuje tradycyjne chińskie drożdżowe bułeczki mantou podawane jako przekąska.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

czerwoną fasolą, mlekiem kokosowym i właśnie durianem. Nic tak nie chłodzi w Malezji jak to nieprzyzwoicie słodkie danie. À propos duriana, to Malezję można uznać za stolicę tego owocu. Rośnie na plantacjach w okolicy miasta Johor Bahru, niedaleko granicy z Singapurem. Jednak jego intensywny zapach spowodował, że stał się w wielu miejscach Azji persona non grata. Nie można go przewozić metrem, nie można zabierać do samolotu ani zajadać się nim w zaciszu pokoju hotelowego.
– My Malezyjczycy bardzo go lubimy, ale jego intensywny zapach drażni turystów, stąd te zakazy. Durian to nie jeden owoc, on ma kilkanaście odmian, każda różni się m.in. zapachem i smakiem – wyjaśnia Balan Nadarajan znany w Kuala Lumpur jako Urban Farmer. O tym 47-letnim miejskim rolniku rozpisują się lokalne gazety. Powód? Zmienił nie tylko styl życia swojej pięcioosobowej rodziny, ale też mieszkańców KL i pomaga im zakładać przydomowe ogródki warzywno-ziołowe. – Kiedy zacząłem czytać, ile pestycydów używanych jest do przemysłowych upraw, postanowiłem, że zostanę ekologicznym rolnikiem, a swoją wiedzę przekażę potem innym. Żałuję jednak, że na tarasie nie mogę uprawiać w doniczce duriana, to by się niestety nie udało, rośnie na drzewach wysokich nawet na 50 m – dodaje i namawia mnie, bym jadał go jak najczęściej, bo dobrze wpływa na układ pokarmowy. Jego rady biorę sobie do serca.

NAJSŁYNNIEJSZE CELEBRYTKI

Pod wieczór jadę na spotkanie z najsłynniejszymi malezyjskimi celebrytkami – Petronas Twin Towers. Te bliźniacze srebrne wieże połączone mostkiem, niegdyś najwyższe budynki świata (452 m wys.), są chyba najczęściej pokazywanymi w sieci budynkami Malezji. Najlepiej prezentują się w świetle zachodzącego słońca. Turyści i lokalsi wręcz okupują

SHUTTERSTOCK

Malezyjskie celebrytki – bliźniacze wieże Petronas Towers. W parku KLCC można odpocząć w cieniu drzew, a dla dzieci jest plac zabaw.

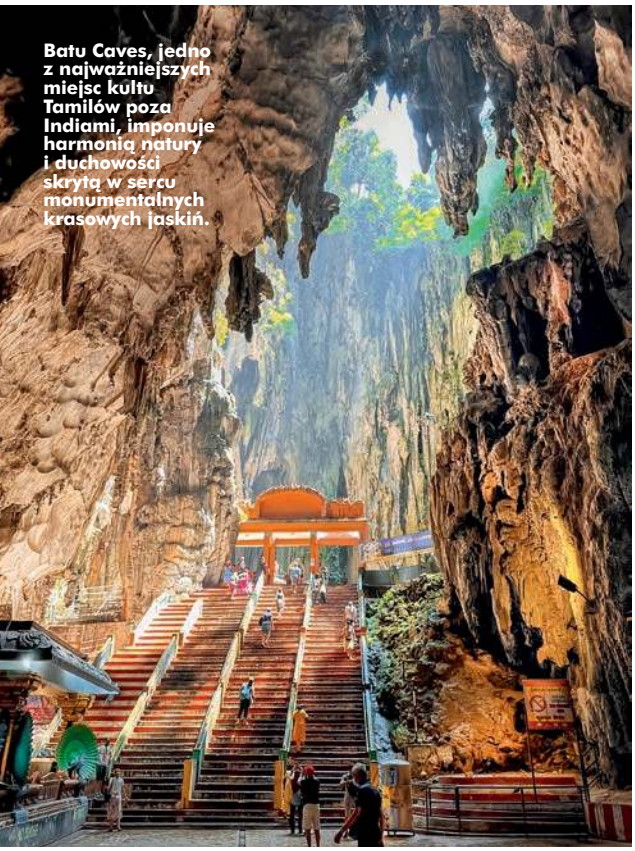

Batu Caves, jedno z najważniejszych miejsc kultu Tamilów poza Indiami, imponuje harmonią natury i duchowości skrytą w sercu monumentalnych krasowych jaskiń.

W okresie Chińskiego Nowego Roku ulica Petaling zamienia się w jarmark pełen kadzideł, jedwabnych ozdób i ulicznych przysmaków.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

XIX-wieczny gmach Sułtana Abdula Samada to jeden z najważniejszych zabytków kolonialnej architektury miasta.

teren wokół wież, by zrobić jak najlepsze zdjęcia. Zajmują chodniki, skrzyżowania i pobliski KLCC Park. Albo wjeżdżają na KL Tower – wieżę telewizyjną, by stąd je podziwiać. Ja jednak wybieram zupełnie inne spojrzenie na wieże. Ze Sky Baru na 33. piętrze hotelu Traders KL, do którego wejście jest bezpłatne, a widok na celebrytki idealny. Można zasiąść nad brzegiem basenu albo na kanapach, wypić drinka i rozpocząć imprezowy podbój stolicy Malezji.

SCHODY W KOLORACH TĘCZY

Noc spędziłem w willi niedaleko centrum. Położona była między wysokościowcami, otoczona bambusowym płotem, z tropikalnym ogrodem i basenem. To było idealne miejsce na wyciszenie. Jego nazwa – Samadhi, oznacza najwyższy stan osiągany w medytacji – moment, w którym umysł osiąga spokój absolutny. – W naszym domu lęki zostawiasz za drzwiami – usłyszałem od gospodarzy.

I faktycznie tak było. A po poranku spędzonym na jodze i pierwszych próbach medytacji ruszyłem za miasto, do jaskiń Batu. Położone 13 km od stolicy świątynie wybudowane w wapiennych skałach są miejscem pielgrzymek hindusów, a prowadzące do głównej jaskini 272 intensywnie kolorowe schody są od ubiegłego roku na ustach całego świata. Otóż zarządcy jaskini pomalowali szare stopnie w tęczowe barwy, co wywołało niemały skandal. Poszło nie o kolory, lecz o to, że nie skonsultowali tego z miejscowymi urzędnikami. Nie jest jasne, czy musieli to robić, faktem jest jednak, że w malezyjskich mediach rozpętała się narodowa dyskusja o kolorach schodów, co tylko jeszcze bardziej rozsławiło Batu Caves. Do jaskiń przybywają rekordowe liczby podróżników. Mijają 42-metrowy posąg Murugana – w wierzeniach hindusów to bóg wojny, i wspinają się do Jaskini Katedralnej, uważając po drodze na wygłodniałe małpy. Jaskinie to niezłe miejsce, gdzie choć na chwilę można uciec przed malezyjskim żarem. Schronić się też można w parkach w stolicy – np. Ptaków, i w ogrodach botanicznych Perdana. Mój wybór padł jednak na KL Forest Eco Park – dżunglę w miejskiej dżungli, której największą atrakcją jest ostatni dziewiczy las deszczowy na świecie, jaki pozostał w centrum miasta. Bujną zieleń podziwiam z podwieszanego mostu. Spacer nie jest długi, zajmuje może kwadrans – jak dla mnie wystarczająco. Z deszczowego lasu blisko miałem do najważniejszego punktu drugiego dnia zwiedzania: masażu! Zanim wybrałem The Rub Bar KL, przejrzałem setki opinii o tutejszych salonach. Ten miał bardzo dobre recenzje, wizytę trzeba było zarezerwować z jednodniowym wyprzedzeniem. Zdecydowałem się na masaż 3 w 1 – masowanie nóg, karku i szyi oraz głowy. Masażystka najpierw podała mi ciepłą herbatę z imbirem, obmyła stopy, potem mnie głaskała, rozcierała, uciskała, oklepywała, a na koniec wstrząsała. I tak przez półtorej

Masażystka najpierw podała mi ciepłą herbatę z imbirem, obmyła stopy, potem mnie głaskała, rozcierała, uciskała, oklepywała.

Clay Pot Chicken Rice to jedno z najbardziej charakterystycznych dań Malezji – ryż z kurczakiem przygotowywany w glinianym naczyniu na żywym ogniu.

godziny. To było dobrze wydane 120 zł. Na ostatnią kolację wróciłem pod wieże Petronas, chciałem jeszcze raz popatrzeć na symbol KL i ucztować w towarzystwie bliźniaczek. Wybrałem jedną z całodobowych jadłodajni Nasi Kandar Pelita – to popularna sieć tanich restauracji w Malezji. A nasi kandar to sposób serwowania ryżu (nasi). Przez wiele lat uliczni sprzedawcy nosili go w specjalnych naczyniach (kandar) i sprzedawali z dodatkami: sosem albo mięsem. Dziś kelnerzy podają go do stołu. Zamówiłem więc do niego rybę tikka masala z pieca tandoor, czosnkowe chlebki naan, a do popicia orzeźwiające w upalne dni i noce słone mango lassi z odrobiną chili. Wychodząc z jadłodajni, dostrzegłem hasło na plakacie: Lepiej wydać pieniądze na dobre jedzenie niż na lekarza. I tak z Kuala Lumpur oprócz kulinarnych wspomnień przywiozłem kolejne życiowe motto.■

GETTY IMAGES (2), SHUTTERSTOCK(2)

eprasa.pl 9d6ea83e6a

JUNNAN

WYBIERZ SIĘ NA JEDEN Z NAJPIĘKNIEJSZYCH SZLAKÓW W CHINACH.

Wąwóz Skaczącego Tygrysa w prowincji Junnan jest jednym z najgłębszych na świecie, a różnica 3790 m między szczytami skalnych ścian a rzeką Jangcy w dole sugeruje, że wędrowanie po tym terenie może być wyzwaniem. Tymczasem to jeden z łatwiejszych szlaków trekkingowych w Chinach. Pokonują go nawet seniorzy oraz dzieci i nie potrzeba do tego specjalistycznego sprzętu, namiotu ani przewodnika. Mającą 26 km trasę zaplanuj na dwa dni i spędź noc w jednym z pensjonatów po drodze. Wystartujesz z wioski Qiaotou, by najpierw podążyć mało atrakcyjnym asfaltowym odcinkiem, który jednak niebawem zmienia się w kamienistą ścieżkę wijącą się po stokach gór. Im dalej, tym krajobraz robi się bardziej spektakularny, ściany wąwozu wyższe, a wodospady liczniejsze. Jak na chińskie warunki, szlak jest dziki – nie ma schodów, utwardzonej nawierzchni ani betonowych barierek. Kamienista nawierzchnia nie nastręcza jednak problemów, a większość podejść jest dość łagodna. Wyjątkiem jest odcinek nazywany 28 Zakrętami – zawijając kolejne serpentyny, droga pokonuje 450 m różnicy wysokości. Widoki są tu jednak na tyle imponujące, że wędrowcy co rusz przystają, by robić zdjęcia, przy okazji też trochę odpoczywając.

PASTERZE I ZIELONA HERBATA

Drugiego dnia wędrówki natkniesz się zapewne na mieszkających w okolicach ludzi z grupy etnicznej Naxi, którzy przemieszczają się po szlaku i górach ze stadami kóz i krów. To wiecznie uśmiechnięci pasterze z życzliwością patrzący na turystów, choć ze względu na barierę językową może być z nimi trudno o jakąkolwiek pogawędkę. Po drodze miniesz kilka gościńców, w których przyjemnie jest się zatrzymać, by coś zjeść (popularnością cieszą się tutaj szczególnie naleśniki z bananami), napić się zielonej herbaty i napawać widokami na szczyt Śnieżnej Góry Nefrytowego Smoka i Śnieżnej Góry Haba. Ten odcinek jest ławy, wystarczy się trzymać ścieżki, na tym fragmencie jest w zasadzie tylko jedne nieco większe podejście. Po kilku godzinach spaceru dotrzesz do Tina Guesthouse w miasteczku, gdzie możesz wypić piwo, świętując ukończenie trasy.■

Wędrówka Wąwozem Skaczącego Tygrysa z widokiem na majestatyczne górskie krajobrazy.

A DOBESTOCJ., GETTY IMAGES

Potęga rzeki Jangcy ukazuje tu swoją nieskrępowaną siłę – wąwóz, w którym natura nieustannie przypomina o przewadze nad człowiekiem.

NEPAL
ANNAPURNA

Mount Machhapuchhare (6993 m n.p.m.) to jeden z najbardziej charakterystycznych wierzchołków w tej części Himalajów. Dla Nepalczyków to święta góra, tron boga Sziwy.

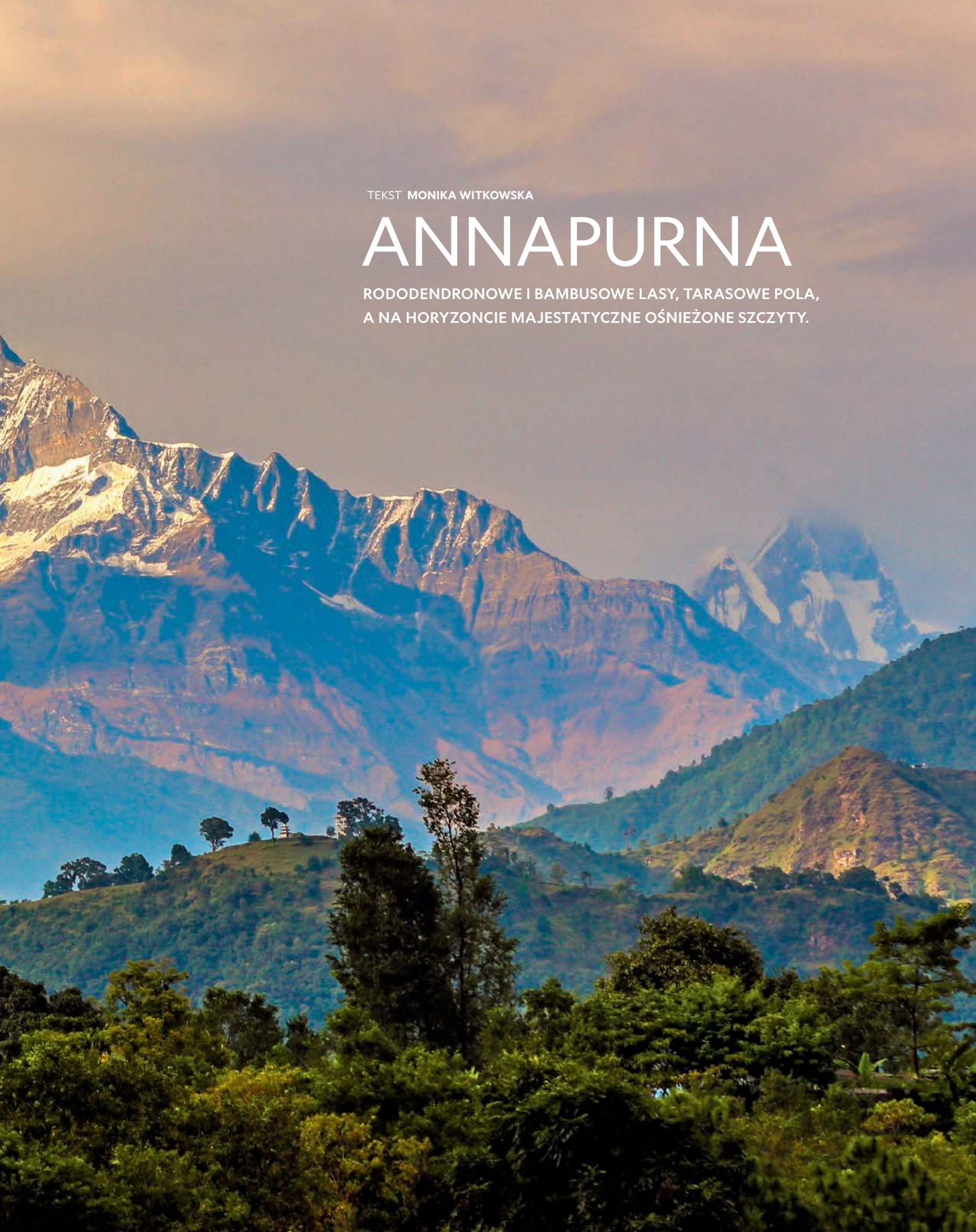

TEKST **MONIKA WITKOWSKA**

ANNAPURNA

RODODENDRONOWE I BAMBUSOWE LASY, TARASOWE POLA, A NA HORYZONCIE MAJESTATYCZNE OŚNIEŻONE SZCZYTY.

Pierwszą okazję do zachwytu ośnieżonymi szczytami mamy już w Pokharze, mieście, z którego wyrusza się na trekkingi w rejonie Annapurny. W przeciwieństwie do Katmandu to drugie co do wielkości nepalskie miasto znajduje się dużo bliżej himalajskich kolosów niż stolica. Z tarasu na dachu naszego hoteliku mamy widok na strzelisty Machhapuchhare, prawie siedmiotysięcznik (brakuje mu 7 m) zwany też Rybim Ogonem. Trafność tej nazwy docenimy za kilka dni, kiedy spojrzymy na niego z zupełnie innej strony. Annapurnę też widać, ale jeszcze nie tę najwyższą. Bo Annapurna to nie jeden konkretny szczyt, ale cały masyw, z wieloma wierzchołkami. 8 tys. m osiąga jedynie Annapurna I, chociaż te pozostałe (II, III, IV, Annapurna Fang, Gangapurna i inne), mimo że niższe, również mogą być dla wspinaczy trudne i niebezpieczne.

Pod Annapurnę można wyruszyć tylko z lokalnym przewodnikiem, mając wykupioną tzw. kartę TIMS (ok. 20 dol.) i permit ACAP (ok. 30 dol.).

Pieczone wprost na ulicy malutkie nepalskie pączki to popularna przekąska w stołecznym Katmandu.

MASALA, MOSTY I MAŁPY

Wędrówkę do bazy pod Annapurną popularnie określaną jako ABC (od ang. Annapurna Base Camp) rozpoczynamy z wioski Phedi, dokąd z Pokhary dojeżdża się busem. Jest stromo, gorąco, ale ciekawie. Mijamy poletka, na których uprawiane są ryż i proso, fotografujemy zaprzężone w pług woły. Przystając na odpoczynek, zaglądamy do tradycyjnego domu Gurungów. To dominująca tutaj grupa etniczna, zupełnie inna pod względem wyglądu czy tradycji niż najsłynniejsi w Nepalu Szerpowie żyjący dużo bardziej na wschód, w rejonie Everestu. Dom pełen jest kolb kukurydzy, na stole suszy się posiekana rzodkiew, a pod dachem werandy wisi pełniący rolę ula wydrążony w środku pniak. Zamawiamy tradycyjną herbatę masala, czyli z dodatkiem różnych przypraw (m.in. imbir, kardamon, gałka muszkatołowa czy goździki). Wierzcie mi, domowej roboty mieszanka bije na głowę tę podawaną w turystycznych kawiarniach.

Następny dzień rozpoczynamy o świcie. Niewyspanie rekompensuje nam kolejne „wow!" – tym razem jest to widok na imponującą ścianę Annapurny Południowej. To góra, którą najczęściej widzi się na tej trasie. Bardzo różnie prezentuje się z różnych perspektyw, ale zawsze jest dumna i okazała. W ciągu dnia główną atrakcją stają się dla nas wiszące mosty, w tym ten największy na trasie (i jeden z najdłuższych na świecie) – ma 287 m, zawieszony jest 135 m nad rzeką! Zaliczamy też gorące źródła – relaks w basenikach przy rzece kończy się odganianiem małp wyraźnie zainteresowanych pozostawionymi bezpańsko ubraniami. Od miejscowości Chhomrong na szlaku robi się bardziej tłoczno – trudno się dziwić, bo to odcinek, który nie ma już żadnych bocznych wariantów, w górę i w dół prowadzi ta sama droga (wcześniej mieliśmy ich wybór). Co i rusz przystajemy, aby przepuścić tragarzy albo karawany objuczonych mułów (w tym rejonie jaków nie ma – ze swoją grubą sierścią przegrzewałyby się). – Ale tych schodów nabudowali – komentuje ktoś z grupy, bo rzeczywiście szlak do bazy pod Annapurnę z kamiennych stopni słynie. Prawda jest jednak taka, że nie z myślą o turystach je stawiano. Od dawna miejscowi zabezpieczali w ten sposób błotniste, często obsuwające się trakty dla własnej wygody. Sceneria co chwila czymś zaskakuje – a to wodospadami, a to roślinnością, a to skałami o ciekawych kształtach. Jest też hinduistyczna kapliczka obwieszona buddyjskimi chorągiewkami; dowód na to, że

ADOBE STOCK (2), SHUTTERSTOCK POPRZEDNIE STRONY ADOBE STOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Trekking do bazy pod Annapurną trwa zwykle 7–8 dni. Wiele zależy od warunków pogodowych.

Kobieta z ludu Gurungów podczas mielenia ryżu w jednej z wysokogórskich wsi na drodze pod Annapurnę.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Słynny ABC (Annapurna Base Camp, 4130 m n.p.m.) to cel dla wielu grup trekkingowych. Obóz ozdobiony jest chorągiewkami modlitewnymi.

Po trekkingu warto wpaść na rafting na rzece Trisuli. Pontony spływają pomiędzy Katmandu a Pokharą. Wszystko trwa 3 godz.

Około 80 proc. mieszkańców Nepalu to hinduiści. Dlatego nie raz zobaczymy w tym kraju posągi boga Sziwy – z trójzębem w dłoni, półksiężycem na głowie, skórą tygrysa na ramieniu i wężem wokół szyi.

obie religie umieją tu wspaniale koegzystować. Żałujemy za to, że nie widzimy dzikich zwierząt – jedynym wyjątkiem są szczekuszki, gryzonie przypominające krzyżówkę chomika z myszą, nazwane tak od dźwięku, jaki z siebie wydają. Z tablic informacyjnych dowiadujemy się, że lokalna fauna jest mocno zróżnicowana – od tybetańskich lisów, piżmowców czy będących narodowymi ptakami Nepalu bażantów himalajskich, przez śnieżne pantery, zagrożone wyginięciem argale, aż po wielkie, ale płochliwe niedźwiedzie himalajskie.

BAZA CZY SANKTUARIUM?

Za wioską Deurali drzewa się przerzedzają, aż w końcu nie ma ich wcale, zieleń zaś zastępują różne odcienie szarości i brązu, a wyżej

ADOBE STOCK, SHUTTERSTOCK

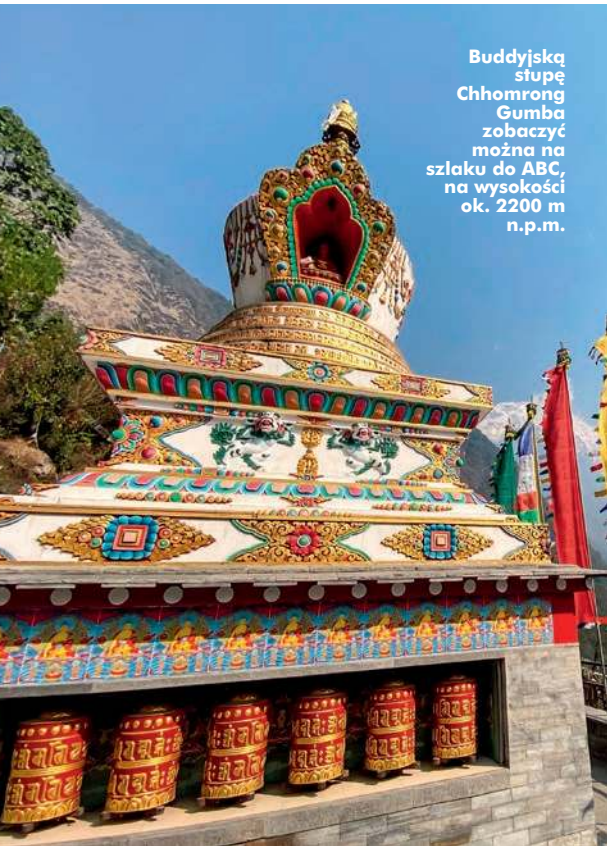

Buddyjską stupę Chhomrong Gumba zobaczyć można na szlaku do ABC, na wysokości ok. 2200 m n.p.m.

Jezioro Phewa w okolicach Pokhary słynie ze wspaniałych widoków oraz świątyni Tal Barahi na wyspie na jego środku.

Jaskinia Gupteshwor Mahadev w Pokharze to jednocześnie atrakcja turystyczna i miejsce święte – wewnątrz znajduje się świątynia hinduistyczna.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

biel. W jednym z guesthousów jego właściciel na wieść, że jestem z Polski, z euforią opowiada, że spotkał się tutaj z Jerzym Kukuczką. Nepalczyk jest dość leciwy, więc pewnie tak było – nasz słynny himalaista zdobył Annapurnę 3 lutego 1987 r. razem z Arturem Hajzerem, dokonując pierwszego w historii wejścia na tę górę zimą. Do bazy docieramy piątego dnia naszego trekkingu. Na takiej wysokości (4130 m n.p.m.) czuje się już niedotlenienie – ktoś zgłasza, że boli go głowa, inni dziwią się, jak bardzo brakuje im sił, choć przecież idziemy naprawdę wolno. To całkiem normalne – gorzej, jeśli kogoś dopadłby obrzęk mózgu albo płuc. Przy tablicy „Annapurna Base Camp – 4130 m, witamy" niektórzy płaczą ze szczęścia; dla wielu to spełnienie marzeń. Wśród otaczających nas gór wyszukujemy tę najważniejszą, ośmiotysięczną Annapurnę I (8091 m, 10. pod względem wysokości góra świata).

Z tej perspektywy jest dość niepozorna, choć przecież zdradziecka i groźna. W statystykach śmiertelnych wypadków wśród ośmiotysięczników zajmuje niechlubne 1. miejsce, wyprzedzając nawet wyjątkowo trudne K2. Powodem są głównie lawiny, które akurat na tej górze schodzą szczególnie często. Aby zmniejszyć ryzyko, obecnie wspinacze wchodzą na Annapurnę od drugiej, północnej strony. Z tego względu w ABC żadnych namiotów himalaistów nie uświadczymy. Również dlatego coraz częściej zamiast słowa „baza" słychać tu określenie: „sanktuarium Annapurny". Co z tego, że żadnej świątyni również tu nie ma?! To sanktuarium duchowe, miejsce skłaniające do medytacji; myślę, że mistycyzm miejsca odczuje tu każdy. Inna sprawa, że ten górski amfiteatr w dawnych wierzeniach był uważany za dom przeróżnych bóstw. Annapurna to w hinduistycznej mitologii jedno z wcieleń bogini Parwati, towarzyszki Sziwy, a także córka króla Himawata, króla Himalajów (jego imię oznacza dosłownie: „bóg śniegu"). Z kolei w sanskrycie „Annapurna" oznacza „żywicielkę", „wypełnioną pożywieniem", co wiąże się z legendą o dobrym sercu bogini, która uchroniła ludzi przed głodem. Co więcej, dawni Gurungowie uważali, że pod Annapurną (górą!) znajdował się wypełniony złotem i kosztownościami boski skarbiec. Żeby przypadkiem nie obrazić bóstw, nie mogli tutaj przychodzić ludzie z najniższej kasty społecznej i kobiety. Ale i ci, którym było to dane, musieli zaakceptować różne zasady, np. zakaz wnoszenia tu jaj oraz mięsa. Czasy się zmieniły, ale przynosić i spożywać mięsa (z wyjątkiem owiec, kóz i kurczaków) tu nadal nie można.

KATEDRA W HIMALAJACH

Siedząc na kamieniu i ciesząc się chwilą, czy wręcz „audiencją u górskich bogów", uświadamiam sobie, że odniesienie do „sanktuarium" zawierają również słynne słowa wypowiedziane

Najlepsze warunki do trekkingu do bazy pod Annapurną są wiosną (od marca do maja) oraz jesienią (od września do listopada).

Masala czaj, czyli herbata z mlekiem oraz przyprawami: zwykle kardamonem, imbirem, goździkami, cynamonem i czarnym pieprzem.

niegdyś przez Anatolija Bukriejewa, jednego z najwybitniejszych himalaistów świata, który zginął w 1997 r. właśnie na Annapurnie: „Góry to nie stadiony, gdzie zaspakajam swoje ambicje, to katedra, w której praktykuję swoją religię". Na symbolicznym cmentarzyku koło skupiska guesthousów są dwie tablice poświęcone słynnemu Kazachowi i jego partnerowi (z Bukriejewem w lawinie zginął też Dmitrij Sobolew). Spacerując między pamiątkowymi pomniczkami, spoglądam na symboliczny czekan upamiętniający 40-letnią Koreankę, „która kochała wspinaczkę", czy metalowe serce ku czci kolejnego Koreańczyka. Czytam też inne epitafia. W międzyczasie przychodzą chmury i zasłaniają góry, dając do zrozumienia, że czas przenieść się do jadalni nagrzanej już oddechami wielu osób. Po bardzo

SHUTTERSTOCK (3), ADOBE STOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

zimnej nocy zwlekamy się z łóżek jeszcze w ciemnościach, aby pierwsze promienie słońca powitać na pobliskim wzgórzu. Spektakl, jaki funduje nam natura, jest niezapomniany – powoli „zapalają" się kolejne szczyty, zabarwiając się na żółto. Romantyzm chwili przerywa warkot helikoptera. Przywiózł pasażerów, którzy zamiast wędrówki wybrali słono płatną 20-minutową wycieczkę z Pokhary.

Długo tu nie zostaną, bo szybko dopadłaby ich choroba wysokościowa, ale na zrobienie zdjęć czasu wystarczy.

ABC. ZROBIŁEM TO!

Po powrocie do Chhomrong, co zajmuje nam dwa dni, nie schodzimy w doliny; pofalowanym szlakiem odbijamy jeszcze do wioski Ghorepani. Oznacza to kolejne dwa dni wędrówki. Idziemy, podziwiając tarasowe pola i podglądając życie miejscowych.
– O, uprawiają marychę! – rzuca ktoś z mojej grupy. Odkrywamy w ogródkach charakterystyczne pięciopalczaste liście konopi indyjskich.
– To tylko na własny użytek – tłumaczy przewodnik. Godzinę później zachwycamy się niezwykłym lasem – wygląda jak wyjęty z jakiegoś parku jurajskiego. Omszałe, powykrzywiane drzewa wyglądają całkiem inaczej

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Zaopatrzenie dla obozów wspinaczy pod Annapurną zapewniają zwykle Gurungowie. Towary noszą często w wiklinowych koszach .

SHUTTERSTOCK (2)

niż te, które oglądaliśmy wcześniej. Najpierw były lasy rododendronowe, potem gąszcze bambusowe. Teraz te przedziwne i ciekawe, ale których nie umiem zidentyfikować. Na przełęczy Deurali (3100 m n.p.m.) przystajemy na sesję zdjęciową, bo oto wyłonił nam się kolejny ośmiotysięcznik, Dhaulagiri (8167 m, siódma co do wysokości góra świata). Mam do niego szczególnie emocjonalny stosunek, po tym jak w 2009 r. zginął na nim wybitny himalaista i mój kolega Piotr Morawski. Wioska Ghorepani to już cywilizacja. Wrócił zasięg telefonii komórkowej, w guesthousie mamy w pokojach łazienki z darmowym gorącym prysznicem (wcześniej tak dobrze nie było), są też normalne sklepy. Zanim na dobre pożegnamy się z górami, wchodzimy jeszcze na wzgórze Poon Hill (3210 m n.p.m.), by zobaczyć ostatni

Jeśli śpimy w guesthousie, posiłki powinniśmy zamówić u gospodarzy. Zwykle nie ma zgody na samodzielne gotowanie.

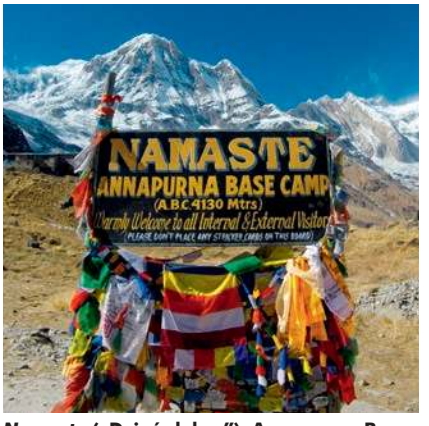

***Namaste* („Dzień dobry"), Annapurna Base Camp, ABC 4130 m. Dla zdjęcia z tym napisem trekkerzy przemierzają długą drogę.**

na tej wyprawie himalajski wschód słońca. Właściwie jesteśmy nawet wyżej, bo na polanie wybudowana jest spora wieża widokowa. A potem mamy długi dzień wędrówki w dół. To, co ekipy wchodzące do Ghorepani rozkładają na dwa dni, w przeciwnym kierunku zalicza się w jeden. Znowu czekają nas setki schodów i wioski kolejnej grupy etnicznej – Magarów. Różnią się od Gurungów nie tylko strojem, ale i językiem, chociaż szczęśliwie pozdrowienie *namaste* jest uniwersalne – niezależnie od tego, z kim w Nepalu ma się do czynienia. Wieczorem jesteśmy już w Pokharze i buszujemy w sklepach z pamiątkami. Efekt? Następnego dnia niemal wszyscy z ekipy pojawiają się na śniadaniu w koszulkach z napisem: „Annapurna BC Trek. Zrobiłem to!". ■

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Charakterystyczna biała stupa to znak, że zbliżamy się do wsi Namcze Bazaar. W lokalnej buddyjskiej tradycji jest to stupa opiekuńcza. W tle: widok na Everest i Lhotse.

TEKST **MONIKA WITKOWSKA**

EVEREST

TREKKING DO BAZY POD EVERESTEM TO PRZYGODA SAMA W SOBIE. PO DRODZE: SUROWA HIMALAJSKA PRZYRODA, SZERPOWIE, JAKI, NO I WIDOKI – Z TYM NA NAJWYŻSZY SZCZYT ZIEMI NA CZELE!

Już na samym początku mamy niezłą dawkę emocji. Nasz półgodzinny lot kończy się lądowaniem w Lukli słynącej z najbardziej niebezpiecznego lotniska świata. Pas startowy nie dość, że jest krótki, to z jednej strony ogranicza go klif, a z drugiej skaliste górskie zbocze. – Uff, jeszcze raz się udało! – wzdycham z ulgą, bo choć byłam w tym miejscu ponad 20 razy, za lądowaniem tutaj zdecydowanie nie przepadam. Położona na wysokości 2860 m Lukla to zabudowana hotelikami wioska, z której zaczyna się szlak do bazy pod Everestem. Nie da się tutaj dojechać – alternatywą dla małych samolotów oraz helikopterów jest kilkudniowa wędrówka, jednak niemal wszyscy turyści wybierają lot.

Słynne namiotowe miasteczko w bazie pod Everestem można zobaczyć pomiędzy połową kwietnia i trzecim tygodniem maja.

Papad (cienki, chrupiący placek z soczewicy lub ciecierzycy), ryż i blanszowane warzywa – smaczny i zdrowy posiłek trekkera.

ŚLADY YETI

Pierwsze dwa dni trekkingu to trasa doliną wzdłuż rzeki zasilanej wodą z lodowców. Teraz jest jeszcze zielono, co chwila mijamy wioski, a główną atrakcję stanowią liczne wiszące mosty. Najbardziej spektakularny jest dyndający 125 m nad dnem kanionu, znany z filmu *Everest* most Hillary'ego (tak naprawdę w roku 1996, w którym toczy się akcja filmu, konstrukcji, po której teraz się idzie, jeszcze nie było). Niedługo potem dochodzimy do Namcze Bazar – największej na trasie miejscowości wpasowanej amfiteatralnie w półkoliste zbocze. To ostatnia szansa na supermarket, bankomat czy pub, w którym można potańczyć. Chociaż akurat imprezowanie lepiej zostawić na powrót, bo na razie każdy gwałtowniejszy ruch powoduje zadyszkę, a co niektórych boli już głowa. Swoją drogą ze względu na wysokość – 3450 m – pobyt w Namcze Bazar warto wykorzystać do zwyczajowego przystanku aklimatyzacyjnego. Oznacza to konieczność zatrzymania się na dwie noce, tak aby organizm miał czas na stopniowe przystosowanie się do coraz większego niedotlenienia. My wolny dzień wykorzystujemy na wypad do położonej po drugiej stronie góry wioski Khumjung. Po drodze odwiedzamy jeszcze wyjątkową, niedawno otwartą placówkę zwaną Sagarmatha Next (Sagarmatha to nepalska nazwa Everestu). Dzięki nowoczesnym technikom typu specjalne okulary itp. przenosimy się tu na Everest, poznajemy historię i kulturę regionu, ale też podziwiamy budzące refleksje dzieła sztuki tworzone z różnych odpadów. W ramach pamiątki można kupić np. rzeźbę Everestu zrobioną z nakrętek po zużytych butelkach po wodzie. W samym Khumjungu też spędzamy trochę czasu. Oglądamy szkołę, która powstała z inicjatywy Edmunda Hillary'ego, pierwszego zdobywcy Everestu, z myślą o dzieciach mieszkających kilka dni drogi od najbliższej szkoły. Dzięki internatowi i fundowanym stypendiom szansę na edukację mają nawet najbiedniejsi uczniowie. Zaglądamy też do miejscowego klasztoru buddyjskiego. Przechowuje się w nim skalp yeti. Czy jest prawdziwy? Miejscowi zarzekają się, że jak najbardziej, naukowcy raczej wątpią. Gdy pytam, czy ktoś kiedyś spotkał śnieżnego człowieka, zawsze słyszę podobną odpowiedź: no nie, na własne oczy to nie. Ale że zna kogoś, kto ma kuzyna, którego dziadek widział... ślady yeti.

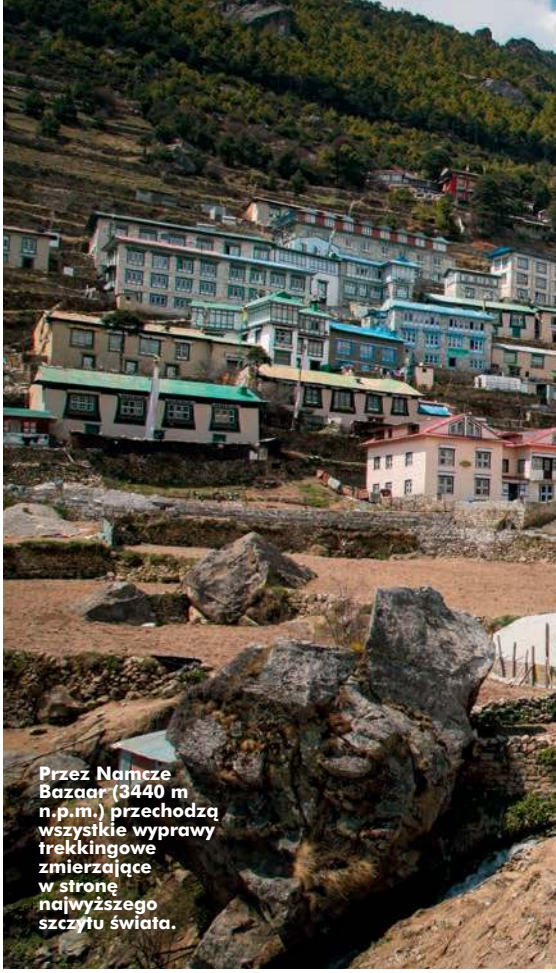

Przez Namcze Bazaar (3440 m n.p.m.) przechodzą wszystkie wyprawy trekkingowe zmierzające w stronę najwyższego szczytu świata.

JAKI PRAWDZIWE I NIEPRAWDZIWE

Kolejne dni to uczta dla oczu. Podziwiamy ostatnie lasy (wiosną kolorowe od wielometrowych drzewiastych rododendronów), ale z czasem roślinność zanika, a uwagę skupiają ośnieżone, hipnotyzujące

SHUTTERSTOCK (4) POPRZEDNIE STRONY ADOBESTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Domy żyjących w wysokich górach Szerpów nierzadko są ozdobione tradycyjnymi wzorami.

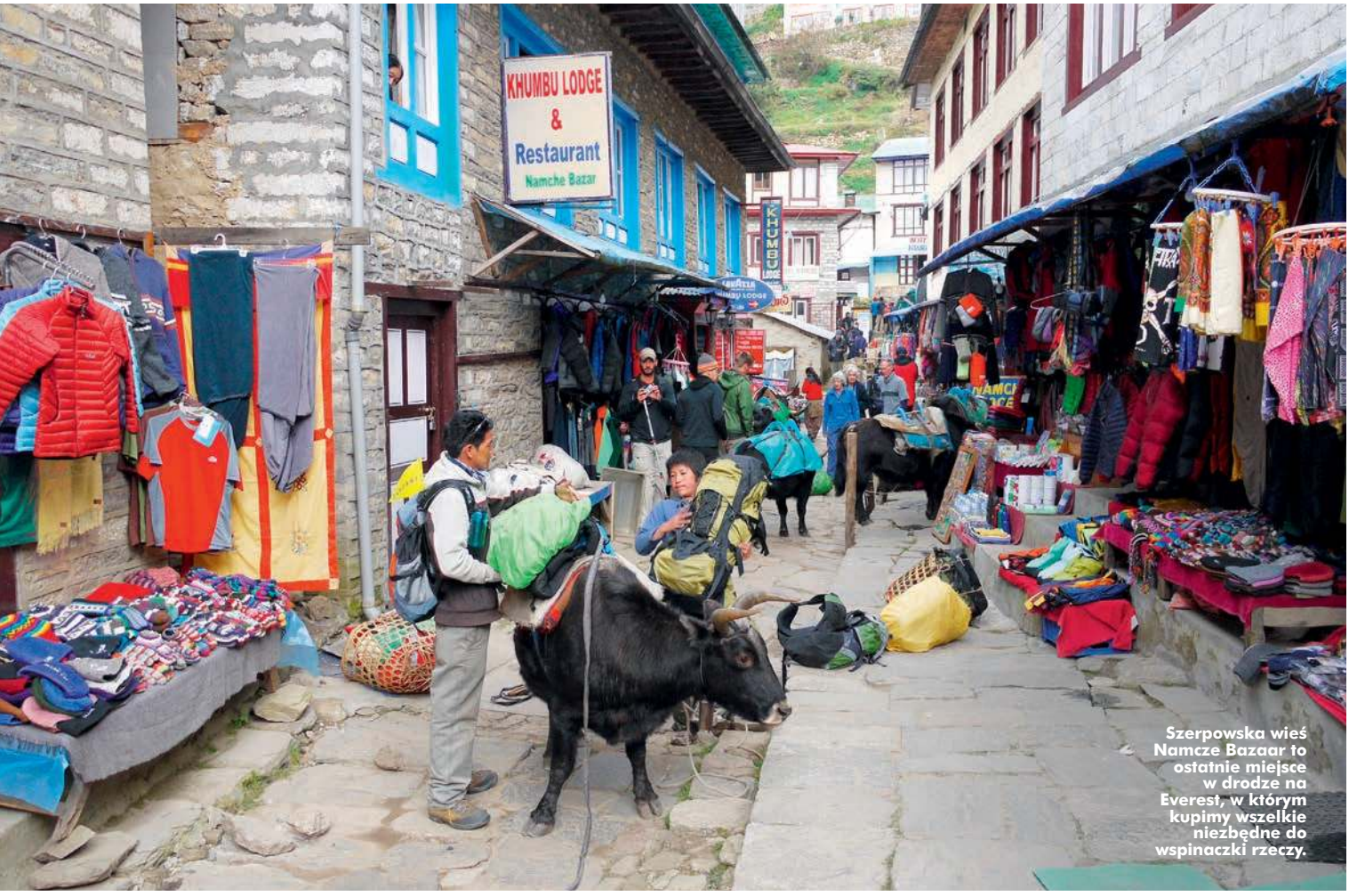

Szerpowska wieś Namcze Bazaar to ostatnie miejsce w drodze na Everest, w którym kupimy wszelkie niezbędne do wspinaczki rzeczy.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Przełęcz Cho La (5420 m n.p.m.) to jedno z najbardziej malowniczych miejsc w Parku Narodowym Everestu. Leży pomiędzy dolinami Gokyo i Dzongla/ Lobuche.

ogromem szczyty, w tym zaliczany do najpiękniejszych na świecie Ama Dablam. Oprócz przerw na fotografowanie mamy też liczne postoje na przepuszczanie tragarzy. To na ich barkach leży transport sprzętu himalajskich wypraw, a także zaopatrzenie mieszkańców mijanych wiosek. Niezależnie od tego, czy chodzi o materiały budowlane, prowiant, paliwo, czy choćby butelki z wodą – wszystko trzeba wnieść. – Ile kilogramów dźwigasz? – pytam jednego z nich. – 120. Będę szedł z tym trzy dni... – odpowiada. Oprócz ludzi ładunki przenoszą też jaki. Idą karawanami, wzbudzając respekt wielkimi rogami, i akcentują swoją obecność donośnym dźwiękiem dzwonków. Powyżej Namcze Bazar są to prawdziwe jaki – z grubym, gęstym włosiem, podczas gdy na niższych wysokościach wędrują dzopkio, czyli krzyżówki jaków z krowami.

SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Jaki na tych wysokościach padałyby z przegrzania. – Ładunki noszą tylko samce. Te, co się pasą, włócząc się na wolności, to samice, czyli nie jaki, a naki – pouczają Szerpowie niewyedukowanych w tym temacie turystów. Szerpowie, czyli grupa etniczna żyjąca w rejonie Everestu, przed wiekami przybyli tu z Tybetu. Trekking do bazy pod Everestem to dobra okazja, aby poznać ich kulturę i styl życia. Są buddystami, co widać choćby po rozwieszanych dosłownie wszędzie chorągiewkach modlitewnych. Ich kolory mają konkretną symbolikę – czerwony oznacza ogień, biały – powietrze i wiatr, niebieski – niebo i przestrzeń, zielony – wodę, a żółty – ziemię. Nasi przewodnicy też są Szerpami. Jeden ma na imię Pasang, co oznacza, że przyszedł na świat w piątek, a jego brat to z kolei Dawa, czyli „urodzony w poniedziałek". Między sobą mówią

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Kołyszące się mosty linowe to w tym regionie norma. Nie wszyscy wędrowcy od razu są w stanie je polubić.

w języku zupełnie odmiennym niż ogólnonarodowy nepalski. Na nasze *namaste* – czyli nepalskie „dzień dobry", uśmiechają się i odpowiadają szerpowskim pozdrowieniem: *taszi delek!* Z szacunku do ich tradycji wszystkie religijne obiekty, takie jak ozdobione „wszechwidzącymi oczami Buddy" stupy i budowane ku czci zmarłych czorteny, obchodzimy zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Jak ktoś się zapomni, nie ma problemu, ale staramy się tego pilnować, czym zyskujemy sobie sympatię miejscowych. Są też dwa czorteny, do których musimy zboczyć z głównego szlaku do EBC (Everest Base Camp), ale idziemy, bo są nam szczególnie bliskie. Jeden, zlokalizowany w lesie na obrzeżach Namcze Bazar, postawiono ku czci wszystkich polskich wspinaczy, którzy zginęli w Himalajach i Karakorum. Drugi stoi koło wioski Chukhung, a upamiętnia Jerzego Kukuczkę, Rafała Chołdę i Czesława Jakiela, ofiary ogromnie trudnej południowej ściany Lhotse. Wybieramy się tam w ramach wycieczki podczas kolejnego przystanku aklimatyzacyjnego, tym razem zrobionego w Dingboche, wiosce położonej na malowniczym płaskowyżu na wysokości 4200 m n.p.m.

HERBATKA NA LODOWCU

Hasłem każdego poranka, gdy wyruszamy w trasę, jest *dżam, dżam!*, co po nepalsku oznacza po prostu: „idziemy, idziemy!". Każdego dnia jest nieco trudniej. Im wyżej, tym robi się chłodniej – z czasem trzeba się przestawić na cieplejsze ubrania, a i kurtki puchowe też się przydają. Ostatnia wioska, w której śpimy przed Everestowym base campem, to Gorak Shep na wysokości 5100 m n.p.m. Korzystając z okazji, zaliczamy wznoszące się nad nią kamieniste wzgórze Kala Patthar (Czarna Skała). Po 2,5 godz. dyszenia i mozolnych starań o każdy krok (efekt wysokości) tuż przed zachodem słońca zdobywamy sięgający 5550 m szczyt, z którego mamy widok na całkiem bliski Everest (w linii prostej dzieli nas od niego raptem 9,5 km). To ważne, bo z bazy najwyższej góry świata... nie widać. Ale oto przychodzi najważniejszy dzień naszej wyprawy. Finalny odcinek to kalejdoskop widoków, które zapamiętamy na resztę życia. Nad sobą mamy legendarne szczyty, w dole posiekany szczelinami lodowiec Khumbu, a na przedzie otwiera się znany z książek (a mnie z autopsji) lodospad (icefall), którym wspinacze zdobywający Everest przechodzą w drodze do obozu 1. Słychać tu huk lawin i spadających ton śniegu. Na szczęście w bezpiecznej od nas odległości.

ADOBESTOCK, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Po drodze nie raz spotykamy karawany jaków. Mało kto wie, że te zwierzęta nie lubią ciepła i żyją niemal wyłącznie powyżej 3500 m n.p.m.

Wielki głaz z napisem „Everest Base Camp" to swoista granica dwóch światów – trekkerów i wspinaczy. Niepisane zasady mówią, że do rozciągającego się dalej namiotowego miasteczka turyści wstępu nie mają – po zrobieniu zdjęć przy napisie wracają. Ja ze swoją grupą mam jednak oficjalne zezwolenie na pobyt w bazie – pomogli znajomi, których obiecałam odwiedzić. Część towarzyska zajmuje mi kilka godzin. Kawa u Nimsa, czyli Nirmala Purji (który dzierży rekord szybkości w zdobywaniu ośmiotysięczników i wszedł zimą na K2), potem herbatka u Lakpy, który demonstruje mi nowy typ aparatów tlenowych. W kolejnym obozie wspominki z wyprawy na K2 przerwane gratulacjami dla słaniającego się z wyczerpania Anglika, który właśnie wrócił z obozu trzeciego. – W tym roku jest tylko pięć drabin do pokonania – opowiada mi, wiedząc, że podczas mojej wspinaczki w roku 2013 było ich 21. – Ale za to droga jest dłuższa – dodaje. Cóż, żeby mieć szansę na szczyt, trzeba się napracować, no i zaryzykować. Nieprawdą jest, że tych, co mają pieniądze, ktoś na górę wniesie. – My wiemy już, że dojście nawet na te 5300 m n.p.m. wcale nie jest łatwizną, swoje „odcierpieć" trzeba. A przecież to dopiero połowa drogi na szczyt – mówią moi turyści. Zmęczeni, lecz równocześnie szczęśliwi.

POCZTÓWKOWA SCENERIA

Jak wracamy? Najkrótszą opcją jest zejście tą samą drogą, którą wchodziliśmy. To, co zajęło nam osiem dni, w drugą stronę jesteśmy w stanie pokonać w zaledwie trzy. My wybieramy opcję ambitniejszą, czyli dłuższą, bo sześciodniową, wymagającą pokonania wysokiej przełęczy Cho La (5420 m n.p.m.). Przy okazji zaliczamy też Gokyo Ri, mający 5357 m n.p.m. szczyt, który dla odmiany zdobywamy o wschodzie słońca. Warto, bo to jeden z najlepszych punktów widokowych w całych Himalajach – w panoramie są aż cztery ośmiotysięczniki, czyli Everest, Lhotse, Makalu oraz hipnotyzujące wielkością oraz bliskością Czo Oju (8201 m n.p.m., szósta góra świata). Chociaż to, co w dole, też wywołuje ochy i achy – chodzi o turkusowe jezioro, nad którym położona jest wioska Gokyo – sceneria wręcz pocztówkowa. Dalsza droga, niby w dół, ale w praktyce pofalowana, mija już szybko. Wraz z gubieniem wysokości mamy też coraz więcej tlenu w płucach, co z kolei przekłada się na łatwiejsze oddychanie i więcej sił. A kiedy dochodzimy do Lukli, nawet ci, którzy najbardziej tęsknili za powrotem do cywilizacji, stwierdzają: będziemy tęsknić. Za Himalajami. ■

eprasa.pl 9d6ea83e6a

epraca.pl 9d6ca83e6a

Na rozlewiskach wokół Alappuzhy zobaczyć można mnóstwo mieszkalnych barek – kettuvallam.

TEKST **MACIEJ WESOŁOWSKI**

KERALA

ZACHWYCAJĄCE ROZLEWISKA, WYJĄTKOWA FAUNA I KOLOROWE LOKALNE FESTIWALE – TO ŚCIĄGA TURYSTÓW W INDYJSKIE TROPIKI.

Wstaję wcześnie rano. Jedziemy do Alappuzhy, która nazywana jest czasem indyjską Wenecją. Meldujemy się na niewielkiej przystani, skąd ruszamy na wycieczkę łodzią po keralskich rozlewiskach (backwaters). Z grupą kilkunastu innych cudzoziemców płyniemy trzema czółnami wśród soczyście zielonego buszu. Z obu stron co chwilę wyłaniają się chaty wieśniaków. Dla nich backwaters mają całkiem inne znaczenie niż dla nas, zbieraniny przybyszów z całego świata. Jeszcze całkiem niedawno to one stanowiły podstawową sieć transportową w regionie. Zresztą do dzisiaj z nich korzystają. Podwożąc sąsiada do leżącej obok wioski czy jadąc na zakupy do miasta. Miejscowych widzimy zazwyczaj przy pracy. Tkają nici z kokosowego włosia, rozłupują kokosowe orzechy i wykładają je na trawie do suszenia. Wszystko tu kręci się wokół kokosa. Miąższ służy jako pożywienie, ale też materiał do produkcji kosmetyków i lekarstw, ze skorup rzemieślnicy dłubią sztućce, zabawki i suweniry, z kokosowej „wełny" powstają liny. Zanim przesiądziemy się do większej, zadaszonej łodzi, zjemy obiad pod daszkiem z wysuszonej trzciny cukrowej. Na potężnych liściach bananowca pasta kokosowa, warzywa, ryż. Plus toddy, czyli miejscowe piwo z – jakże by inaczej – palmy kokosowej. Smakuje niespecjalnie. Taki ryżowy bimber z niedokończonej fermentacji. Ale raz w życiu warto spróbować. A o tym, że ten indyjski stan kokosem stoi, niech świadczy nawet jego nazwa, która pochodzi od słów kera („palma kokosowa") i alam („kraj").

W Kerali uprawia się aż 600 gatunków ryżu. Poza tym m.in.: palmę kokosową, banany, herbatę, pieprz, wanilię i cynamon.

Kanji – tradycyjny keralski kleik ryżowy serwowany z juką – to typowy tutejszy comfort food.

PŁYWAJĄCE HOTELE

Backwaters, a więc wszelakie kanały, laguny, groble, przesmyki czy umiejscowione w tropikalnym lesie stawy i jeziora, rozciągają się między miastami Koczin i Kollam, a cała ich sieć liczy sobie 900 km. Większość z nich powstała naturalnie, na skutek cofania się wody w głąb lądu; z czasem mieszkańcy poszerzyli i pogłębili część z wodnych dróg, wiele z nich także łącząc ze sobą. Słona woda z Morza Lakkadiwskiego miesza się tu ze słodką, spływającą z aż 38 rzek, które swój bieg rozpoczynają w Ghatach Zachodnich – niedalekim paśmie górskim, u którego podnóża uprawia się herbatę, kawę i przyprawy. Już przed wiekami to tędy transportowano ryż, przyprawy czy kokosy. Do przewozów wykorzystywano mieszkalne barki kettuvallam. Potrafiły przyjąć na pokład tony towaru, a przy okazji były domem dla handlowców. Dziś ich rolę w większości przejęły prężna indyjska kolej i ciężarówki. Charakterystyczne kettuvallam – długie na 25 m, drewniane, z zadartym dziobem i obłym kształtem części mieszkalnej – to dziś spora atrakcja turystyczna Kerali. Lokalni biznesmeni otwierają w nich np. pływające hotele. Takich houseboatów jest tu ponad 2 tys. W jednym z nich spędzę kolejne trzy noce. Jezioro Vembanad, gdzie wsiadam na pokład, to największy zbiornik wodny w całym stanie. W mieszkalnych barkach można tu przebierać. Moja ma trzy pokoje, niewielką kuchnię, jadalnię, toalety i klimatyzację. Jest więc całkiem wygodnie. Płyniemy po jeziorze, potem wbijamy się w kanały. Na noc zatrzymujemy się w niewielkich portach. Możemy zjeść coś na ciepło, pospacerować albo skorzystać z usług ajurwedyjskiego masażysty. Prowincja słynie z najlepszej w kraju medycyny ajurwedyjskiej. Podczas keralskiego masażu możecie być pewni, że wasza skóra przyjmie pewnie z litr wszelakich zdrowotnych olejów. Dinnan podczas ugniatania moich pleców podpytuje o Polskę, o naszą historię, zmiany polityczne, obyczaje. Sam rewanżuje się opiniami na temat szans ogólnoświatowej rewolucji uciemiężonych ludów świata, ale również historią Kerali

ADOBESTOCK (2), SHUTTERSTOCK (2), POPRZEDNIE STRONY SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

W Parku Narodowym Periyar spotkać można m.in. bawoły wodne (na zdj.), tygrysy i słonie azjatyckie.

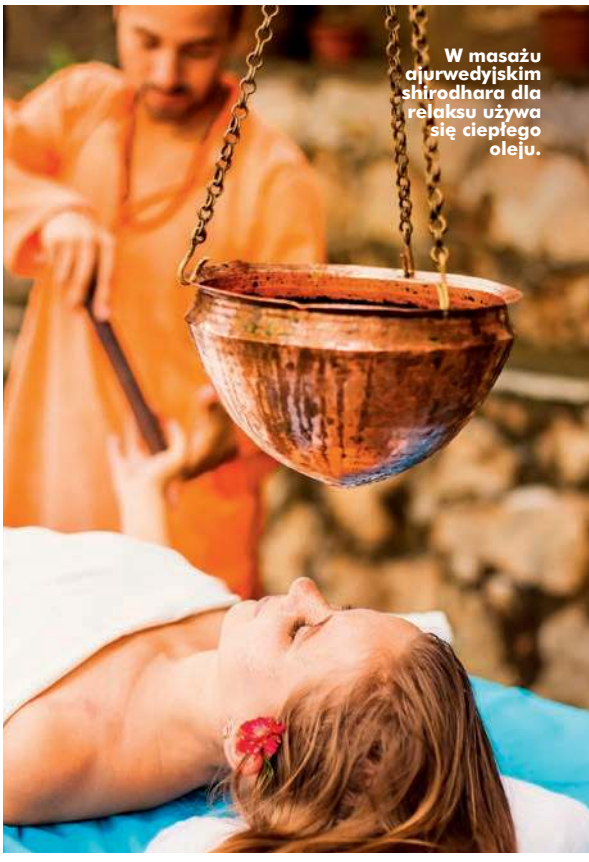

W masażu ajurwedyjskim shirodhara dla relaksu używa się ciepłego oleju.

Indyjskie ciężarówki często pomalowane są w barwne wzory. Tu: na ulicach Fortu Koczi.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Podczas świąt religijnych na ulicach keralskich miast zobaczyć można barwne korowody tańczących ludzi. Tu: artysta wykonujący tradycyjny taniec theyyam w ramach festiwalu tradycji i religii w Kannurze.

eprasa.pl 9c6ea83e6a

Wiewiórka malabarska to rzadki, chroniony gatunek. Żyje głównie w Kerali.

w pigułce. Opowiada o portugalskich, holenderskich i brytyjskich kolonizatorach, którzy przez wieki tu urzędowali. O języku malajalam, którym posługuje się blisko 100 proc. obywateli. O niezwykłej przyrodzie, z której wszyscy są tu dumni. O eksporcie kilku gatunków pieprzu, ale też cynamonu czy kardamonu. Wreszcie o sukcesach lokalnych komunistów, którzy często stanowili rząd stanowy i dzięki którym tropikalny stan chwali się teraz jednym z najwyższych w całych Indiach poziomów edukacji i służby zdrowia. Niemal każdy Keralczyk potrafi czytać i pisać, co na subkontynencie nadal nie jest normą. Co więcej, na skutek reformy rolnej swój kawałek ziemi posiada tutaj niemal każdy rolnik, a przeciętny Keralczyk żyje najdłużej w Indiach.

KRAINA BOGÓW

Jadę w głąb lądu, do Parku Narodowego Periyar (PNP)zwanego też Thekkady. Stworzono go wokół największej lokalnej rzeki – Periyar. Został objęty ochroną już w 1834 r. dzięki staraniom maharadży z Travancore, a oficjalnie rezerwatem stał się po odzyskaniu przez Indie niepodległości (1947 r.). To prawdziwe królestwo zwierząt. Są tutaj m.in. tygrysy i słonie azjatyckie. Ja mam szansę podglądać tylko te ostatnie, ale nie czuję rozczarowania. Thekkady to miejsce, w którym można zaznać wyjątkowej ciszy i spokoju. Nie bez przyczyny Kerala zwana jest czasem Krainą Bogów. Zresztą widok szczytu Kotta Malai (2019 m n.p.m.) o świcie rekompensuje mi brak widoku tygrysa przed maską dżipa. Wracam nad morze, a potem Wybrzeżem Malabarskim dojeżdżam do Fortu Koczi, zabytkowej części Koczinu. Niegdyś była to enklawa portugalska, potem holenderska i brytyjska w Indiach. I ten postkolonialny klimat czuć tutaj do dziś. W oczy rzucają się katolickie kościoły i protestanckie zbory. Jest też XVI-wieczna synagoga Paradesi wciśnięta w klimatyczną małą ulicę. Diaspora żydowska żyje w Indiach od VIII w. i to stąd ta kultura promieniowała na inne stany. Nadal widać tu ślady po dawnych faktoriach kupieckich, które przez wieki pracowały pełną parą. Od XIV w. był to bowiem wielki węzeł handlu przyprawami. W 1503 r. Portugalia założyła tu pierwszą europejską kolonię w całych Indiach i przez następne półtora wieku był to strategiczny punkt na mapie tego morskiego imperium. Morskie tradycje widać też w porcie i na nabrzeżu, gdzie stoją słynne Chińskie Sieci Rybackie, imponująca konstrukcja, która pozwalała niegdyś na znaczne zwiększenie skali połowów. I wciąż pełni swoją rolę! Chińczycy dotarli tu 600 lat temu – sieci są spadkiem po nich. Wieczorem kupuję od pracujących tu rybaków pełną reklamówkę owoców morza. Są tam: homar, ośmiornica, kilka królewskich krewetek i parę innych, drobniejszych skorupiaków. Płacę równowartość kilku dolarów. Wszystko niosę do małej okolicznej knajpy. Przyrządzają to w kwadrans za kolejne kilka dolarów. Smakuje wybornie i jest tego tak dużo, że w konsumpcji muszą mi pomóc poznani chwilę wcześniej backpackerzy z Holandii i Japonii.

PROSZĘ SŁONIA...

Kerala od wieków słynie z festiwali kulturalnych i obchodów świąt religijnych. Dumą stanu jest klasyczny teatr kathakali, w którym fantazyjnie przebrani i wymalowani aktorzy jedynie ruchem i gestem ilustrują opowieści z indyjskich eposów. Podobnie sanskrycki dramat kutiyattam. Bardzo znana w Indiach jest też keralska sztuka walki kalarippayattu oraz taniec rytualny tejjam. Elementy tych wszystkich sztuk podziwiam podczas festynu w Ernakulam, części Koczinu położonej po drugiej stronie zatoki – w stosunku do Fortu Koczi. To niby nadal to samo miasto, choć atmosfera zupełnie inna. Tego dnia na ulicach panują chaos i hałas. Koczin hucznie obchodzi właśnie święto Śiwy. Kluczowe dla wszelkich obchodów świąt w tym regionie są słonie. Od świtu chłopcy szorują i pucują te zwierzęta, a następnie stroją w odświętne „ubrania". To słonie idą na czele spektakularnej, kolorowej procesji przemierzającej miasto. Za nimi tłum rozmodlonych i rozśpiewanych ludzi. Przyglądam się ekipom przypisanym do kilku z tych wielkich zwierząt. Na ich grzbietach w transowym tańcu wyginają się kapłani. Przed nimi dostojnie kroczą muzycy. Grają na trąbkach, biją w bębny, dmą w fujary. A gdy wreszcie korowód się zatrzymuje na jednym z placów, kilku staruszków błyskawicznie wchodzi pod zwierzęta. Mają za zadanie powściągać elephantusy, by za bardzo nie udzieliła się im świąteczna atmosfera i nie stratowały kilku setek ludzi, którzy przyszli na nabożeństwo. Do poskramiania panowie używają drewnianych kijków, a pomagają im w tym również łańcuchy, którymi spętano ogromne nogi zwierząt. Ale tak naprawdę nie ma powodów do obaw. Gdy patrzę na tę scenę, pozbywam się wątpliwości: słonie mają to wszystko w trąbie. ■

SHUTTERSTOCK, ADOBESTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

TEKST. **PAULINA WILK**

INDIE DUCHOWE

INDIE SĄ DOMEM MODLITWY. GDZIEKOLWIEK SPOJRZEĆ, ŚLADY OBECNOŚCI BOGÓW I DROBNYCH RYTUAŁÓW.

Fantastycznie zdobiona świątynia Minakszi w Maduraju to jedna z architektonicznych pereł hinduizmu. Większość kompleksu powstała w latach 1560–1680.

Do świętego miasta Waranasi zjeżdżają co roku hindusi z całych Indii. Wierzą, że umierając w takim miejscu, mają większą szansę na osiągnięcie mokszy, czyli zbawienia.

Uliczne jedzenie w sercu Delhi – eksplozja kolorów, aromatów i smaków, które najlepiej opowiadają historię Indii.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

SHUTTERSTOCK (3). POPRZEDNIE STRONY: ADOBE STOCK

Podróżując przez ten kraj, można się nie wybrać do żadnego ze słynnych miejsc kultu, a mimo to bez przerwy poruszać się wśród kapliczek i ołtarzyków. Bogowie są obecni w sklepach i na straganach, przy drzewach i w załomach murów. Wyznawany przez 80 proc. mieszkańców Indii hinduizm to wielość sposobów na okazywanie wiary w boga. Tego samego, bo mimo politeistycznej powłoczki jest to wiara w jedną siłę przyjmującą rozmaite postaci. Każda rodzina ma swojego ulubieńca: słoniogłowego Ganeśę, który usuwa przeszkody, albo groźną Kali, która pokonuje demony, ewentualnie łagodną Saraswati, patronkę mądrości i wiedzy. „Swojego" boga dopieszcza się częściej, odwiedza poświęcone mu świątynie i organizuje mu festiwale. Mimo że w Indiach wyraźny jest wyścig po dobra materialne, duchowość znajduje wciąż nowe sposoby, by pozostać tu pępkiem świata.

FALLUSY NA SUFICIE

Południową część subkontynentu powinien odwiedzić ten, kto szuka hinduistycznych praktyk w najbardziej klarownej postaci. To obszar, do którego docierało mniej religijnych nurtów ze świata, a te, którym się udało (Portugalczycy przywieźli tu katolicyzm), pozostały marginesem. Południem nigdy nie rządzili mogolscy władcy, którym północ kraju zawdzięcza bardziej eklektyczny, naznaczony także islamem, charakter. Na południu, w Tamilnadu, leży Maduraj, a w nim jedna z najważniejszych świątyń hinduistycznych w kraju. Już z daleka zapowiadają ją strzeliste bramy wysokie na kilkanaście pięter, obsadzone setkami kolorowych rzeźb. A to zaledwie „drzwi" do kompleksu poświęconego Sziwie i jego żonie Minakszi. Towarzyszy jej mit o tym, że starożytny bóg Indra utworzył tu sanktuarium wokół fallicznego kamienia, a fallusy właśnie (tu: wymalowane na suficie) symbolizują seksualny aspekt Sziwy będącego również wyrazicielem płodności. Wejście do kompleksu w Maduraju to zanurzenie się w świat krużganków, stawów otoczonych schodami, imponujących kolumnad. Jest gdzie pospacerować, posiedzieć, pomedytować. A ponieważ to miejsce kultu odwiedza ok. 20 tys. osób dziennie, jest to także wspaniałe pole do obserwacji wyznawców. Jedni wyjmują z paczuszek kulki klarowanego masła i smarują nimi posągi, inni szepcą im na ucho, kucają przed nimi, biją pokłony, jeszcze inni obwieszają figury kwiatami. Mimo że strefa ścisłego sacrum pozostaje dla mnie niedostępna (bramini surowo zakazali wejścia, ponieważ nie jestem hinduską), spędzam w świątyni nie jeden, a kilka dni.

PRAWDZIWE PERŁY

Jadę autobusem do świątyni w Thandźawurze, blisko wybrzeża Zatoki Bengalskiej. To świetny przykład architektury z epoki imperium Ćolów uważanych za najdłużej rządzącą dynastię w dziejach ludzkości. Władali południem kraju, Malediwami i Sri Lanką łącznie przez tysiąc lat, aż do XIII w. Zostały po nich takie perły, jak świątynia Sziwy ze 108 kamiennymi lingamami (fallusami boga Sziwy) i potężną rzeźbą byka Nandi – jego sługi, i wahaną – pojazdem, którego dosiada, gdy zabiera się do cyklicznego niszczenia świata. Na pożegnanie jeden ze świątynnych słoni błogosławi mi. Cierpliwie trąca trąbą czubek mojej głowy, aż

W hinduizmie bogowie Brahma, Wisznu i Sziwa tworzą tzw. Trimurti (trójcę). Reprezentują oni odpowiednio: cykle stworzenia, zachowania i zniszczenia wszechświata.

Bogini Durga, ukazana jako pogromczyni demonów, podczas święta Durgapudźa. To celebracja kobiecej siły, odwagi i boskiej ochrony.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Lamayuru, jeden z najstarszych tybetańskich klasztorów Ladakhu, wyrasta ze skalistego urwiska jak naturalna część himalajskiego krajobrazu.

dam mu pieniądze. Chwyta zwitek banknotów i oddaje je opiekunowi. Trąba w górę, mogę odejść.

W TŁOKU I ZGIEŁKU

Ruszam pociągiem na przestrzał przez kontynent, ku Morzu Arabskiemu. I dalej na północ. Tu wiara hartuje się w tłoku, zgiełku i zupełnie współczesnych namiętnościach. Nawet w mieście tak skupionym na sukcesie jak Mumbaj świątynie zajmują kluczowe miejsce w codzienności i są pełne ludzi. Najważniejsze tu sanktuarium Śri Mahalaxmi Temple, zbudowane w 1831 r. przez zamożnego hinduskiego handlowca, stoi dziś przy ruchliwej Bhulabhai Desai Marg. Myślałby kto, że w świątyni powinna panować cisza i zaduma. Nie w Indiach! Najpierw szpaler straganów wypełnionych girlandami, kompozycjami kwiatowo-owocowymi i kadzidłami. Dalej świecidełka, biżuteria i słodycze. Idzie się tą alejką pełną cudów i słodkości jak przez odpustowy raj za grosze. Do wejścia tłoczą się ludzie ubrani w odświętne barwne stroje. Są jaskrawe sari i szarawary, o widok których coraz trudniej na ulicach zdominowanych przez dżinsy, T-shirt, tenisówki. Są przybysze z daleka, z wiosek i miasteczek. Przyjechali tu całymi rodzinami, stają w krętej kolejce do głównego ołtarza, gotowi czekać godzinami, niSm uda się dotrzeć do tridewi – trójcy żeńskich posągów pokrytych złotem. Boginie

ADOBE STOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

zgodnie błogosławią pielgrzymów. W środku Lakszmi z kwiatem lotosu, patronka szczęścia, piękna i bogactwa. Nic dziwnego, że jest opiekunką tego miasta: domu bollywoodzkich sław i giełdy papierów wartościowych. Po obu jej stronach siedzą Kali i Saraswati. Trzy duchowe siostry są uosobieniem kobiecych mocy. Spotkanie z nimi trwa ledwie chwilę. Ubrany w szafranowe szaty bramin przyjmuje podarek, stawia go przy posągach lub lekko dotyka nim jeden z nich, odkłada. W zamian daje prasad – odrobinę pobłogosławionego jedzenia, kilka kropel wody. Wierni łączą dłonie i przykładają do nasady czoła. Oczy się zamykają, usta zmawiają szybką modlitwę. I już. Trzeba przejść dalej, bo na plecy napiera tłum. Potem odwiedza się ołtarze boczne, zanosząc mniejsze prośby do mniejszych posągów. Przesiaduje się na marmurowych ławach, patrzy na ludzi, zjada poświęcone słodycze. Nie wolno robić zdjęć ani używać telefonów. Świętość to świętość i swoje reguły ma. Bose stopy depczą płatki kwiatów. Raz po raz rozlegają się dzwonki i cichy odgłos sterty roślinnych darów spychanych z ołtarza do wiklinowych koszy. Trzeba zrobić miejsce dla kolejnych, korowód ofiar i próśb nie ustaje. Nieśmiertelnym bogom podarowuje się łatwo przemijające sznury jaśminów, aksamitek i hibiskusów. I tak od świtu do późnego wieczora.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

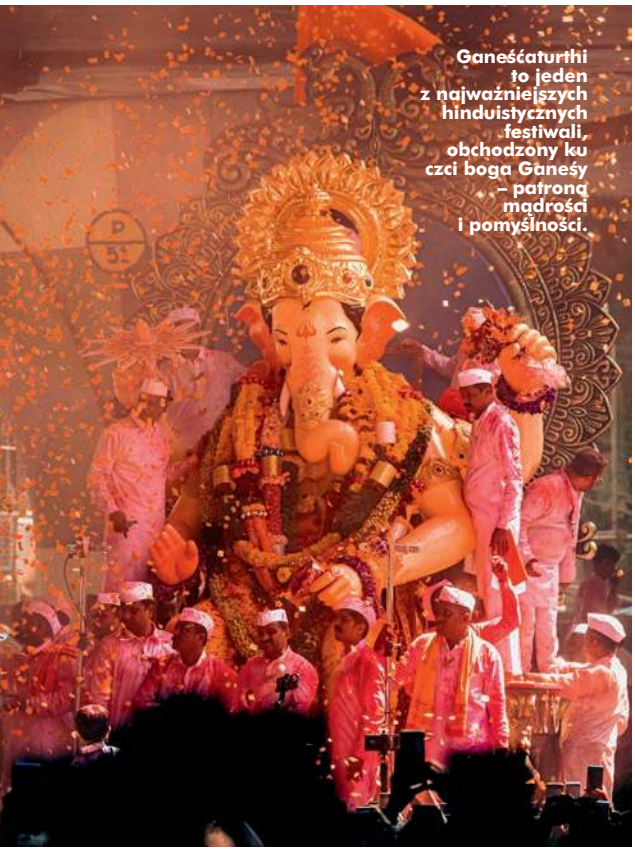

Ganeśćaturthi to jeden z najważniejszych hinduistycznych festiwali, obchodzony ku czci boga Ganeśy – patrona mądrości i pomyślności.

Imponująca Złota Świątynia w Amritsarze (Pendżab) to miejsce, w którym przez całą dobę trwają modlitwy pobożnych sikhów.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

W złocistym wnętrzu świątyni Sis Ganj Sahib w Delhi wierni i podróżni łączą się w ciszy i modlitwie.

ADOBE STOCK (2) SHUTTERSTOCK (2).

MEDYTACJE I WATA CUKROWA

Swobodny styl modlitwy i spędzania czasu w miejscach kultu podzielają także indyjscy muzułmanie. Od świątyni Lakszmi mam kwadrans spacerem do meczetu Haji Ali przy Marine Drive. Ta hybryda grobowca i meczetu stoi na skałach, do których prowadzi wąski nasyp z widokiem na dynamicznie rosnący w górę Mumbaj. Tak musiał wyglądać Manhattan ponad 100 lat temu. Usadowieni wzdłuż nasypu kalecy żebracy, którzy wyciągają dłonie z nadzieją na datki, mają za plecami gęstniejącą panoramę 40-piętrowych wież. Wejścia do sanktuarium pilnuje imponująca marmurowa brama, a kopuły i minarety lśnią z daleka w słoneczne dni. Upamiętniają postać XV-wiecznego handlowca z Buchary, który porzucił bogactwo i udał się na pielgrzymkę do Mekki, a potem promował w świecie sufizm. Właśnie wyznawcy tego mistycznego odłamu islamu przybywają tu najczęściej, by złożyć prezenty na grobie i posłuchać koncertu hipnotyzującej muzyki qawwali, która wychwala boga na wiele poetyckich, a nawet namiętnych sposobów. Na dziedzińcu gwar. Dzieci biegają, rodziny piknikują na posadzkach z radżastańskiego kamienia. Nie ma mowy o ciszy czy skupieniu. Ale jest w tym wszystkim spokój i łagodność. Jest miejsce na radość ze spotkania i krótką modlitwę. Już samo bycie w świętych murach rozumiane jest jako część rytuału. Różowa wata cukrowa pokojowo współistnieje tu z recytacjami. A muzułmanie z tłumami hindusów, którzy zaglądają z wizytą.

LOTOS I BASEN NEKTARU

Im bardziej na północ Indii, tym bardziej pejzaż wyznaniowy staje się pogmatwany. Zwiedzam hinduistyczne świątynie – te osiedlowe, służące lokalnym społecznościom, i te gigantyczne – przypominające hipermarkety pospiesznie obsługujące klientów. Ale to w delhijskiej Świątyni Lotosu zbudowanej w kształcie kwiatu złożonego z 27 ścian w kształcie marmurowych płatków znajduję wytchnienie i ciszę. Pod chroniącą kopułą, do której dochodzę przez otwartą i zazielenioną przestrzeń, nie ma symboli religijnych. Architekt Fariborz Sahba zaprojektował ją w 1986 r. zgodnie z filozofią ruchu bahá'í – najmłodszej monoteistycznej religii świata, wywodzącej się z Iranu. W świątyni jest centralne miejsce, ku któremu biegną myśli o bogu, esencji istnienia. Na tym koniec podpowiedzi. W domu modlitwy mile widziani są wszyscy, bez względu na to, jakiego są wyznania. Tutejsze ceremonie są proste i polegają na czytaniu świętych pism różnych religii. Świątynia Lotosu wydaje się idealną odpowiedzią na pragnienie religii, która odmienności spaja w jedno. Jadąc wyżej, ku Himalajom, robię przystanek w Amritsarze – świętym mieście sikhów, którego centralnym punktem jest Złota Świątynia. Złoci się nie

Każda rodzina ma swojego ulubieńca: np. słoniogłowego Ganeśę, który usuwa przeszkody, albo groźną Kali, która pokonuje demony.

Indyjski street food to uczta dla wszystkich zmysłów – zapach przypraw przyciąga przechodniów niczym magnes.

tylko z nazwy. Zbudowana z marmuru i miedzi została pokryta warstwą złota. Stoi na niewielkiej wysepce otoczona stawem zwanym Basenem Nektaru, w którym sikhowie przychodzą zażywać rytualnych kąpieli. Sam Amritsar wziął nazwę od nektaru – amryty, pijanego przez starożytnych bogów. Sikhizm jest religią osobną od hinduizmu, jego filarem są pisma i dzieje dziesięciu guru, w których ciałach i umysłach zamieszkiwał ten sam duch. Pierwszym z nich był Nanak (zm. 1539 r.). Ich księgi, pisma, psalmy odczytywane są w Złotej Świątyni bez przerwy przez kolejnych lektorów. Po wodzie i marmurowych ścieżkach wciąż niesie się spokojny głos. Sikhijskie gurudwary (świątynie) to coś więcej niż miejsca modlitwy, także schronienia – ze wspólnymi

eprasa.pl 9d6ea83e6a

sypialniami i stołówkami. Każdy jest mile widziany. W Himalajach medytacja przychodzi mi naturalnie. W pejzażu majestatycznych gór, potężnych rzek i przyrody umysł sam przestawia się na wibracje nieziemskie. Docieram do Ladakhu nazywanego Małym Tybetem. Przewodnik o imieniu Dzwoneczek zabiera mnie do buddyjskiego klasztoru Lamayuru. Niedawno światało, na wysokości 3500 m n.p.m. powietrze jest lodowate i przejrzyste. W głównej sali modlitewnej klasztoru kilkudziesięciu mnichów w czerwonych szatach trwa w doskonałym milczeniu pomimo chłodu. Klasztor miał powstać już w X w., za czasów Królestwa Ladakhu. Stojąc na kamiennym tarasie, patrzę ku szczytom i w dół, na serpentyny ścieżek i usiane buddyjskimi gompami zbocza. Trudno o bardziej nieprzyjazne do życia miejsce. Trudno o większe wzruszenia, o bardziej dogłębny spokój. W ciągu kilku najbliższych dni Dzwoneczek zabierze mnie do miniaturowych świątyń i klasztorów, bym w kompletnej samotności stawała twarzą w twarz z posągami Buddy i liczącymi tysiąc lat malunkami ściennymi. Zapamiętam Ladakh jako miejsce, gdzie do boga bliżej niż do ludzi.

W domu modlitwy mile widziani są wszyscy, bez względu na to, jakiego są wyznania. Tutejsze ceremonie są proste.

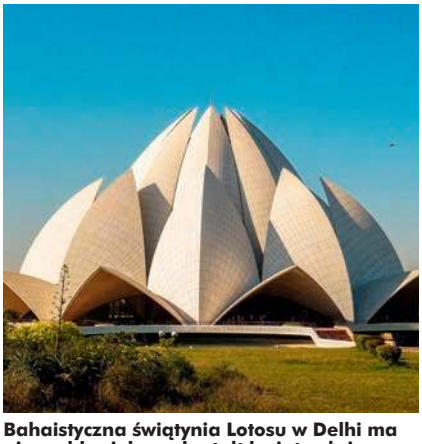

Bahaistyczna świątynia Lotosu w Delhi ma niezwykle ciekawy kształt kwiatu złożonego z 27 marmurowych płatków.

DURGA, POGROMCZYNI DEMONÓW

Nic, co ludzkie, nie pozostaje natomiast w ukryciu w Waranasi. Tam muszę być gotowa na wstrząsy i ostateczność. Jedno z siedmiu najświętszych miast hinduizmu leży na brzegu rzeki Ganges, która sama w sobie jest także boginią. W listopadzie i grudniu trwa jej festiwal – dziesiątki tysięcy ludzi schodzą na ghaty, ciągnące się kilometrami wzdłuż wybrzeża schody, by spuścić na wodę lampki. Ganga ma moc obmywania z grzechów. Po oczyszczenie w niej przyjeżdżają żywi i umarli. Do miasta docieram pociągiem, którym podróżują też owinięte w całun ciała. W pełnym płonących stosów pogrzebowych Waranasi tkwią korzenie starożytnej religii wedyjskiej. Tu działają ważne ośrodki nauczania duchowego, nie tylko hinduizmu. Tu oprócz poznania rytuałów pogrzebowych służących osiągnięciu przez umarłych mokszy – wyzwolenia, można odwiedzać świątynie nagromadzone w plątaninie wąskich uliczek. Mnie ciągnie do tej wybudowanej z czerwonego kamienia. To miejsca kultu bogini Durgi, walecznej pogromczyni demonów ujeżdżającej tygrysa. Hindusi wierzą, że znajdująca się w niej figura Durgi nie jest dziełem rąk ludzkich – pewnego dnia po prostu cudownie się tam objawiła. Bogini Durga z kolei wiele zawdzięcza pracy ludzkich rąk w Kalkucie. Jest tu cała dzielnica rzeźbiarzy – Kumartuli, którzy co roku wytwarzają miliony małych i olbrzymich statuetek z jej podobiznami. Są przy tym bardzo eko, bo główne składniki to słoma i glina. Kluczowym punktem celebrowania Durgi – szczególnie ważnej dla Bengalczyków – jest przypadający na jesień festiwal. Wystawia się wtedy pandele, plenerowe świątynie z posągami i tematyczną scenografią – co roku musi być ona inna, nad ich tworzeniem pracuje armia rzemieślników. W kulminacyjnym momencie trwającej 10 dni celebracji tłumy krążą po Kalkucie, podziwiając różne posągi. A po wszystkim gliniane boginie są uroczyście topione w rzece Hugli, która jest – a jakże! – dopływem Gangesu. Tak wszystko, w zgodzie z naturą, łączy się w trwaniu i przemijaniu. Kalkuta może być wzorem religijnego współistnienia. Podczas spaceru zatytułowanego „Łączenie kultur" krążę z przewodnikiem po liczącym tylko 2 km² obszarze, na którym mieszczą się: klasztor buddyjski, zaratustriańska świątynia parsów, dwie świątynki hinduistyczne, protestancki kościół dla Anglo-Indusów, meczet z medresą oraz synagoga, którą w imieniu grupki bardzo już leciwych żydów opiekują się muzułmanie (!). Ten kawałek w sercu olbrzymiego miasta jest jak duchowa miniatura Indii. Miał burzliwą historię, naznaczoną krwawymi zamieszkami i konfliktami, a jednak wypełnia ją zgodna codzienność. Jutro pójdę z muzułmanami na obiad, by świętować Id al-Adha na pamiątkę ofiary Abrahama. A wieczorem jeszcze tego samego dnia zobaczę procesję z przystrojonym barwnie wozem hinduistycznego boga Dżagannatha. Jego miniaturowe wersje z papieru będą jeździć po uliczkach ciągnięte za sznurek przez dzieci. Przed zmrokiem ktoś zadmie w muszlę na znak odprawianej pudźi, imam zawoła do meczetu, w świątynce Kali na rogu ulicy rozlegną się głośne dzwony. Indie nie zasną bez modlitwy. ■

SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Postać Naga Sadhu symbolizuje odcięcie od życia materialnego i całkowite oddanie się ścieżce duchowego wyzwolenia.

TEKST **MICHAŁ GŁOMBIOWSKI**

RADŻASTAN

KOLEJ JADĄCA DO DŻAJSALMERU ZABIERA MNIE DO ŚWIATA KRÓLEWSKICH MIAST I OGROMNEJ PUSTYNI.

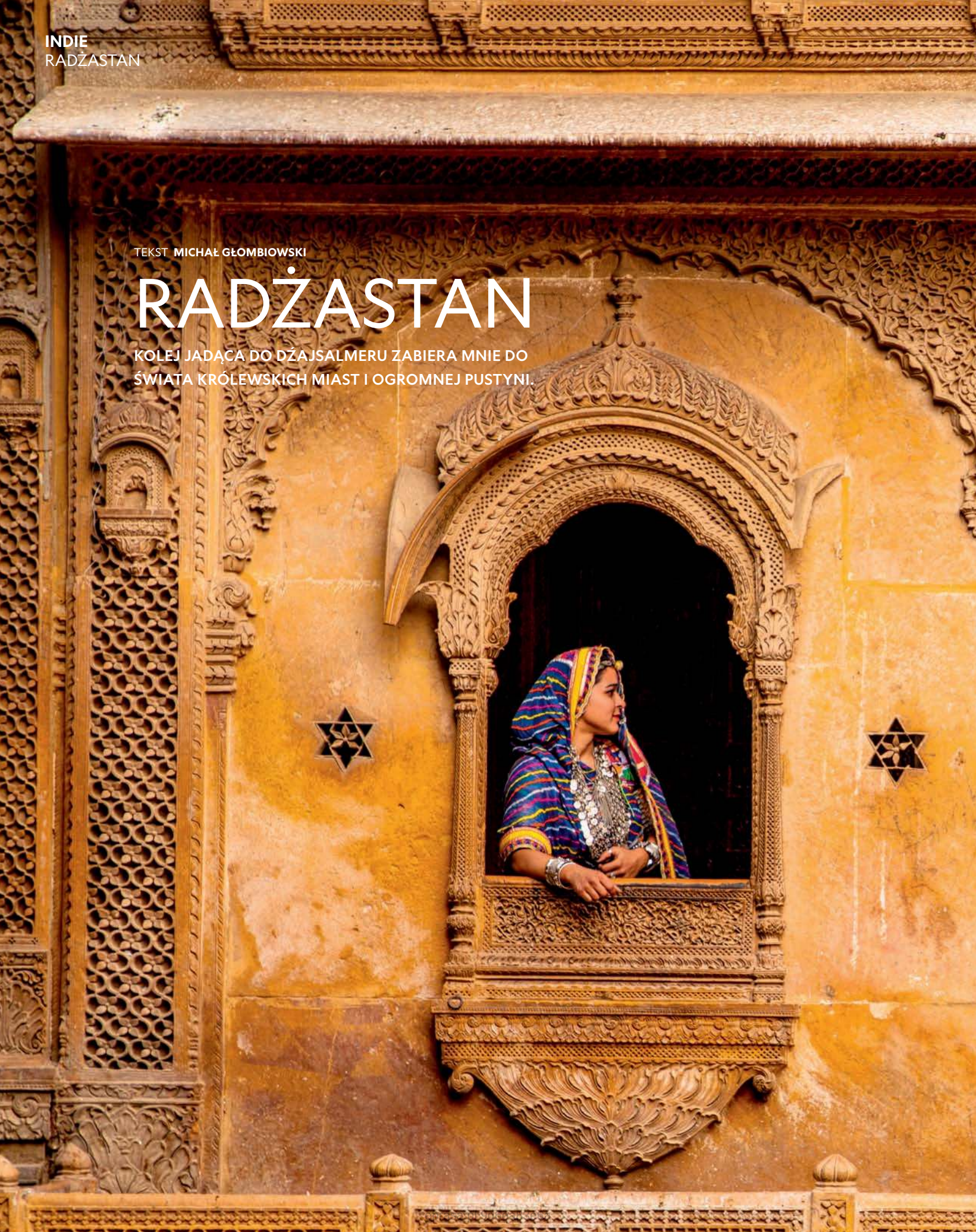

Haweli to tradycyjne rezydencje budowane w regionach Radżastanu i Gudżaratu. Na zdj.: Patwon Ki Haveli – rezydencja kupców brokatu w Dżajsalmerze.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

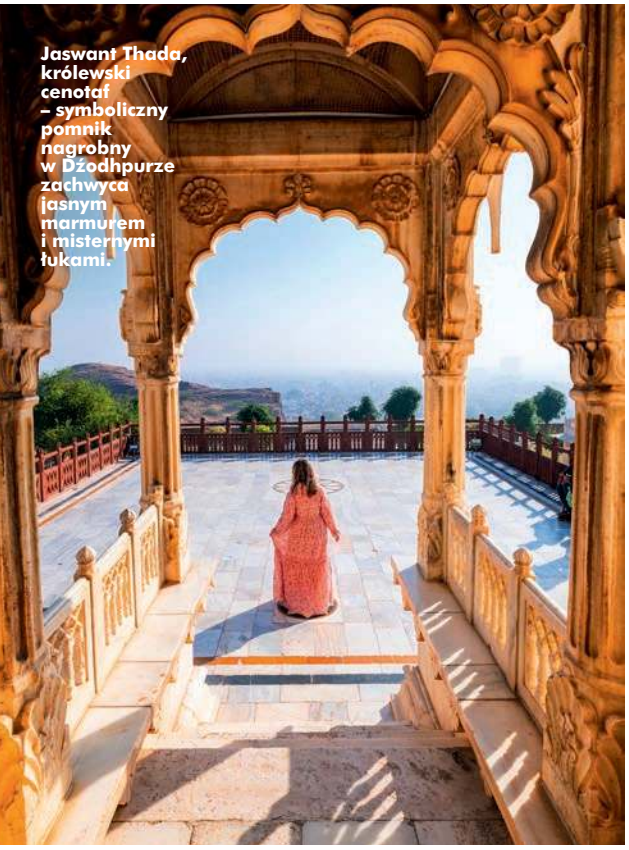

Jaswant Thada, królewski cenotaf – symboliczny pomnik nagrobny w Dżodhpurze zachwyca jasnym marmurem i misternymi łukami.

Na targowisku Sardar w Dżodhpurze dostaniecie wszystko: od przypraw po biżuterię.

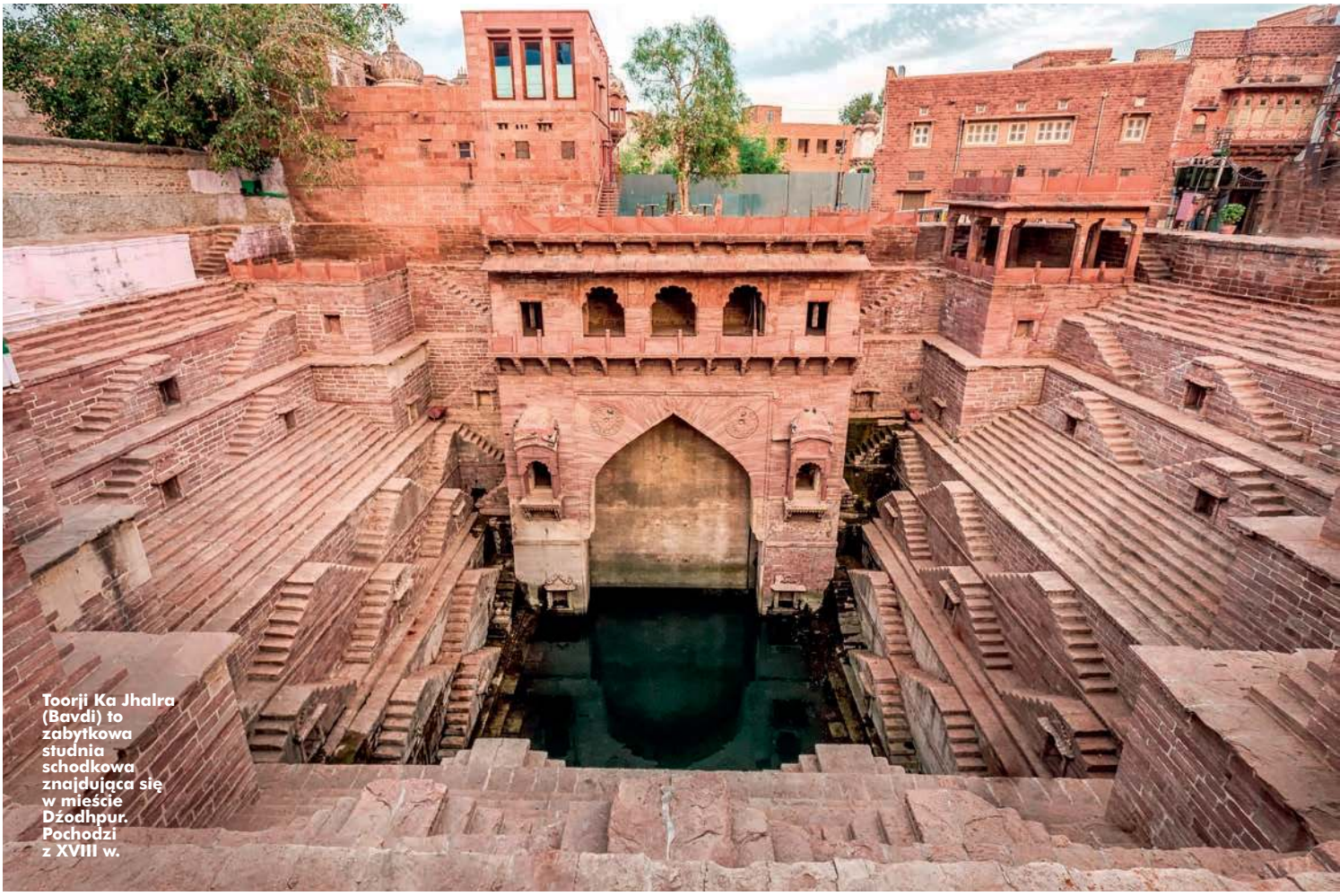

Toorji Ka Jhalra (Bavdi) to zabytkowa studnia schodkowa znajdująca się w mieście Dżodhpur. Pochodzi z XVIII w.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Niebieskich domów jest na tyle dużo, że dominują w krajobrazie Dżodhpuru. Barwnik pozyskiwany z liści krzewów indygowca swym zapachem odstrasza komary.

Rzemieślnik formujący gliniane lampki diyas wpisuje się w wielowiekową tradycję Diwali, święta światła.

Przez sekundę zapada cisza zakończona pluskiem wody odbijającym się w kamiennej studni. Wyglądam za barierkę, by na zielonej tafli dostrzec wynurzającego się nastolatka. Chłopak oddał właśnie nielegalny skok z 20 m wprost do Toorji Ka Jhalra, zbudowanej w połowie XVIII w. studni schodkowej w Dżodhpurze w indyjskim Radżastanie. Region jest ich pełen, ponoć przeciętne miasto w stanie ma ok. 40 takich studni, a w samym Dżodhpurze działało ich aż 100. Wraz z pojawieniem się sieci wodociągowej większość popadła w zapomnienie. Toorj Ka Jhalra spotkał podobny los, ale niedawno właściciele pobliskiego hotelu, znajdując wsparcie maharadży Dżodhpuru, oczyścili i odnowili studnię. I choć nie jest już źródłem pitnej wody, pełni funkcję przyjemnego miejskiego basenu. Skoki ze szczytu budowli są jednak zakazane, tutejsze nastolatki nieustannie bawią się więc ze strażnikami w kotka i myszkę. Sama budowla urzeka formą. Tworzące zygzak kamienne schody otaczają prostokątny otwór studni z każdego boku, schodząc aż do poziomu tafli, pod której powierzchnią znikają. Niezależnie od aktualnej wysokości wody zawsze da się do niej dotrzeć suchą stopą. Dżodhpur jeszcze bardziej niż ze schodkowych studni znane jest z domów w kolorze indygo. By je zobaczyć, wspinam się na szczyt wzgórza Bhaurcheeria, do fortu Mehrangarh. Jego masywna ciężka bryła góruje nad miastem widoczna niemal z każdego punktu. Budynek wzniósł ok. 1460 r. założyciel Dżodhpuru, Rao Jodha, i do dziś pozostaje jednym z największych i najwspanialszych fortów w Indiach. Z punktu widokowego przy twierdzy rozciągające się w dole miasto wygląda niczym udekorowany skomplikowanymi wzorami błękitny dywan. Niebieskich domów jest na tyle dużo, że dominują w krajobrazie Dżodhpuru. Ponoć zwyczaj malowania ścian na ten kolor wziął się z pragmatyki. Barwnik pozyskiwany z liści krzewów indygowca ma zapach odstraszający komary. Gdy jednak kilka kwadransów później wędruję pomiędzy błękitnymi domami z miętowozielonymi okiennicami i pocieram palcami pomalowane ściany, nie czuję żadnego zapachu z wyjątkiem aromatu przygotowywanych obiadów napływającego z domowych kuchni. Dżodhpur nie jest wyjątkiem – cały Radżastan słynie z ogromnego bogactwa kolorów i architektury. Przez

SHUTTERSTOCK (4); POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

INDIE
RADŻASTAN

Fort Dżajsalmer określany jest mianem architektonicznego piękna. Jego historia sięga początku XII w.

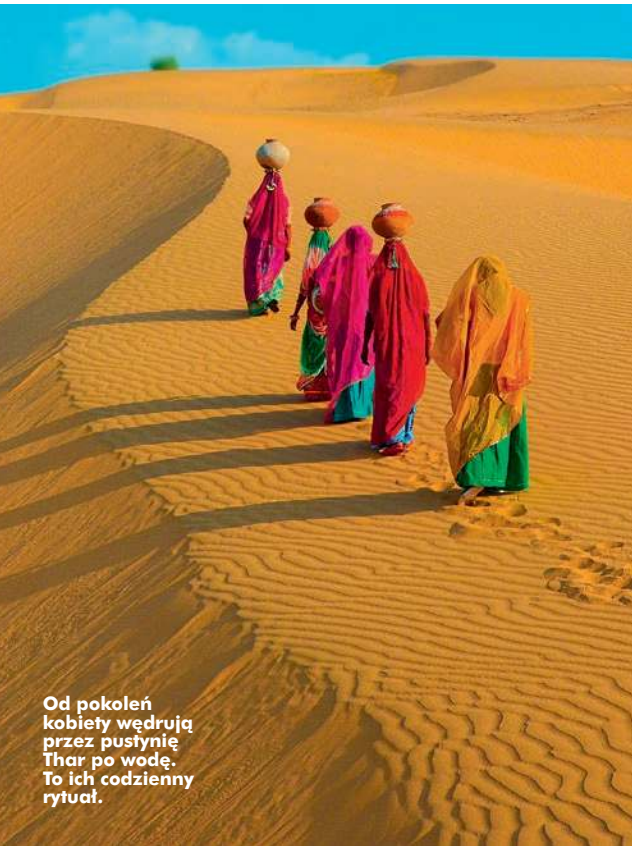

Od pokoleń kobiety wędrują przez pustynię Thar po wodę. To ich codzienny rytuał.

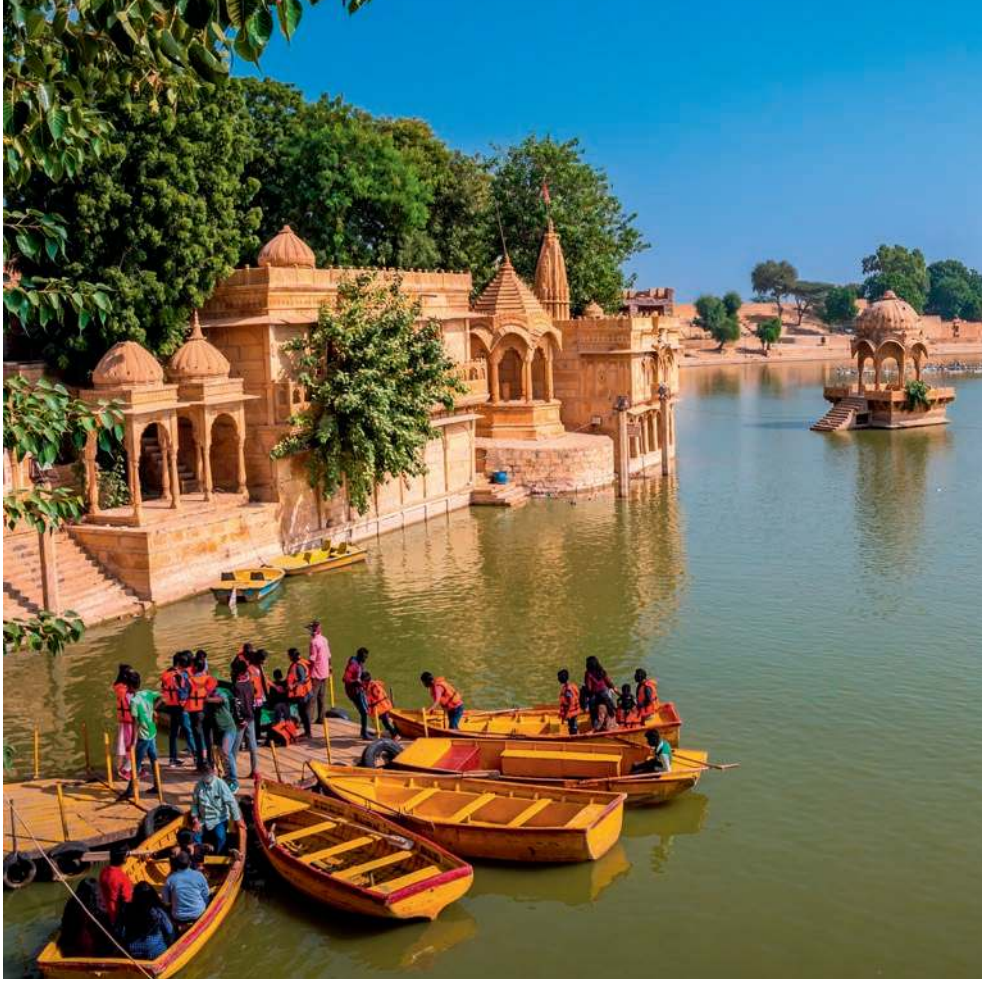

Odświętnie ubrani jeźdźcy na bogato zdobionych wielbłądach podczas festiwalu w Dżajsalmerze przypominają o wojowniczej tradycji dawnych klanów radżputów.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

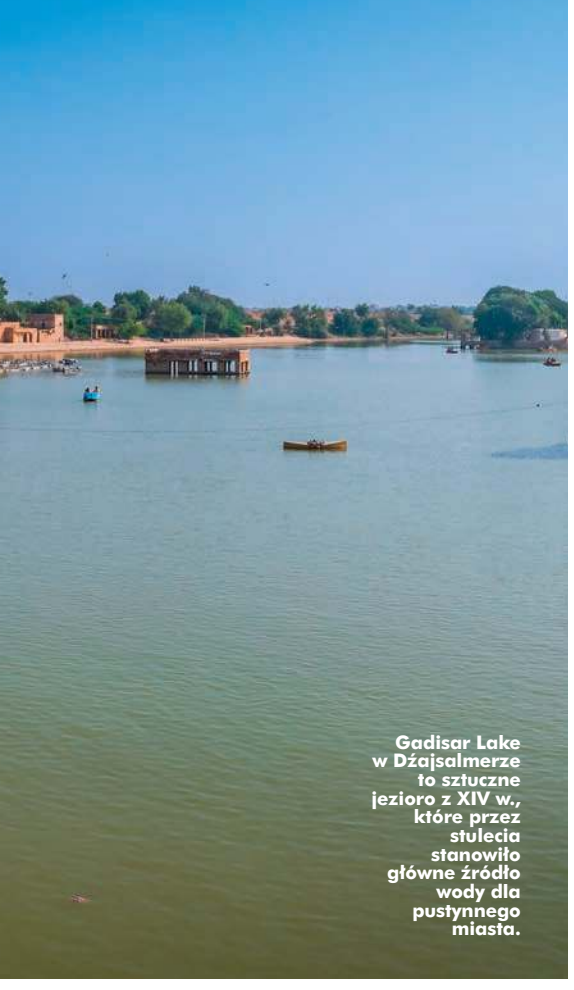

Gadisar Lake w Dżajsalmerze to sztuczne jezioro z XIV w., które przez stulecia stanowiło główne źródło wody dla pustynnego miasta.

region przebiegały najważniejsze szlaki handlowe, którymi podążały z Persji karawany do sułtanatów na północy krajów. Wraz z kupcami płynęły też pieniądze, czyniąc z tutejszych władców – najpierw Wielkich Mogołów, a później radżów i maharadżów – prawdziwych bogaczy. Dzięki wypełnionym po brzegi skarbcom mogli oni nie tylko prowadzić wygodne, luksusowe życie, ale też wznosić kolejne pałace, świątynie, mauzolea, które do dziś zachwycają niewiarygodnym kunsztem rzemieślniczym.

W DRODZE

Następnego dnia zostawiam tętniący życiem Dżodhpur i wskakuję do pociągu mającego mnie zabrać do Dżajsalmeru. W wagonach tłoczą się Hindusi, a zanim każdy znajdzie miejsce, odbywa się synchroniczny taniec przesuwania się na kanapach, wstawania, przysiadania, dociskania do współpasażerów i zajmowania każdego wolnego centymetra. Wiatr zmienia się w pęd gorącego powietrza. Wraz z nim przez okno wpada kurz, który opada mi na twarz i włosy. Pociąg ma swoje lata, a za klimatyzację służą wiecznie otwarte okna. Turkoczemy coraz szybciej, wciskając się w przestrzeń upstrzoną pojedynczymi domami, wokół których kręcą się spętane sznurami wielbłądy, a grupki kobiet pracują przy formowaniu cegieł suszonych na palącym radżastańskim słońcu. Trasa do Dżajsalmeru to boczna odnoga. Miasto leży na peryferiach popularnej wśród turystów Krainy Królów, na krańcu zachodniego Radżastanu. Dotarcie tu jest dużo trudniejsze niż do Dżajpuru, Udaipuru czy Dżodhpuru. Do celu nie kursują szybkie pociągi, a podstawiane składy nie mają wagonów restauracyjnych ani numerowanych miejsc. Sześciogodzinna podróż przypomina mi te, które odbywał Paul Theroux, brytyjski pisarz wybierające właśnie wolno toczące się ciuchcie, wiedząc, że to one zapewniają najlepszą sposobność na podpatrzenie krajobrazu, ludzi i świata wokół. I rzeczywiście tak jest. Siedzę przy oknie, za którym przewijają się kolejne sekwencje: stadka kóz prowadzone przez pasterzy, kobiety przygotowujące posiłek na paleniskach przed drzwiami domów, lśniące blaskiem metalu kosy wcinające się w zboże. Mijamy krzewy kauczukowe i opustoszałe przestrzenie. Bliskość pustyni Thar, ku której zmierzamy, staje się niemal namacalna. Gdy głód daje o sobie znać, jak na zawołanie pojawia się ćajwala, sprzedawca herbaty nalewający napar z kadzi targanej na plecach, a zaraz za nim mężczyzna oferujący ciepłe jeszcze omlety zwinięte w pakiecik kryjący pikantne warzywa. Teren za oknem staje się złoty nie tylko przez coraz niżej wiszące słońce, ale też przez warstwy piachu, które sukcesywnie zastępują rdzawą kamienistą ziemię, przez którą jechaliśmy wcześniej. Zwalniamy, na wyciągnięcie ręki mamy surowy kształt fortu Dżajsalmer, i wślizgujemy się z piskiem kół na stację.

Thar ma klimat podobny do Sahary i gdy zachodzi słońce, temperatura gwałtownie spada. Trzeba mieć ciepłą kurtkę.

Soczysty kurczak (butter chicken) podany w mosiężnym naczyniu, placki naan oraz pachnący ryż z kuminem oddają bogactwo radżastańskiej kuchni.

ZŁOTE MIASTO

Dżajsalmer nie bez powodu nazywane jest Złotym Miastem – budynki wzniesione z piaskowca mienią się niczym cenny kruszec. Jego początki sięgają XII w. Podobno powstało z przypadku i złości. Rawal Jaisal, najstarszy dziedzic króla Rawala Dusaja z Deoraju, został pominięty w drodze na tron, a jego miejsce zajął młodszy przyrodni brat. Nie okazał się on zbyt lojalny i wypędził Jaisala z królestwa. Ten, pełen rozgoryczenia i wściekłości, zaczął się rozglądać za miejscem na założenie nowej stolicy. Kierując się przepowiednią mędrców, wzniósł w 1156 r. u progu pustyni miasto, które nazwał swoim imieniem.

SHUTTERSTOCK (4) POPRZEDNIE STRONY SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Uliczny targ w Dżajsalmerze pulsuje życiem, łącząc zapach przypraw, gwar rozmów i feerię barw radżastańskich sari.

Pierwszym budynkiem był właśnie fort, wówczas jeszcze ulepiony z suszonego na słońcu błota. Dziś jest na liście światowego dziedzictwa UNESCO i stanowi główny punkt miasta. Do twierdzy ściągają nie tylko turyści – fort jest w zasadzie odrębnym minimiastem. Na jego terenie działają sklepy, punkty usługowe i świątynie, a w tradycyjnych domach (haweli) toczy się codzienne życie. Jakimś szczęśliwym zrządzeniem losu, pomimo upływu wieków, to miejsce nie zamieniło się w martwy zabytek, który zachwyca tylko miłośników architektury i historii.

PRZEZ WYDMY

Dżajsalmer nie daje zapomnieć, że jesteśmy na pustyni. Gdy przechadzam się pomiędzy kolejnymi punktami miasta – Nathmal Ji Ki Haveli, budynkiem z XIX w.; Mandir Palace wzniesionym przez muzułmańskich rzemieślników; Patwon Ki Haveli, najbogaciej zdobionym tradycyjnym domem w aglomeracji – delikatny wiatr nawiewa pył. W oddali, w prześwitach pomiędzy budynkami, widzę otwartą przestrzeń, po której suną karawany wielbłądów niosące turystów. By poznać Thar lepiej, następnego dnia wybieram się z przewodnikiem, Musą Khanem, do Pustynnego Parku Narodowego wytyczonego ok. 40 km za miastem. To świat pofalowanych wydm, postrzępionych skał, ale też pojedynczych oczek wypełnionych gęstą słoną wodą. – Zimą w parku pojawiają się drapieżne ptaki wędrowne, himalajski sęp, orzeł cesarski i raróg – mówi Musa, gdy wbijamy się jego dżipem w piaszczyste wzniesienia. – Jeżeli ma się szczęście, można się natknąć na dropia indyjskiego, acz on preferuje obrzeża parku, gdzie rosną trawy – dodaje. Gatunek uznany jest za krytycznie zagrożony, nie robię więc sobie dużych nadziei na jego zobaczenie. Podczas kilku godzin spędzonych na pustyni udaje nam się jednak spotkać czarne kozły, płochliwe gazele indyjskie (chinkary) oraz lisy pustynne. A czeka nas jednak jeszcze dodatkowa przyjemność – noc spędzona pod gwiazdami. Pustynia Thar ma klimat podobny do Sahary i gdy zachodzi słońce, temperatura gwałtownie spada, dlatego trzeba mieć ciepłą kurtkę. Kilka godzin później wślizguję się do namiotu postawionego na piaszczystej wydmie, a zanim wsunę się do śpiwora, zakładam na siebie kolejne warstwy ubrań. Przez uchylone wejście mojej tymczasowej kryjówki patrzę na blask ogniska, przy którym jedliśmy przed chwilą kolację, i ciemną płachtę nieba opadającą gdzieś na piach w oddali. Gdy udaje mi się wreszcie rozgrzać, ogarnia mnie spokój. Do snu kołysze mnie cisza tak absolutna, jaka panuje już w bardzo niewielu miejscach na świecie. ■

SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Miasto Dżodhpur na pustyni Thar słynie z pałaców, fortów oraz malowanych na niebiesko domów.

BANGLADESZ
DHAKA, SUNDARBANY

Na rzece Bhimruli w Jhalokathi codziennie dokonuje się dziesiątek transakcji. Łodziami przypływają tu okoliczni rolnicy, by sprzedać handlowcom hurtownikom to, co wyprodukowali.

epras.pl 9d6ea83e6a

TEKST **MARZENA FILIPCZAK**

BANGLADESZ

DUŻO LUDZI, DUŻO WODY, MAŁO TURYSTÓW – TAK NAJKRÓCEJ MOŻNA OPISAĆ TEN KRAJ. NA TLE DALEKIEJ AZJI TO NIEMAL TERRA INCOGNITA.

eprasa.pl/wydawnictwo

BANGLADESZ
DHAKA, SUNDARBANY

Co roku w Kusztii odbywa się festiwal ku czci pochowanego tu mistyka Lalona Shaha. Przyjeżdżają tu m.in. asceci z całego Bangladeszu czy Indii.

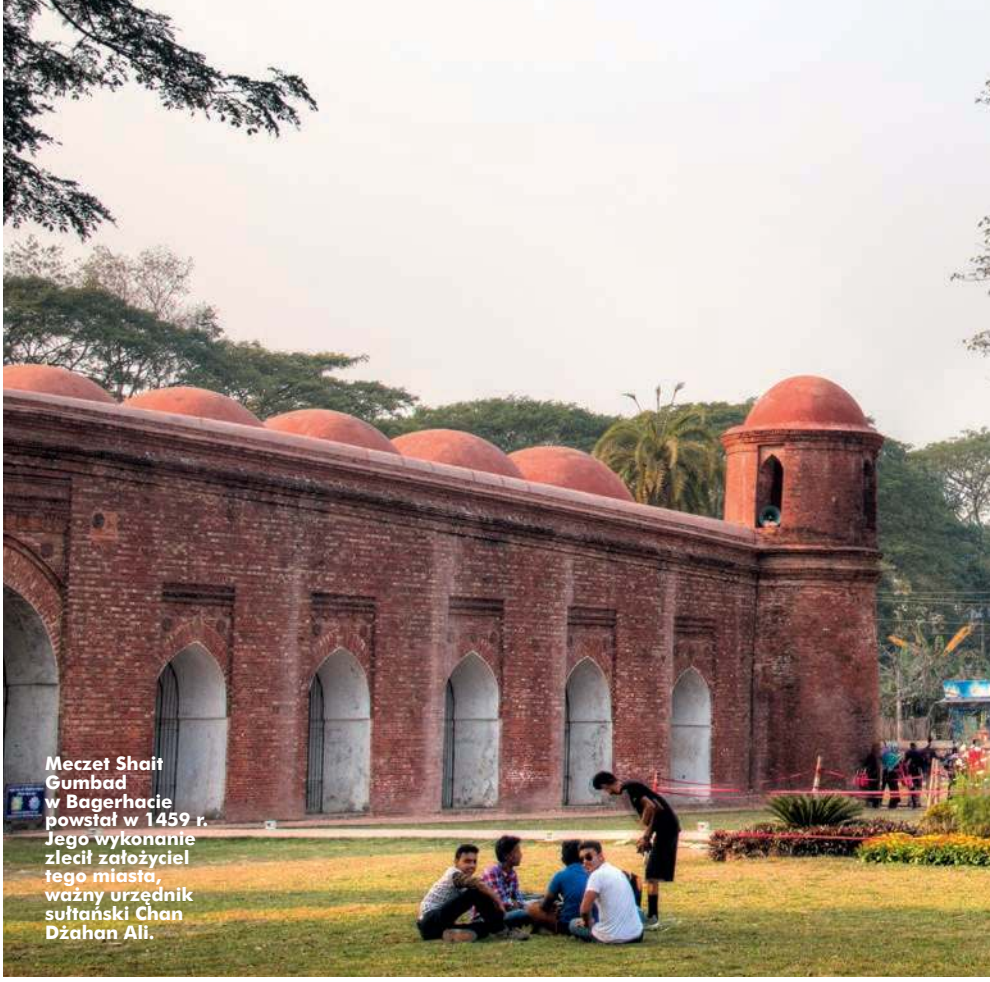

Meczet Shait Gumbad w Bagerhacie powstał w 1459 r. Jego wykonanie zlecił założyciel tego miasta, ważny urzędnik sułtański Chan Dżahan Ali.

Riksze rowerowe to bardzo popularny środek transportu w Bangladeszu. Są tanie i sprawnie omijają korki.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

SHUTTERSTOCK (4); POPRZEDNIE STRONY: ADOBE STOCK

Biegniemy, szybko! – porządkowy łapie mnie za rękę i ściąga na tory. Przebiegamy tuż przed wtaczającą się na dworzec lokomotywą, a jakiś pasażer wciąga mnie na wysoki peron. Myślę, że ludzie zwariowali, bo sprint przed pociągiem na nikim nie robi wrażenia, gdy ekspres Brahmaputra do Dhaki wjeżdża i wjeżdża na stację. Jego końca nie widać – na kolejnych mniejszych stacjach zwyczajnie nie zmieści się na peronach – i gdybyśmy czekali, aż się zatrzyma, żeby obejść go dookoła, nie miałabym szans dobiec do swojego wagonu na początku składu. Pociąg jest zapełniony po ostatnie miejsce, mamy też mnóstwo pasażerów na gapę – młodzi chłopcy zwisają z otwartych drzwi jak kiście winogron, obsiedli lokomotywę, a przede wszystkim okupują dachy. W drodze wciąż słyszę głuche dudnienie nad głową, gdy po nich biegają, a na stacjach obnośni sprzedawcy rzucają im orzeszki w papierowych tutkach. Kiedy lokomotywa odgwizduje odjazd, handlarze natychmiast wracają ze stołami na tory. Bo w Bangladeszu każdy skrawek miejsca jest na wagę złota. Przed następnym pociągiem policjanci usuwają ich niemal siłą i w ostatniej chwili. – Mój kraj jest tak bardzo zatłoczony – wzdycha pasażer z sąsiedniego miejsca. W Bangladeszu na powierzchni połowy Polski, z czego dużą część zajmuje woda, mieszka 170 mln ludzi! Nie licząc państw-miast takich jak Singapur, nigdzie indziej na świecie nie jest tak ciasno. Z przewodników i folderów najlepiej zapamiętałam poglądową grafikę pokazującą gęstość zaludnienia proporcjonalnie dla poszczególnych państw: w USA był samotny ludzik, w Indiach – niecałe półtorej linijki ludzików, a w Bangladeszu – cztery pełnie linie. Kalkuta, którą do tej pory uważałam za najbardziej chaotyczne miasto świata, w porównaniu z tutejszymi metropoliami jest miłym miasteczkiem, w którym turysta znajdzie dla siebie całkiem sporo przestrzeni.

W Dhace niemal wszędzie znaleźć można sprzedawcę herbaty. Zwykle pija się ją z mlekiem skondensowanym, ale można też poprosić o czarną albo z imbirem.

Bangladesz to prawdziwe królestwo przypraw oraz najróżniejszych aromatycznych dań i przekąsek. Na zdj.: żółto-złote curry z rybą i warzywami.

PAROSTATKIEM W WOLNY REJS

Najbardziej banalnym początkiem tekstu o jakiejkolwiek azjatyckiej podróży jest opis tłoku na ulicy. Ale pisząc o Bangladeszu, inaczej zacząć się nie da. Już na pierwszy rzut oka widać, że ludzi, wózków, rowerów, riksz – auta w tę ciasnotę nie mają szans wjechać – jest zwyczajnie za dużo. Idąc chodnikiem, tylko mi się wydaje, że mam na to jakiś wpływ. Im bliżej starego centrum Dhaki i portowej dzielnicy Sadarghat, tym bardziej niesie mnie ludzka rzeka. Wciąż ktoś mnie zaczepia, potrąca, nadeptuje, dostaję w głowę koszem

eprasa.pl 9d6ea83e6a

z bananami albo cudzą chustą. Naręcza kabli zwisają na wysokości twarzy, krawężniki sięgają kolan. Uciekając przed rikszą, przeskakuję rynsztok i przytulam się do pełnej złota witryny jubilera, obserwując, jak po drugiej stronie ulicy urzęduje czyściciel uszu z zestawem patyczków i lusterkiem na murze. Ledwie posuwam się do przodu, przez ulice przeprowadza mnie policjant, a przesiadka w rikszę zmienia tylko tyle, że nie wpadam w błoto. Na bazarze nad rzeką Buriganga jest tak ciasno, że kiedy jakiś szaleniec próbuje wjechać w ludzką masę dostawczakiem,

Warto odwiedzić bagienny las Ratargul w okolicach Sylhetu. To jeden z niewielu słodkowodnych tego typu lasów na świecie. Poskręcane, zanurzone w wodzie drzewa wyglądają jak z baśni.

Banglijskie kobiety rzadko korzystają z usług krawców, ubrania często przygotowują sobie same.

SHUTTERSTOCK (2)

Ariyal Bill to ogromny system mokradeł w okolicach Dhaki. Na zdj.: rybacy podczas zbierania lokalnej odmiany lilii wodnych.

Jedna z wielu wsi rozlokowanych w delcie Gangesu, na mokradłach Sundarbanów. Życie kręci się tu przeważnie wokół połowów ryb.

Wyznawczynie hinduizmu podczas celebracji światła przed świątynią Śri Śri Lokenath Brahmachari w Dhace.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

dosłownie nie ma się gdzie wcisnąć. Wraz z innymi uciekam pod naczepę ciężarówki, z której handluje się owocami. Bangladesz to głównie piaski i muły, jego duża część leży najwyżej 1 m n.p.m., a całe południe oplatają kanały, ramiona i odnogi Gangesu, który uchodząc do Zatoki Bengalskiej, tworzy największą deltę świata. Z okien autobusów kraj wygląda jak wielkie morze, z którego czasem wystaje jakaś wyspa. Częściej jednak podróżuje się łodziami – jest tu podobno 8 tys. km dróg żeglownych i do wielu miejsc w delcie inaczej nie da się dotrzeć. Kilkupoziomowe promy przybijają do Dhaki nad ranem, by wraz z zachodem słońca ruszyć w drogę powrotną. Wędruję długim nabrzeżem, mijając nowoczesne kolosy, aż do staromodnej jednostki, która cumuje na końcu. Rocket jest dziś rakietą tylko z nazwy, bo płynie dwa razy dłużej niż nowe promy; miejscowi wybierają go, bo jest bezpieczny (w przeciwieństwie do innych jednostek nigdy nie miał wypadków) i dobija też do mniejszych portów, turyści – bo podróż nim jest nostalgiczna jak Orient Expressem albo dyliżansem. Stateczek z budką kapitana na dachu i ogromnymi kołami łopatkowymi po bokach wygląda jak w czasach kolonialnych, choć nie napędza go już para, jak kiedyś, tylko ropa. Do dziś sprawne są cztery takie jednostki – najpierw płynę w staromodnej kabince 1 klasy wyłożonej drewnem, a w portowym mieście Barisal z kartonikiem jak stary bilet tramwajowy w ręku wsiadam na pokład MS Pashur, który jest starszą i mniej luksusową „rakietą". Pasażerowie leżą na dywanach, a ktoś z załogi natychmiast prowadzi mnie na dach, wskazując miejsce obok budki kapitana. Skrzypiący statek, wpływając na skraj Sundarbanów, czyli największych lasów namorzynowych świata, pozwala obserwować życie na wodzie. Trąbimy ostrzegawczo przed zakrętami, mlecznoszare kanały są coraz węższe, a gdy zawijamy w ostatni – wypełniamy go prawie w całości. To już obrzeża Sundarbanów – namorzynów, bagien, małych wysp z naniesionych piasków i sieci kanałów. Płynę na nie z Abdulem, dawnym pracownikiem stoczni w Wietnamie i Korei Północnej, łódką przebudowaną ze starej łajby. Na błotnych wałach kobiety wypalają gliniane naczynia, a dzieciaki zjeżdżają z nich do wody. Mają one po kilka metrów wysokości, żeby zabezpieczyć przed przelaniem się wody w czasie monsunu, ale i tak każdego roku gdzieś się przelewa, przez co wsie z blachy falistej wciąż przenoszą się w inne miejsca. Na ląd ze statku przystani prowadzi chybotliwa kładka szerokości stopy, dalej trzeba skakać po pniach wystających z błota, które zastyga w słońcu, tworząc dziwne wzory. W powietrzu unosi się słodki zapach mułu. Gleba w lasach jest czerwona i bardzo żyzna, brodzą w niej po kolana miejscowi, wyławiając małe jadalne kraby. Obserwujemy to z drewnianych trapów przerzuconych nad mokradłami, prowadzących do basenów z młodymi krokodylami, które po odchowaniu trafią na wolność. W lasach jest też mnóstwo małp, ale najbardziej znane tutejsze zwierzę to tygrys bengalski. Żeby go wytropić, trzeba popłynąć na skraj Sundarbanów, co dziś jest dość karkołomne – władze wpuszczają tam tylko wycieczki zorganizowane, a tych jest niewiele. Abdul mówi, żeby się nie przejmować: – Pływam tu codziennie od lat, a tygrysa widziałem tylko raz, zresztą niedaleko stąd, w mniejszych kanałach. Podniosłem głowę, a on patrzył mi prosto w oczy.

Sprzedaż herbaty to jedna z najważniejszych gałęzi banglijskiej gospodarki. Duża część produkcji idzie na eksport.

Powszechne w Bangladeszu makaki rezusy rozpoznać można po nagiej różowej twarzy, szarobrązowym futrze i średniej długości ogonie.

HERBATA NIE LUBI PERFUM

Życie na ulicach zaczyna się, gdy jest jeszcze ciemno – przed 5 rano

SHUTTERSTOCK (3).

eprasa.pl 9d6ea83e6a

W Kusztii, na zachód od rzeki Ganges, zwiedzać można dawny dom indyjskiego noblisty Rabindranatha Tagorego.

otwierają się budki z czajem (herbatą z mlekiem), wychodzą zamiatacze, a chłopcy zaczynają sprzedawać gazety. *The Bangladesh Today* na pierwszej stronie publikuje godzinę wschodu słońca – 6.13 AM, i zachodu – 5.13 PM. Dzień jest krótki, a wisząca w powietrzu mgiełka po monsunie sprawia, że świat wygląda tajemniczo. Herbaciane wzgórza dookoła Srihotto z każdą minutą zmieniają odcień zieleni. To właśnie tu rośnie najlepsza bengalska herbata – mało kto wie, że kraj znajduje się w światowej dziesiątce jej producentów. W miasteczku, które w ciągu godziny obchodzę wzdłuż i wszerz, ludzie już mnie kojarzą. Sklepikarze z aptekarską dokładnością odważają liście z plantacji. – Masz w plecaku jakieś perfumy? Nie? To dobrze, ta herbata jest tak delikatna, że od razu nimi przesiąknie – pan Gupta pakuje mi Tea Gold. Władze zabroniły zagranicznym turystkom poruszać się po okolicy w pojedynkę, ale udaje mi się uprosić policjantów, by puścili mnie na spacer dookoła miasta. Na plantacjach jest cicho i spokojnie, zielone pola przecinają nieliczne drogi i znaczą kolorowe kropki – to pracownice z Indii zrywają liście i wynoszą je w wielkich pakunkach na głowach. W niepozornej budce nad rzeką można się napić herbaty „osiem poziomów". Kelner ostrożnie niesie i stawia przede mną szklankę z przedziwnym napojem złożonym z ośmiu warstw w odcieniach beżów i brązów. Przechylam ją powoli, a warstwy się nie mieszają. Piję jedną po drugiej – karmelową, cynamonową, słodką jak nadzienie cukierków...

BANGLIJSKIE BOGACTWO

W Bangladeszu nie ma zbyt wielu atrakcji, na podróż po niektórych rejonach potrzeba pozwoleń, a kolejne miasta zlewają się w jedno. Kusztia z grobem sufickiego mistyka, przed którym pielgrzymi śpiewają pięknymi głosami, Mojmonsziho z wielkim bazarem bławatnym i rzeką, w której dziewczyny dłubią patykami, szukając złotych grudek, chaotyczna Bogra i nazywany muzeum pod gołym niebem Bagerhat ze starymi meczetami i świętym stawem. Karmiciel żyjących w nim krokodyli natychmiast zaprasza mnie na herbatkę. Dla pielgrzymów jestem większą atrakcją niż historyczne budowle. Do Bangladeszu wciąż dociera bardzo mało turystów (w ciągu 18 dni widziałam ich trzy razy – w Dhace i na Sundarbanach) i gdziekolwiek się pojawię, robi się zbiegowisko. Ludzie są ciekawi mnie i bardzo serdeczni. Na stacji porządkowi usadzają mnie w poczekalni i włączają wiatraki. Kiedy grzebię w kieszeniach, szukając pieniędzy na czaj, tragarz z portu pokazuje na migi, że za mnie zapłaci, a gdy nad ranem pytam o drogę do hotelu – odprowadza mnie do niego cała gromada ludzi, sprawdzając na koniec, czy dostałam dobry pokój. Każdy, kto do Bangladeszu dotarł, to potwierdzi – największym bogactwem tego kraju są jego mieszkańcy. ■

SHUTTERSTOCK (3)

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Z powodu przeludnienia i braku wystarczająco licznego taboru kolejowego Banglijczycy podróżują nierzadko na dachach pociągów.

Dhaka to trudne miejsce do życia. Zatłoczone, brudne, chaotyczne. Na ulicach spotkać można setki ludzi, którzy, aby przeżyć, imają się każdej pracy.

eprasa.pl 9d6ea836a

TEKST **PAWEŁ KEMPA**

WYSPA GOŁĘBI

RUSZYŁEM NA WSCHÓD SRI LANKI I SPOTKAŁEM SIĘ OKO W OKO Z REKINEM.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Feeria barw i misternych rzeźbień w świątyni Pathirakali Amman w Trincomalee odzwierciedla bogactwo tamilskiej tradycji i kultu bogini Bhadrakali.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Monumentalny wizerunek Sziwy górujący nad Trincomalee symbolizuje boską ochronę i znaczenie hinduizmu w tym regionie.

Kolorowa świątynia hinduistyczna na plaży w Trincomalee.

Rankiem plaże Trincomalee ożywają, gdy rybacy sortują świeże połowy prosto z Oceanu Indyjskiego.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Specjalnością tutejszych szefów kuchni są kraby w sosie curry poławiane na pobliskiej lagunie i mokradłach.

Ten ślimak nagoskrzelny (rodzaj morskiego mięczaka ślimakowego), jeden z najbardziej niezwykłych mieszkańców raf Sri Lanki, prezentuje bogactwo podwodnego świata Oceanu Indyjskiego.

Na oko ma ze dwa metry. Rekin spokojnie patroluje swój rewir, zatacza wokół mnie koło, leniwie ruszając płetwami. Pod wodą jednak wszystko wydaje się większe. Strach też. Chwilę później dostrzegam kątem oka dwa następne. Serce bije mi jeszcze mocniej. Nie z zachwytu i potrójnego szczęścia, że zobaczyłem te najdoskonalsze drapieżniki świata podwodnego, ale ze zwykłego strachu. Nie byłem w klatce, tylko przy brzegu Pigeon Island, i miałem na sobie tylko płetwy, rurkę, maskę i strój kąpielowy – no, słaby oręż przeciwko ich czterdziestu zębom w każdej z paszczy. Czy mnie zobaczyły, a raczej wyczuły? Rekiny potrafią wyczuć bicie serca i skurcze mięśni swoich ofiar, analizując zmiany pola elektromagnetycznego. Moje podwyższone tętno czują na pewno, więc jedyną moją bronią jest spokój. Nie wykonuję więc żadnych gwałtownych ruchów, choć mam ochotę rzucić się do brzegu z prędkością kutra torpedowego. Zataczają wokół mnie jeszcze kilka kółek i odpływają za skały pokryte koralowcami. Uff! Wreszcie mogę wrócić do podziwiania rafy koralowej. A ta okalająca Pigeon Island należy do najpiękniejszych u brzegów Sri Lanki.

SCHRONISKO PIRATÓW

Na Pigeon Island (Wyspę Gołębi) u północno-wschodniego wybrzeża Sri Lanki przypłynąłem motorówką wprost z plaży wioski Nilaveli, gdzie zatrzymałem się na kilka dni. Opowiadam Arunie, instruktorowi nurkowania i właścicielowi łajby, który mnie przywiózł na wyspę, o tym spotkaniu. – Eee, to był rekin rafowy czarnopłetwy, zupełnie niegroźny dla człowieka – uspokaja mnie Aruna. – Są płochliwe, czasem tylko zainteresują się nurkiem, podpłyną bliżej i tyle. Najgorsze, co mogłeś zrobić, to rzucić się do panicznej ucieczki. Wtedy wzbudziłbyś na pewno ich zainteresowanie, bo przypominałbyś szamoczącą się zdobycz. Ta niewielka wyspa położona kilometr od brzegu wzięła swoją nazwę od dzikich gołębi zamieszkujących ponoć na skałach wyłaniających się z oceanu. W 2003 r. otrzymała status parku narodowego, ale można się po niej poruszać swobodnie, a raczej przedzierać przez jej dziki teren. Wdrapuję się na skały otaczające piaszczyste plaże i małe zatoczki porośnięte tropikalną roślinnością. Rozpościera się stąd imponujący widok na ocean i samą wysepkę. Brakuje tylko zacumowanego statku piratów, którzy przybyli, żeby ukryć na wyspie skarb. W przeszłości faktycznie Pigeon Island służyła za schronienie zbójnikom grasującym po wodach Oceanu Indyjskiego, a za czasów kolonialnych flota Wielkiej Brytanii urządziła sobie na niej strzelnicę. Dziś skarbem Wyspy Gołębi jest rafa koralowa. Ponownie idę snorklować z duszą na ramieniu, czy nie natknę się znów na rekini patrol.

ADOBE STOCK (2), SHUTTERSTOCK (2), POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

SRI LANKA
PIGEON ISLAND

Ciekawość w końcu zwycięża. Rafa od strony zachodniej tętni życiem. Żółwie morskie skubią glony z koralowców, między zdrowymi koralowcami madreporowymi przemykają kolorowe ryby. Nurkuję jeszcze po wschodniej stronie wyspy, lecz tam rafa jest zdewastowana, jakby przejechał po niej walec. W 2004 r. uderzyło w nią tsunami i połamało delikatną strukturę koralowców. Ekosystem odradza się, ale powoli, kilka milimetrów na rok. Na plaży zamiast kamieni natykam się na miliony zdewastowanych fragmentów rafy, które zdążył już oszlifować ocean. Z czasem zmienią się w biały piasek.

WIELKI ZŁOTY LEW

Mieszkam w wiosce Nilaveli nad brzegiem oceanu, w wynajętym domku otoczonym gajem palmowym, niedaleko portowego miasta Trincomalee. Nilaveli słynie z szerokich piaszczystych plaż i błogiego spokoju. Nie ma tu wielkich hoteli, nocnego życia. Tu wszystko toczy się raczej w rytmie kołyszących się palm i przy zapachu gotowanego jedzenia dochodzącym z rodzinnych knajpek serwujących kawałki kury w sosie curry i ryby. W każdej części Sri Lanki curry smakuje trochę inaczej. W okolicach Trincomalee – zwanego przez jego mieszkańców

ADOBESTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Park Narodowy Pigeon Island widoczny z plaży Nilaveli. Niewielka skalista wyspa porośnięta niską roślinnością jest jego sercem.

w skrócie Trinco – lokalne restauracje serwują potrawy będące mieszaniną wpływów z południa Indii, portugalskich i chińskich. Zabieram się do jedzenia prawą ręką – bez sztućców – z poznanym kilka dni temu Lankijczykiem, który pomaga mi przemieszczać się po wyspie. Zakumplowaliśmy się, a Indika Kodi opowiada mi o lokalnych zwyczajach. Najpierw dokładnie myjemy ręce.

– Musisz z palców utworzyć łódkę, a kciukiem popychać jedzenie do ust – tłumaczy mi Indika. Niby proste, ale on zajada palcami o wiele sprawniej. Przyznam, że jedzenie bez sztućców daje frajdę zapomnianą od dzieciństwa. Prawdziwa bezkarność, coś jak szczeniackie robienie na złość pani w przedszkolu, która nakazała jeść nożem i widelcem. Specjalnością tutejszych szefowych i szefów kuchni są kraby w sosie curry poławiane na pobliskiej lagunie i mokradłach. Na ostro! Co ciekawe, na Sri Lance, drugim zaraz po Indiach producencie herbaty, trudno znaleźć herbaciarnię. Półki w sklepach wprawdzie uginają się od lokalnych herbat, ale nie istnieje kultura picia herbaty w lokalach czy na powitanie. Wznoszę więc toast piwem Leo z wielkim złotym lwem na etykiecie – symbolem i godłem Sri Lanki. ■

eprasa.pl 9d6ea83e6a

TEKST **JAKUB RYBICKI**

DŻAFNA

PÓŁNOC KRAJU W PRZECIWIEŃSTWIE DO POŁUDNIA TO KRAINA NATURALNA I NIEODKRYTA, WCIĄŻ OPIERAJĄCA SIĘ KOMERCJI.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Piasek i palmy kokosowe – tak wygląda północne wybrzeże Oceanu Indyjskiego na Sri Lance. Na zdj.: wieś Talaimannar.

eprasa.pl/9d6ea83e6a

Na targu w Dżafnie krawcy oferują swoje ekspresowe usługi. Garnitur powstaje tu nawet w kilka godzin.

Dżafna? A po co tam jechać? Dziwili się Lankijczycy z Kolombo, Kandy, Weligamy i Batticaloa. Są przecież piękne plaże na wschodzie i zachodzie, góry i parki narodowe w centrum, liczące tysiące lat starożytne miasta pośrodku wyspy, a na północy przecież nic nie ma! Taka antyreklama tylko wzbudziła moją ciekawość, bo mimo tych deklaracji większość moich rozmówców nigdy tam nie była. Trochę trudno im się dziwić – przez ćwierć wieku trwania wojny domowej północ Sri Lanki była trudno dostępna. Władzę sprawowała tu organizacja Tamilskie Tygrysy walcząca o niepodległość części wyspy zamieszkanej przez Tamilów. Wojna skończyła się w 2009 r. masakrą w Mullivaikkal, gdy dziesiątki tysięcy cywilów zginęły na wąskim półwyspie, raptem 100 km od Dżafny. O co chodziło? Większość mieszkańców wyspy Cejlon stanowią Syngalezi wyznający buddyzm, ale 12 proc. to Tamilowie – hinduiści. Trwająca dziesięciolecia dyskryminacja mniejszości doprowadziła w końcu do wybuchu konfliktu, który zatrzymał rozwój północy kraju i pochłonął niezliczone ofiary. Nie da się o tym zapomnieć, jadąc do Dżafny, ale rany pomału się goją, a mieszkańcy patrzą w przyszłość z coraz większym optymizmem. Dalej prawie nie ma tu turystów, a wybrzeże wciąż nie zostało zabudowane hotelami jak na południu. Ceny są znacznie niższe, a ludzie – jeszcze szerzej uśmiechnięci.

FORT TYGRYSÓW

Podróż koleją z Kolombo trwa ok. 10 godz., choć trudno powiedzieć dokładnie ile, bo pociąg nie odjechał zgodnie z planem, a godzina przyjazdu też była raczej umowna. Doceniamy jednak, że skład jest wygodny i z klimatyzowanymi wagonami. Linię kolejową zbudowano tu już w 1905 r., ale od lat 80. XX w. do roku 2014 pozostawała nieużywana i duże jej fragmenty trzeba było zbudować na nowo. Odbudować trzeba też było miejską bibliotekę zniszczoną podczas zamieszek w 1981 r. To tu kierujemy nasze pierwsze kroki w tamilskiej stolicy. Uważana za skarbnicę kultury, chroniąca bezcenne teksty i unikatowe manuskrypty budowla była dumą Dżafny. Jej spalenie uznawane jest za jedną z głównych iskier, które doprowadziły do wybuchu wojny dwa lata później. Gdy siły rządowe odzyskały kontrolę nad miastem, jedną z pierwszych decyzji była odbudowa biblioteki. Oglądam ją z miłym strażnikiem, ale ze zbiorów raczej nie skorzystam. Wprawdzie lankijski pisarz Shehan Karunatilaka kilka lat temu dostał Nagrodę Bookera, ale tu książki są w języku tamilskim, więc odpuszczam. Idziemy do najbardziej charakterystycznej atrakcji miasta – fortu w kształcie pentagonu. Budowla robi wrażenie szczególnie z powietrza, bo zachowały się idealnie zarówno kształt twierdzy, jak i fosa. To arcydzieło inżynierii obronnej zbudowane przez Portugalczyków w 1618 r., rozbudowane przez Holendrów, a następnie przejęte przez Brytyjczyków, którzy urzędowali tu do 1948 r. Co prawda przewodniki mówią, że najpiękniejszą twierdzą na Cejlonie jest Galle, ale ja zdecydowanie wolę Dżafnę – ze względu na zachowaną formę, fascynującą historię, wyluzowany klimat i widok na morze. W środku niestety znajdziemy tylko ruiny historycznych budynków, a to dlatego, że fort pełnił funkcję obronną chyba najdłużej ze wszystkich na świecie – aż do 1995 r. W czasie wojny domowej za swą siedzibę obrały go Tamilskie Tygrysy. Bojownicy opuścili

SHUTTERSTOCK (2), POPRZEDNIE STRONY ADOBESTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Podczas festiwalu Nallur Kovil Tamilowie hucznie świętują w najważniejszej hinduistycznej świątyni w kraju – Nallur Kandaswamy w Dżafnie.

eprasa.pl 9d6ea88e6a

Pierwszy fort obronny w Dżafnie zbudowali Portugalczycy w 1618 r. A potem, aż do 1948 r., rezydowali tu Brytyjczycy.

twierdzę i miasto po 50-dniowym oblężeniu. Od tego czasu aż do końca wojny Dżafna pozostawała pod kontrolą wojsk rządowych. Dzięki temu lokalna ludność uniknęła najgorszych okrucieństw, czego nie można powiedzieć o reszcie półwyspu noszącego tę samą nazwę. Po murach fortu spacerują zakochani i rodziny z dziećmi, panie wystrojone są w piękne sari. Młode pary pozują do zdjęć, a taksówkarze w tuk-tukach czekają na klientów, którzy na razie zajadają watę cukrową i krojone w plasterki mango. Z murów rozpościera się widok na zatokę i groblę na wyspę Kayts, po której bez ustanku suną setki skuterów. Nie powiedziałbym, że to najpiękniejszy widok na Sri Lance, ale bez wątpienia jeden z najciekawszych. By lepiej się przyjrzeć, trzeba zejść z murów. Ileż tu się dzieje! O zachodzie słońca z połowów wracają dziesiątki mniejszych lub większych łódek, ale rybacy brodzą też po płytkiej zatoce, raz po raz wyrzucając sieci wysoko w powietrze. Przypatrują się temu z uwagą wrony, czaple, kormorany, mewy. Komuś przecieka łajba, ale nie szkodzi, bo członek załogi pracowicie wylewa wodę plastikowym wiadrem. Nie wszystkie

ADOBESTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

łodzie płyną zresztą do brzegu – wiele z nich cumuje przy niewielkich domach na palach zbudowanych dosłownie na zatoce. Morze w okolicy Dżafny to tak naprawdę plątanina sieci rozwieszonych na drewnianych płotkach. Tworzą one skomplikowane konstelacje, po których poruszać się mogą tylko wytrawne wilki morskie. Z rybołówstwa żyje duża część ludności, ale najlepiej zarabiają ci, którzy założyli hodowlę... morskich ogórków. Po polsku nazywamy je mniej apetycznie strzykwami, angielska nazwa zdecydowanie lepiej oddaje ich wygląd. Te niezbyt wielkie bezkręgowce odgrywają istotną rolę w ekosystemie, żywiąc się szczątkami zawartymi w osadach, pomagając w recyklingu składników odżywczych i zmniejszając zakwaszanie oceanów. Nie da się ukryć, że przypominają również męskie przyrodzenie, więc uznawane są w wielu krajach za afrodyzjak. Wysuszone i sproszkowane strzykwy są wykorzystywane w tradycyjnej medycynie azjatyckiej, a ostatnio zainteresowały się nimi również zachodnie koncerny farmaceutyczne. Wszystko to sprawia, że cena gwałtownie rośnie i obecnie (w przypadku ogórków z Cejlonu) oscyluje wokół 250 euro

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Gorące źródła w Keerimalai to spora atrakcja turystyczna. Tuż obok mieści się interesująca świątynia Naguleswaram Kovil.

za kilogram. Nie zdziwcie się więc, widząc rybaków wyciągających coś, co wygląda jak wielkie, dość obrzydliwe robaki. Raczej nie kupicie ich na targu, bo nie należą do tradycyjnego jadłospisu Tamilów. Bez większego kłopotu dostaniecie za to „tradycyjne" owoce morza oraz typowe dania indyjskiej i lankijskiej kuchni. Wspaniałym kulinarnym przeżyciem jest wizyta w restauracji Malayan w centrum miasta. Lokal wciśnięty między niezliczone kramy z mydłem i powidłem oferuje dość wąską kartę dań, nie zapewnia sztućców, a sztandarowe rice & curry serwuje na liściach bananowca. Posiłek *all you can eat* kosztuje oczywiście grosze. Nic tu się nie marnuje, nie ma też niepotrzebnego plastiku, a jednocześnie jest bardzo czysto. Mam wrażenie, że w Europie na ścianie wisiałby certyfikat zrównoważonego rozwoju, a może i gwiazdka jakiegoś przewodnika kulinarnego. Na półwyspie Dżafna wciąż nie zagościła komercja. Nie pomaga powszechny brak znajomości anielskiego, choć za czasów Imperium Brytyjskiego Tamilowie posługiwali się nim bardziej powszechnie.

BÓG MAŁPA I LATAJĄCE LISY

Jedziemy do dawnego pałacu królewskiego. Tamilowie przybyli na Sri Lankę niedługo po Syngalezach i migrowali na nią przez dwa tysiąclecia. W XIII w. udało im się stworzyć własne królestwo ze stolicą w Nallur. Ostatecznie pokonali ich Portugalczycy w 1619 r. Nallur jest dziś dzielnicą Dżafny znaną z przybytków modlitewnych, pałaców i lodów. Mantri Manai – rezydencja jednego z ostatnich królów – wymaga solidnego remontu i raczej nie nadaje się do zwiedzania. Jak najbardziej można natomiast wejść do Nallur

83 proc. mieszkańców Dżafny to hinduiści. W skali kraju jednak to tylko 12 proc.

Powstający z kiełków palmy odiyal to popularna na Sri Lance przekąska.

GETTYIMAGES, SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Ulice niemal każdego z lankijskich miast to idealna symbioza pieszych, rowerów i tuk-tuków. Na zdj.: wejście na targ w Dżafnie.

Kandaswamy – świątyni, którą zbudowano tuż obok królewskiego pałacu już w 948 r. Zburzona za czasów portugalskich, została odbudowana, gdy władzę przejęli bardziej tolerancyjni Holendrzy. To jedno z najważniejszych miejsc pielgrzymkowych dla hinduistów, odwiedzane szczególnie tłumnie w sierpniu. Trwający 25 dni Kovil Festiwal jest jednym z najbarwniejszych na wyspie. Można wtedy oglądać liczne parady, również takie, podczas których fanatyczni wierni dokonują samookaleczeń. Do środka wchodzimy boso, panowie – topless. Podniosła atmosfera, kadzidła i płynące z głośników modlitwy robią wrażenie. Ale jeszcze większe robi położona 10 km dalej świątynia w Inuvil. Poznać ją można z daleka po ogromnym, wysokim na kilkanaście metrów posągu boga małpy Hanumana. Jest on mądry, odważny, silny, oddany i zdyscyplinowany, a przede wszystkim wygląda wspaniale, górując nad okolicą. Według mitologii hinduskiej razem ze swoją armią małp pomógł Ramie odzyskać żonę, która została uprowadzona przez króla demonów Rawanę właśnie na Sri Lankę. Kto wie, może nawet w te okolice? Ponad palmami częściej niż bogowie małpy wystają jednak mieniące się wszystkimi kolorami tęczy wieże hinduistycznych świątyń, tzw. śikhary, rzadziej spotykane w innych częściach wyspy. Mniej jest za to buddyjskich stup, choć też ich nie brakuje. Znajdzie się i meczet. Za to znacznie częściej niż na południu zobaczyć tu można kościoły; pozostałość po czasach kolonialnych. Portugalczycy zniszczyli wiele hinduistycznych przybytków religijnych, masowo nawracając Tamilów na katolicyzm. Przed wojną nawet 12 proc. ludności wyznawało chrześcijaństwo, ale sądząc po stanie większości świątyń, jest ich dziś znacznie mniej. Katolickie świątynie oglądam na wyspach Kayts, Karainagar i Punkudutivu. To dobre miejsca, by uciec od miejskiego zgiełku. Tutejsze plaże są wciąż dzikie, a urodą nie ustępują tym z południa. Gigantyczne magnolie są wręcz oblepione „latającymi lisami", czyli rudawkami – największymi z nietoperzy. Wyglądają dość upiornie, zwłaszcza że rozpiętość ich skrzydeł dochodzi do 1,7 m, ale nie ma powodu do obaw; ich największym przysmakiem są dojrzałe mango. Znacznie mniej wegetariańską dietę preferują dławigady – tutejsze bociany. „Jedność w różnorodności" – głosi napis w Point Pedro, na najdalej na północ wysuniętym cyplu Cejlonu. Choć wielu miejscowych powtarza te słowa z pewnym przekąsem, to bez wątpienia półwysep Dżafna przez swą inność wzbogaca Sri Lankę. ■

eprasa.pl 9d6ea83e6a

TEKST **AGNIESZKA WASZTYL**

KIRGISTAN

SPANIE W JURCIE NA PUSTKOWIU, KONNY RAJD Z PRZYGODAMI I DZIKOŚĆ NATURY.

Rozległe zielone pastwiska przy przełęczy Ala-Bel na trasie Biszkek–Osz zachwycają widokiem na ośnieżone szczyty Tienszanu.

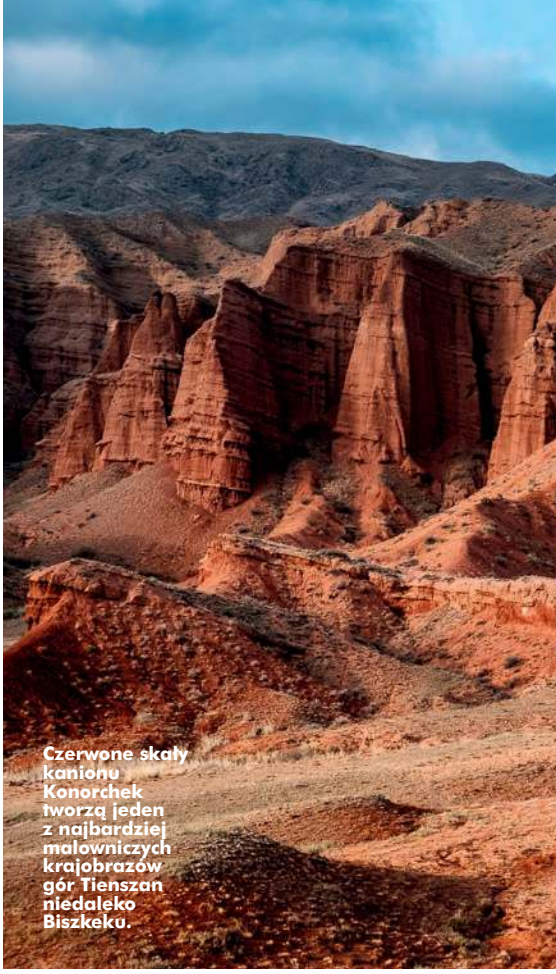

Czerwone skały kanionu Konorchek tworzą jeden z najbardziej malowniczych krajobrazów gór Tienszan niedaleko Biszkeku.

Brak zasięgu w telefonie szybko uświadamia nam, że oddalamy się od cywilizacji, bo wjeżdżamy już na wysokość 3 tys. m n.p.m., skąd widać ośnieżone wierzchołki gór Tienszan. Na ich zboczach wolno przemieszczają się konie, niżej także wielbłądy, a mocne promienie słońca podbijają kolory soczyście zielonych pastwisk. Za niemal każdym zakrętem otwierają się kolejne zapierające dech w piersiach widoki, a na trasie co jakiś czas mijamy okrągłe białe jurty – tymczasowe domy dawnych koczowników, w których dziś, zwłaszcza latem, mieszkają pasterze. Namioty te, pokryte skórą i filcem i oparte na okrągłym drewnianym szkielecie, można rozstawić w zaledwie 20–30 min. Przewodnik Bolot Murtazin tłumaczy, że w tradycyjnej jurcie panuje określony porządek: przy wejściu należy zdjąć buty, po prawej stronie znajduje się kobiece „królestwo", a po lewej przestrzeń zarezerwowana dla mężczyzn, do której nie wolno wchodzić. Miejsca dla gości są w głębi, gdzie znajduje się również palenisko zapewniające dobrą wentylację i utrzymujące chłód latem oraz ciepło zimą, co ma ogromne znaczenie, bo nad jeziorem Song-Köl zimą temperatury spadają nawet do –30 stopni.

Kirgizka częstuje nas tradycyjnym chlebem. To lepioszka. W Kirgistanie podawana jest do każdego posiłku.

Beszbarmak („pięć palców"), tradycyjna potrawa z baraniny lub koniny, makaronu i bulionu, jest dumą kirgiskiej kuchni.

WILKI I DZIKIE PSY

Wchodzę do naszej jurty. Sześć łóżek z pościelą, maleńki piecyk, a na podłodze dywany. Nie obowiązują nas tradycyjne zasady. Każdy sam wybiera łóżko – nieważne, czy jest po lewej, czy prawej stronie. W naszej jurcie nie ma kuchni, posiłki są przygotowywane przez kirgiską rodzinę w innym namiocie. Nie ma też łazienek i toalet. Na zewnątrz można skorzystać z wychodka i umywalki. W jurtach zazwyczaj nie ma elektryczności, choć akurat te nad jeziorem Song-Köl, drugim co do wielkości jeziorem Kirgistanu, położonym na wys. 3016 m n.p.m., mają zamontowane panele słoneczne. Zapalamy jedyną żarówkę w namiocie, która niestety nie daje za dużo światła. Każdy z nas od razu zakłada latarkę czołówkę, żeby cokolwiek odnaleźć w plecaku. Przewodnik uprzedza, żeby w nocy nie wychodzić samemu z jurty za potrzebą. – Obudźcie mnie. Po zmroku mogą podchodzić wilki i dzikie psy – ostrzega. Zapadamy w sen. Śpimy nieprzerwanie 10 godz i już dawno mój organizm tak się nie zregenerował.

SZKOŁA POŚRODKU NICZEGO

Następnego dnia ruszamy do wioski Ala Bash, gdzie będziemy jeździć konno. Przed nami kilka godzin podróży. Moją uwagę zwracają niewielkie kopce. – To groby. Dawniej, jak umierał chan, grzebano go z całym dobytkiem i służbą. Wierzono, że będzie chanem także w zaświatach i dlatego te wszystkie rzeczy będą mu tam potrzebne, tak jak ludzie – wyjaśnia Bolot. – Zobacz, jak wszystko się zmienia. Ich grobowce pokryła roślinność, a współczesne rozbierane są po maksymalnie 20 latach. Po co komu groby? Życie toczy się dalej, tyle tylko, że gdzie indziej – dodaje. Robimy krótki przystanek przy jednej z jurt, która samotnie stoi na ogromnej polanie. Mieści się w niej mała szkoła, która latem pełni także funkcję świetlicy. Uczęszcza tu 26 uczniów w wieku od 5 do 15 lat. Kilkoro dzieci wybiega nam na spotkanie. Wnętrze jest niezwykle przytulne i kolorowe. – Masz dzieci?

SHUTTERSTOCK (4). POPRZEDNIE STRONY SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Tradycyjny berkutczy – myśliwy polujący z orłem przednim – prezentuje swoje umiejętności na stepach regionu Issyk-kul.

Tradycyjne smażenie boorsoków – drożdżowych pączków Kirgistanu – podczas Narodowego Festiwalu Gier Konnych.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

KIRGISTAN
JEZIORO SONG-KÖL, ALA BASH, KARAKOŁ

Konstrukcję jurty wznoszą mężczyźni, zaś dekorują je kobiety.

SHUTTERSTOCK, ADOBESTOCK

Ze skał kanionu Skazka rozpościera się niesamowity widok na największe jezioro w kraju – Issyk-kul nazywane kirgiskim morzem.

Komuz, trójstrunowy instrument, to jeden z symboli kirgiskiej kultury. Tradycyjnie wykonywany jest z jednego kawałka drewna.

Pyta mnie jedna z opiekunek. – Nie mam. W Polsce kobiety decydują się na dzieci dość późno – odpowiadam. – U nas 20 lat to standard. Ja mam 28 lat i już troje, ale chciałabym więcej – mówi z uśmiechem. Kirgizka częstuje nas tradycyjnym chlebem. To lepioszka. W Kirgistanie podawana jest właściwie do każdego posiłku. Często można spotkać miejscowych, którzy maczają ją w gęstej śmietanie i zapijają herbatą. Litrami herbaty... Kirgizi nie wyobrażają sobie bez niej życia. Często dodają do niej mleko i sól. Parzą ją w samowarach. – Po co komu czajniki, skoro są specjalne naczynia do robienia herbaty? – dziwi się jeden z naszych kirgiskich przyjaciół.

OFIARA Z BARANKA

Widoki z przełęczy 33 Papugi (Tridzat Tri Popugai) niedaleko jeziora Song-Köl przypominają najpiękniejsze trasy alpejskie lub andyjskie. Zjazd

33 serpentynami wśród porośniętych bujnymi lasami gór Tienszan jest zachwycający. Oglądamy mały wodospad i nad rwącą rzeką robimy piknik. Bolot przygotowuje szaszłyki z baraniny na grillu. Sam je doprawia. – Będziecie mieć obiad, którego nie zapomnicie do końca życia – zapewnia. Mięso jest przepyszne. Jemy je rękami. Narodową potrawą Kirgistanu jest beszbarmak – sycące danie składające się z baraniny lub koniny, makaronu i bulionu. Kirgizi jedzą dużo mięsa. Wszystko jest pożywne, ale też bardzo tłuste. Osoby z wrażliwymi żołądkami mogą mieć problem po kilku dniach. Jest jednak ważna zasada. Gorącego mięsa nie można popijać zimną wodą, bo rewolucja gwarantowana. Najlepiej popić je ciepłym bulionem lub herbatą.

Dziś w jurtach pomieszkują pasterze. Pokryte są zazwyczaj skórą i filcem. Ich okrągły szkielet zbudowany jest z drewna.

Kamienny balbal z okolic Czołpon-Aty to przykład pradawnych nagrobnych rzeźb spotykanych w Azji Centralnej. Postumenty te prawdopodobnie upamiętniały poległych wojowników.

Mnie najbardziej przypadł do gustu lagman (łagman) – makaron z mięsem i warzywami, a także pilaw (płow) – ryż z warzywami i kawałkami aromatycznego mięsa. Wczesnym wieczorem dojeżdżamy do Ala Bash. Nasi gospodarze – Bermet i Urmat – to para w średnim wieku. Bermet jest nauczycielką języka rosyjskiego. Mimo że jest on drugim urzędowym językiem w kraju, w wielu wioskach Kirgizi mówią tylko po kirgisku. Bermet przygotowuje nam posłanie. Na podłodze kładzie toszok (teszek) i pościel dla każdego z nas. Toszok to kolorowy, pięknie wykonany haftowany materac. I niezwykle wygodny. Gospodarz zaprasza nas do wspólnej modlitwy. Wychodzimy na podwórko i ustawiamy się twarzami w kierunku Mekki. Kirgistan jest muzułmańskim krajem, ale nie jest restrykcyjny. Tu nadal dawne wierzenia mieszają się z islamem, nie brakuje także nawiązań do buddyzmu. Gospodarze podnoszą ręce do nieba. Modlą się, a my w milczeniu stoimy i szanujemy ten intymny moment. W trakcie modlitwy przyprowadzają barana i składają go w ofierze. Zwierzę zabijają w małym pomieszczeniu. Mam wrażenie, jakbym cofnęła się w czasie i oglądała obrazy z Biblii lub Koranu. Potem Bermet przyrządza barana, a my z przewodnikiem rozmawiamy o energiach, Bogu i przeznaczeniu. Dołącza do nas także Urmat, który wyjaśnia nam, że jak rodzi się córka, to zabija się jednego barana, a jeśli na świat przychodzi syn – to dwa. – Mężczyźni w naszej kulturze stoją w hierarchii wyżej od kobiet. Ale ja mam już jedną wnuczkę i bardzo ją kocham – szybko dodaje, widząc nasze miny.

PRZYGODA NA KONIU

Próbuję opanować drżenie nóg. Nigdy wcześniej nie jeździłam konno. Młody Kirgiz prowadzi wierzchowca i podaje mi lejce. – Oswój go – namawia. W myślach rozmawiam ze zwierzęciem. W końcu wsiadam na niego, dostaję krótką instrukcję z poleceniami i przez pół godziny próbuję jeździć. Ot, takie ekspresowe szkolenie. Ruszamy na całodzienną spokojną wycieczkę w góry. Mijamy Kirgizów na koniach, bo tu, daleko od miast, te zwierzęta nadal są jedynym środkiem transportu. Dzieci uczą się jeździć już w wieku 7 lat, a czasem i wcześniej. Rajdy i trekkingi organizowane są w wielu miejscach w kraju. Można się wybrać

Czerwone formacje Jeti-Ogüz w obwodzie issykkulskim tworzą spektakularny krajobraz u stóp Tienszanu. Legenda mówi, że ich kształt przypomina siedem byków zamienionych w kamień.

SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 9d6ea83e6a

nawet na kilkudniowe górskie szlaki, ale to już wyższa szkoła jazdy. Jestem szczęśliwa, że mam możliwość przez niemal cały dzień podziwiać piękno kirgiskiego krajobrazu z grzbietu konia. Przemierzamy doliny i rzeki, w oddali widzimy lodowiec. Po blisko 8 godzinach w siodle docieramy do jednej z wiosek. Niestety mój koń, skuszony soczystą zieloną trawą, postanawia się posilić i nie chce dalej ruszyć. Z pomocą przychodzi Kirgiz. Koń niechętnie przechodzi przez strumień i nagle, zupełnie niespodziewanie, zaczyna galop. Nie reaguje na żadne komendy. Rozpędzony biegnie przed siebie. Wiem, że się nie zatrzyma. Przez głowę przebiega mi tylko jedna myśl: ratuj życie. Wyciągam nogi ze strzemion i puszczam lejce. Spadam na kamienie i głazy. Uderzam głową, ręką i twarzą. Ale cieszę się, że żyję i że... mam wszystkie zęby. Mocno poturbowana dojeżdżam z Bolotem do szpitala w Bałykczy. Młody lekarz dotyka ręki i każe nałożyć gips. Rozbita głowa nie wymaga szwów, a twarz, no cóż, zagoi się. Nikt nie robi mi rentgena i tomografii, ale za to medyk zaleca picie gliceryny trzy razy dziennie. Podobno jest dobra na stłuczenia i siniaki. I faktycznie, po kilku dniach stosowania moja twarz wygląda znacznie lepiej. Najważniejsze jednak, że nie muszę przerywać podróży.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

W DOLINIE KWIATÓW

Jedną z nocy spędzamy w jurcie w dolinie Jailoo Kok Zhaiyk, która nazywana jest także Doliną Kwiatów. W maju kwitną tu tysiące czerwonych maków. Okolica jest bardzo malownicza, ale wieczory są dość chłodne. Otulam się śpiworem i zasypiam jak dziecko. Następnego dnia dojeżdżamy do miasta Karakoł, które jest doskonałą bazą wypadową w góry. Popularny szlak wiedzie do turkusowego jeziora Ala-Köl położonego na wysokości 3532 m n.p.m. To trudna trasa, słabo oznakowana, dlatego najlepiej wybrać się w góry z przewodnikiem. Moja ekipa wyrusza na dwudniowy trekking, a ja odkrywam Karakoł, który jest traktowany przez turystów po macoszemu. A szkoda. Warto w nim zobaczyć carskie domy i drewnianą katedrę Świętej Trójcy z 1895 r. Jest także meczet tatarski – najstarszy w mieście, zbudowany przez Tatarów w XIX w., oraz meczet dungański przypominający buddyjską świątynię. Dunganie to muzułmanie, którzy z Chin przybyli do Kirgistanu i Kazachstanu w XIX w. W Karakole jest także Muzeum Historyczne, a niedaleko miasta Muzeum Mikołaja Przewalskiego, słynnego rosyjskiego podróżnika i badacza, którego car wysłał na te tereny, żeby odkrył skrót do Tybetu.

SKARBY NATURY

Pomarańczowe skały o fantazyjnych kształtach mają intensywny kolor, gdy padają na nie promienie słońca. Idziemy wyschniętym korytem rzeki. Żar leje się z nieba, ale i tak jest chłodniej niż w rozgrzanym Biszkeku. Tam latem słupki rtęci pokazują nawet 45 stopni Celsjusza. Kanion Konorchek, na terenie którego znajduje się uśpiony wulkan, to rozległy teren, ale najchętniej wybierana trasa liczy 5 km w dwie strony. Wyglądem przypomina zaś Wielki Kanion Kolorado. Trzeba jednak uważać na węże, których tu nie brakuje. Bajkowy jest także kanion Skazka, z którego skał rozpościera się niesamowity widok na największe jezioro w kraju – Issyk-kul nazywane kirgiskim morzem. Kanion robi na mnie ogromne wrażenie, ale nie ma tu już takiej intymności jak w Konorcheku – sporo tu turystów z Chin i Kazachstanu.

– Ponad 90 proc. powierzchni Kirgistanu zajmują góry. Przyroda jest dziewicza i bardzo piękna. To ona jest największym skarbem tego kraju – mówi mi Beriet Sultanova, która pracuje w informacji turystycznej w Karakole. Ale nie jedynym. W obwodzie issykkulskim, niedaleko miasta Cholpon-Ata (Czołpon-Ata), znajduje się kilka tysięcy prastarych petroglifów, w większości przedstawiających zwierzęta. Rysunki naskalne mogą także ilustrować legendy i wierzenia. Ich symbolika miała duże znaczenie dla ówczesnych ludów. – Petroglify można podziwiać na obszarze 42 ha. To ogromne muzeum pod gołym niebem i największe skupisko petroglifów w Azji Centralnej – zapewnia przewodnik Kurmanov Maksał. Niektórzy badacze doszukują się podobieństw między petroglifami a starożytnymi piktogramami. Obok rysunków naskalnych są kamienne kręgi, które być może są starożytnymi miejscami kultu. Nie brakuje też nagrobków. To balbale (bałbały, kamienne baby) popularne w krajach Azji Centralnej. Podobno Kirgizi stawiali je już w starożytności, ale najwięcej zachowanych kamiennych rzeźb pochodzi z VII–XIII w. Prawdopodobnie przedstawiają poległych wojowników. Kilkadziesiąt kamiennych nagrobków znajduje się także obok wieży Burana, dawnego minaretu oddalonego 80 km od Biszkeku. Sama baszta jest jedną z najstarszych w Azji Centralnej. Mogła powstać w XI w., choć część historyków uważa, że może być starsza. Dawniej mierzyła 45 m wysokości, ale dziś ma niespełna 25 m. Ucierpiała w wyniku trzęsienia ziemi. To jedyna budowla, która jest pamiątką po starożytnym mieście Balasagun (Bałasagun) założonym przez Sogdyjczyków, lud pochodzenia irańskiego.

TĘSKNOTA ZA LUDŹMI

Podróż kończymy w Biszkeku, stolicy kraju. Przed palącym słońcem chronimy się w jednej z restauracji. Przyznaję, że Biszkek nie jest atrakcyjnym miastem. Typowo postsowiecka architektura widoczna jest na każdym kroku. Odrapane budynki kontrastują z muralami i pomnikami. Przed nami ostatnia noc w tym wciąż nieskażonym masową turystyką kraju. Już wiem, że będzie mi brakować rozgwieżdżonego nieba, zielonych pastwisk, jurt na końcu świata. Wiem, że będę tęsknić za smakiem lepioszki, otwartością ludzi i gwarnymi bazarami. A biegające po zboczach gór konie jeszcze długo będą mi się śnić po nocach. ■

ADOBESTOCK (2), SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Turkusowe wody jeziora Ala-Köl, położonego na wys. 3532 m n.p.m. w górach Tienszan, przyciągają trekkingowców z całego świata.

Stoisko z wędzonymi rybami na targu w Czołpon-Ata (Cholpon-Ata), nad brzegiem jeziora Issyk-kul.

Ała-Too to główny plac Biszkeku. Są tu fontanny, mnóstwo kwiatów i monumentalna architektura do podziwiania.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

UZBEKISTAN
SAMARKANDA, BUCHARA, CHIWA

Registan w Samarkandzie i jego trzy oszałamiające medresy – Uług Bega, Sher Dor i Tilya Kori, przypominają o potędze i złotej erze Uzbekistanu.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

TEKST **AGNIESZKA FRANUS**

UZBEKISTAN

OD ZACHWYTU NAD BŁĘKITNYMI KOPUŁAMI SAMARKANDY, PRZEZ TĘTNIĄCĄ ŻYCIEM BUCHARĘ, AŻ PO PUSTYNNĄ FORTECĘ CHIWĘ. TO BYŁA NIEZAPOMNIANA PODRÓŻ PRZEZ SERCE JEDWABNEGO SZLAKU.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Tradycyjny uzbecki strój kobiecy to długa tunika (kuilak) i szerokie spodnie (łozim).

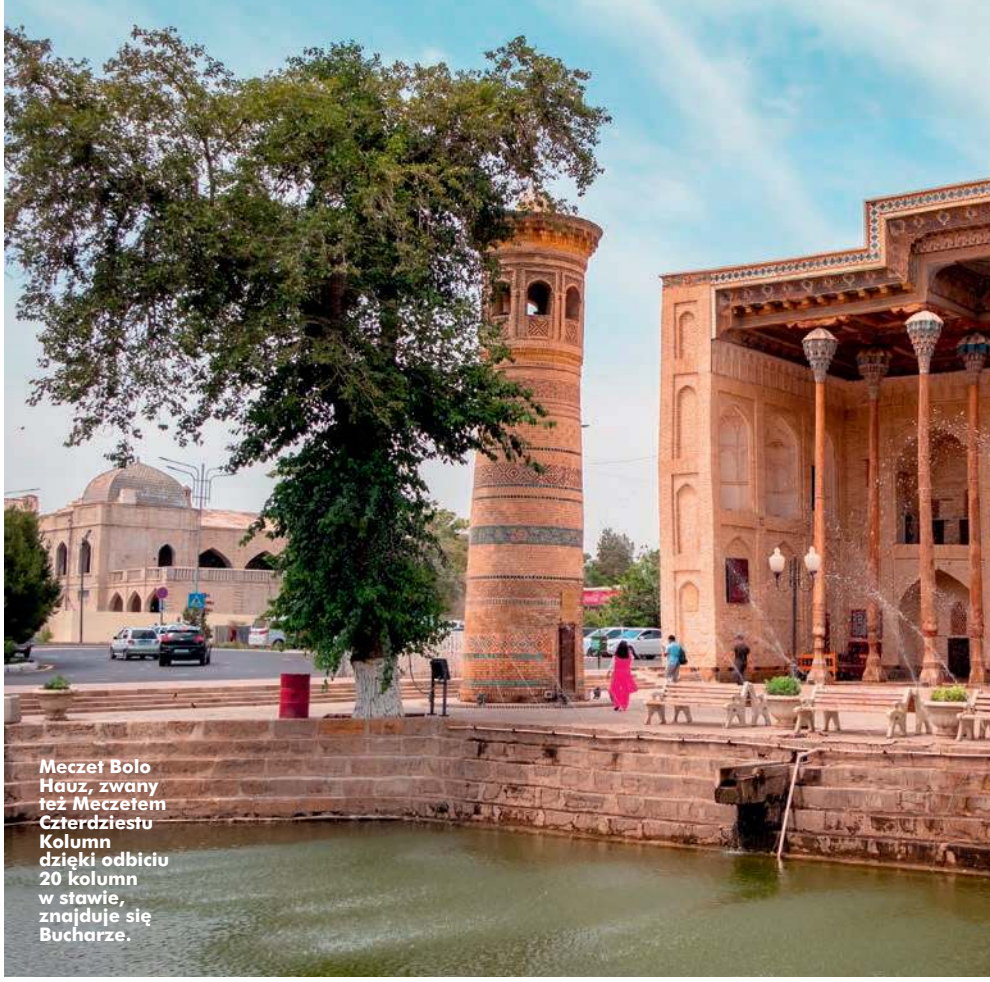

Meczet Bolo Hauz, zwany też Meczetem Czterdziestu Kolumn dzięki odbiciu 20 kolumn w stawie, znajduje się Bucharze.

Ręcznie tkane dywany z całej centralnej Azji można kupić na bazarze w historycznej części Buchary.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Siedzę na tarasie rodzinnego pensjonatu w Chiwie, którego właścicielka Amina właśnie zaserwowała mi śniadanie. Na bajecznie udekorowanych talerzykach znalazły się: biały ser, naleśniki, lepioszka – tradycyjny płaski chleb, dżem morelowy i figi zatopione w miodowym syropie. Do tego gęsty jogurt, wiśniowy kompot, kaoshirma--khans – rodzaj smażonych pierogów z nadzieniem ziemniaczanym, pomidory i ogórki, chałwa, pokrojone w plasterki owoce, sadzone jajko. Omiatam wzrokiem stół zastawiony szczelnie porcelaną – ta uczta wystarczy mi za obiad i kolację – głośno wyrażam zaskoczenie i wdzięczność. Jedyne, czego brakuje, to mocna kawa, nad którą tutaj przedkłada się herbatę (czaj), najczęściej zieloną lub ziołową. Podawana w eleganckich dzbankach z filiżankami, których zgodnie z tradycją nie należy napełniać do końca. Im częściej gospodarz nalewa gościowi czaj, tym jest mu droższy.

Ale nawet tak wspaniałe śniadanie nie jest w stanie odciągnąć mnie od roztaczającego się przede mną widoku. Podziwiam turkusowe, szmaragdowe i piaskowe kopuły medres i meczetów, przytulające się i nakładające na siebie, smukły, strzelający w niebo minaret, a za nim kolejny i następny. Wąskie uliczki i sprzedawców rozstawiających przy nich swoje stragany, otwierających wrota do wypełnionych skarbami sklepów. Wsłuchuję się w odgłosy budzącego się powoli starego miasta w Chiwie. I wcale bym się nie zdziwiła, gdyby nagle przeszła tędy wyładowana towarami karawana wielbłądów przemierzająca ten odcinek Jedwabnego Szlaku. Jeszcze nigdy nie nocowałam w miejscu z tak magicznym widokiem i to za niecałe 30 dol. dziennie. Przyjechałam do Uzbekistanu 7 dni wcześniej i muszę przyznać, że jest to jedno z tych miejsc, które z każdym przebytym kilometrem i odwiedzoną atrakcją robi na mnie coraz większe wrażenie. Jednak zanim dotarłam do Chiwy, tego położonego 1000 km od Taszkentu, w oazie na pustyni Kyzył-kum baśniowego miasta, wrócę do początków mojej wyprawy. Obfitowała ona bowiem w przygody, jakie przytrafiają się wówczas, kiedy wyruszamy gdzieś bez planu. Ja wiedziałam tylko, że bardzo chcę zobaczyć Samarkandę, Bucharę i właśnie Chiwę. Miałam zwiedzać Uzbekistan w towarzystwie przyjaciółki, jednak w ostatnim momencie musiała zrezygnować. Zostałam więc sama i było to jedno z najciekawszych doświadczeń w moim życiu.

TASZKENT–SAMARKANDA

Stolicę Uzbekistanu w mojej relacji prawie pominę – może to z powodu śnieżycy, którą Taszkent przywitał mnie na lotnisku. A może to szerokie ulice, postsowieckie gmaszyska, jak chociażby znajdujący się w centrum hotel Uzbekistan wygięty niczym łuk, sprawiły, że przyśpieszyłam decyzję o ruszeniu dalej. Jedynymi

Buchara, nazywana świętym miastem, była przez wieki uznawana z najważniejszy ośrodek teologiczny i naukowy islamu.

Uzbecki chleb (non) to symbol gościnności. Wypieka się go w tradycyjnych glinianych piecach tandoor, a następnie zdobi stemplami czekicz, które nadają bochenkom charakterystyczne piękne wzory.

atrakcjami, których nie mogłam sobie odmówić, były pław przy słynnej wieży telewizyjnej mającej 375 m i przejażdżka metrem. Stołeczne stacje mają rozmach wzorowany na moskiewskich. Stąd marmury, olbrzymie żyrandole, socrealistyczne polichromie przeplatają się z typowymi dla tego kraju baśniowymi motywami. Pławu – narodowej potrawy Uzbekistanu w restauracji Central Asian Plov Centre – zjada się podobno aż 1,5 tony dziennie. To niezwykle sycące danie z ryżu, różnych gatunków mięsa z warzywami i mieszankami przypraw przygotowuje się na oczach gości w wielkich kotłach (kazanach) ustawionych nad buchającymi dymem i ogniem paleniskami. Klient bierze, ile chce, wskazuje na dodatki, domawia sałatki i pałaszuje posiłek

SHUTTERSTOCK (2), GETTY IMAGES (2). POPRZEDNIE STRONY: GETTYIMAGES

eprasa.pl 9d6ea83e6a

w olbrzymiej jadalni. Po odespaniu zarwanej podróżą nocy następnego dnia wsiadam do superszybkiego i wygodnego pociągu Afrasiab i niewiele ponad 2 godz. później jestem w Samarkandzie. Nigdy nie zapomnę zachodu słońca nad majestatycznym placem Registan, najbardziej znaną atrakcją tego miasta. Otoczony jest trzema wspaniałymi bliźniaczymi, choć zbudowanymi w różnych okresach medresami; Uług Bega, Sher Dor i Tilya Kori. Wszystkie zachwycają milionami niebiesko-zielonych mozaik z motywami roślinnymi, zwierzęcymi albo kaligrafią. Ich imponujące portale są niczym bramy do innego świata. Za nimi dawniej skrywały się dziedzińce z salami wykładowymi, meczety, cele dla studentów, dziś kwitnie tu handel, a wiele pomieszczeń zamieniono na sklepiki. Nie zapomnę też wschodu słońca oglądanego na zielonych wzgórzach Afrasiab, które skrywają pozostałości starożytnej Samarkandy, z zapierającym dech widokiem na meczet Bibi Khanum. W XV w. był to jeden z najwspanialszych sakralnych obiektów świata. Zgodnie z legendą stanowił prezent niespodziankę dla Amira Timura od Bibi Khanum, jego ukochanej żony (został zbudowany pod nieobecność władcy, który prowadził wówczas kampanię indyjską). Ponieważ mieszkam w sercu starego miasta, większość jego atrakcji mam w zasięgu dłuższego lub krótszego spaceru. A wśród nich Gur-e-Amir, mauzoleum Amira Timura, gdzie ten twórca jednego z największych imperiów w historii świata, spoczął wraz z dwoma synami i dwoma wnukami. Jeden z nich, światły i świetnie wykształcony Uług Beg, przyczynił się do rozwoju Samarkandy. Właśnie jemu zawdzięczamy nie tylko pierwszą medresę przy Registanie, gdzie sam nauczał matematyki, ale też obserwatorium astronomiczne, gdzie dokonywał pomiarów. Jednak największe wrażenie zrobiło na mnie inne mauzoleum – Shah-i-Zinda, czyli Grobowiec Żywego Króla. Przy wąskiej alei, na która trzeba wejść po 40 stopniach symbolizujących ścieżkę modlitwy i pokuty, znajduje się kompleks olśniewających lazurowymi płytkami grobowców. Najważniejszym i najświętszym z nich jest ten należący do Qusama ibn-Abbasa, kuzyna proroka Mahometa, który najprawdopodobniej sprowadził na te tereny w VII w. islam. Z czasem pochowano też tutaj członków rodziny i przyjaciół Timura. Dziś to miejsce pielgrzymek. *Zanim tu wejdziesz, wędrowcze, oczyść swoją głowę z wszelkich doczesnych trosk* – głosi instrukcja. – Chciałabyś zobaczyć miejsce, gdzie narodził się Amir Timur? – pyta mnie Bahodir, właściciel pensjonatu, w którym się zatrzymałam. Znalazłam go, kierując się tabliczką, w labiryncie wąskich uliczek ograniczonych po obu stronach wysokimi murami, w których co jakiś czas pojawiały się drzwi. Wchodzimy nimi na podwórka rozległych wielopokoleniowych domów, wokół których są pokoje, kuchnie, łazienki, a ono samo ocienione drzewami służy latem za miejsce wspólnego biesiadowania i relaksu. Bahodir jest prawnikiem, a jego żona pediatrą, rok temu otworzyli dom dla gości, żeby mieć dodatkowe źródło utrzymania. Prowadzą go wspólnie z mamą i nastoletnimi kuzynami, którzy codziennie rano przynoszą mi pyszne, obfite śniadanie. – Jasne – przystaję na propozycję gospodarza.

Pław, narodowa potrawa Uzbekistanu. To danie z ryżu, mięsa, cebuli, marchwi i kuminu.

GETTY IMAGES (2)

SAMARKANDA–SHAHRISABZ

Uzbekistan położony między potężnymi rzekami Amu-darią i Syr-darią to w przeważającej większości suche, nizinne pustkowie latem rozgrzane do ponad 50 st. C. Uprawia się zaledwie 10 proc. jego powierzchni, a góry są właściwie jedynym urozmaiceniem monotonnego krajobrazu. Pojawiają się nagle, ośnieżone, majestatyczne i piękne. To szczyty masywu Zarafshan. Za przełęczą Takhta Karacha (1650 m n.p.m.), na którą wspinamy się krętą wyboistą drogą, zaczyna się rajska, rozległa zielona dolina rzeki Kaska-daria. Mijamy restauracje, które poza widokiem oferują słynne kebaby tandoor, przygotowywane od czasów starożytnych w specjalnych dołach wykopanych w ziemi. W nich spala się drewno na żar, kładzie na nim pocięte jagnięce mięso, całość przykrywa filcem i zasypuje ziemią. Aromat potrawie nadają spalone gałązki jałowca. Tandoor to

eprasa.pl 9d6ea83e6a

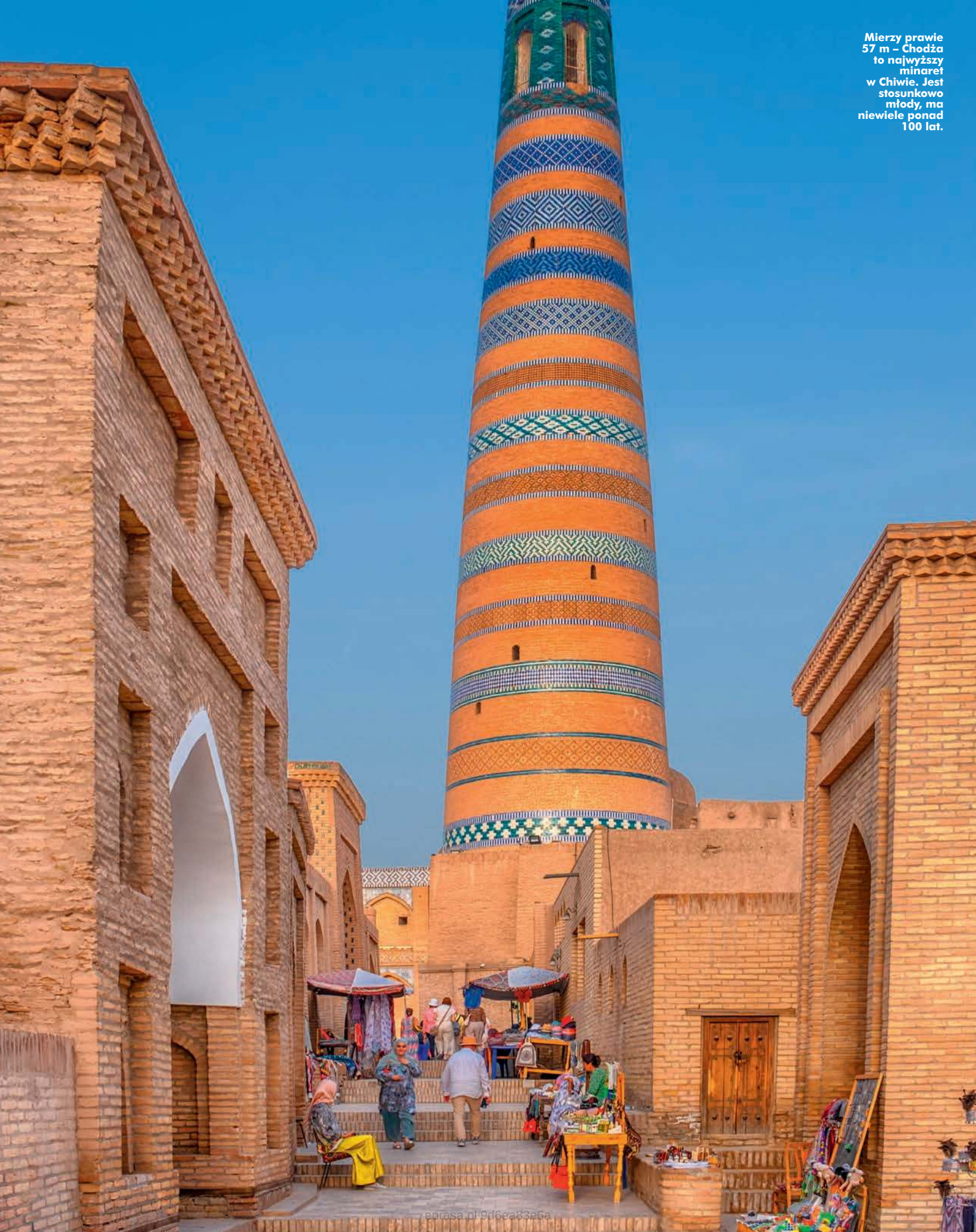

Mierzy prawie 57 m – Chodża to najwyższy minaret w Chiwie. Jest stosunkowo młody, ma niewiele ponad 100 lat.

reprasa.pl 9d6ea83e6a

również gliniane piece, które tutaj są dosłownie wszędzie. Wypieka się w nich tradycyjny płaski, bogato dekorowany chleb, przyklejając go do wewnętrznych ścianek, a ten z terenów Samarkandy ma od wieków opinię najpyszniejszego (potwierdzam!). Położony w centrum doliny, otoczony koroną gór Shahrisabz jest jednym z najstarszych miast w Uzbekistanie. Jego historyczna część wpisana na listę UNESCO została niestety oszpecona. Wyburzono wiekową zabudowę oraz bazary, żeby wznieść tu kompleks hotelowo-sklepowo-restauracyjno-rozrywkowy z myślą o turystach, którzy skuszeni legendą Timura zapragną tak jak ja odwiedzić to miejsce. Wielki wódz, którego imponujący pomnik wyrasta w środku obszernego parku otoczonego przez ten stylizowany na dawną architekturę koszmarek, urodził się tu w 1336 r. Zwiedzam pochodzące z tamtych czasów mniej lub bardziej zrujnowane obiekty. Najwspanialszym z nich był pałac Ak-Saray, rezydencja Timura. Przy jego budowie przez 25 lat pracowało nawet 50 tys. ludzi. Jego rozmach dziś potwierdzają chociażby ocalałe gigantyczne wieże bramne wciąż pokryte misternymi niebieskimi, złotymi i białymi płytkami. Zwano go Białym Pałacem, ponieważ tym kolorem mienił się w świetle księżyca zdążającym tu karawanom. Jest wielce prawdopodobne, że jedną z nich podróżował sam słynny wenecki kupiec Marco Polo. Co ciekawe, Timur nie zdążył nacieszyć się swoją rezydencją – zmarł krótko po jej ukończeniu. Docieram do meczetu Kok-Gumbaz zbudowanego przez Uług Bega na cześć swojego ojca Szahrucha, najmłodszego syna i spadkobiercy Timura. Potem zwiedzam kompleks pamięci Dor-ut Tilovat z grobowcem Shamsiddina Kulala, założyciela sufizmu, duchowego mentora Timura. Wreszcie mauzoleum Dor-us Saodat, które powstało po przedwczesnej śmierci najstarszego z synów władcy, a stało się miejscem pochówku przedstawicieli dynastii Timurydów. Ich imperium z czasem podupadło i coraz większe wpływy miała tu carska Rosja, potem Uzbekistan stał się częścią ZSRR, by odzyskać niepodległość w 1991 r. Kiedy podziwiam wspaniałości minionych epok, przypomina mi się jeden z napisów wyrytych na pałacu Ak-Saray: *Jeśli kwestionujesz naszą władzę – spójrz na nasze budynki!* Timur zatrudniał najlepszych architektów i rzemieślników świata, żeby tworzyli budowle na miarę

Kompleks Ayaz-Kala znajduje się na pustyni Kyzyl-kum w regionie Karakałpacji i jest częścią systemu fortec strzegących niegdyś granic Chorezmu.

jego imperium. Czy nasze dzieła też będą tak zachwycać potomnych?

SAMARKANDA–BUCHARA

Dworzec kolejowy oddalony jest od starego miasta w Bucharze o jakieś 15 km, które pokonuję taksówką. Przy okazji Sardor, kierowca, przewodnik i nowy opiekun, obwozi mnie po okolicznych atrakcjach, obiecując, że kiedy skończę zwiedzanie Buchary, podrzuci mnie jeszcze na nocny pociąg do Chiwy. A to wszystko jedynie za 60 dol. I znów na mojej liście pojawiają się nieplanowane wcześniej miejsca. Jak położone wśród drzew morwowych miasto umarłych, czyli nekropolia Chor-Bakr wzniesiona na miejscu pochówku Abu-Bakr-Saida, jednego z czterech potomków Mahometa. Czy Sitorai-Mokhi-Khosa, co znaczy Pałac jak Gwiazdy i Księżyc. Był letnią rezydencją emira Buchary poświęconą, jak głosi legenda, jego żonie Sitorze. Szczególnie piękne są tu bogato zdobione i niezwykle kolorowe wnętrza, gdzie eksponowana jest kolekcja strojów z epoki oraz zbiór porcelany. A na zewnątrz, pijąc herbatę w przyogrodowej restauracji, można podziwiać pawie, które dumnie prezentują swoje ogony. Arka, potężna średniowieczna twierdza będąca jednocześnie rezydencją emira i jego dworu, to najbardziej rzucający się w oczy zabytek Buchary. Pod jej potężnymi, 20-metrowej wysokości murami dzieciaki urządzają sobie wyścigi rowerowe. W tym porównywalnym pod względem liczby ludności do Polski kraju rocznie rodzi się ok. 1 mln dzieci. I jak twierdzi 27-letni Sardor, ojciec dwóch synów, 55 proc. mieszkańców Uzbekistanu ma mniej niż 30 lat. Warto zwiedzić cytadelę, nie tylko z powodu zgromadzonych tu przedmiotów i uzbrojenia z epoki, ale dla widoku, jaki mamy stąd na Bucharę. Miasto, które między IX a XVI w. było największym ośrodkiem teologii islamskiej, a zwłaszcza sufizmu, na Bliskim Wschodzie. Swego czasu działało tu ponad 100 medres i 300 meczetów, a do tego niezliczone bazary i karawanseraje, jak przystało jednocześnie na jedno z najważniejszych miast na Jedwabnym Szlaku. Wkrótce pochłania mnie gąszcz kremowych uliczek zastawionych straganami z ceramiką, jedwabnymi lub bawełnianymi bajecznie kolorowymi ubraniami dekorowanymi słynnym haftem suzani. Sklepy pełne drogocennych dywanów, misternej biżuterii, wszelkiego rękodzieła. Mijam mężczyzn noszących chapany, pikowane długie płaszcze, oraz kobiety w tunikach, pod które zakładają spodnie. Zatracam się między coraz bardziej imponującymi zabytkami, takimi jak chociażby kompleks Po-i-Kalyan z minaretem Kalyan uznawanym za symbol Buchary. Podobno jego uroda i wysokość – 46,5 m – tak zaimponowała Czyngis-chanowi (poprzednikowi Timura), że był to jedyny obiekt w mieście, którego nie zburzył. Sąsiaduje on ze wspaniałym meczetem Kalyan, główną świątynią Buchary, oraz medresą Mir-i-Arab, gdzie wciąż tak jak 500 lat temu kształcą się przyszli imamowie i mentorzy religijni. Błądząc między kolejnymi placami, restauracjami, hammamami, tajemniczymi zaułkami – docieram do Chor Minor. To brama z czterema wieżami o różnych kształtach i wielkości zwieńczonych niebieskimi kopułami. Podobno reprezentują one cztery różne praktykowane na tych terenach religie: chrześcijaństwo, buddyzm, islam i zaratustryzm. Nie do końca wiadomo, w jakim celu powstała, być może była częścią zniszczonej wcześniej medresy. Tutaj

SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d6ec43eda

Uzbecką ceramikę wyróżniają intensywne kolory od kobaltowego i turkusowego po żółć, brąz i czerwień.

Wiele restauracji w Chiwie zlokalizowanych jest na dachach, co zapewnia gościom spektakularne widoki na stare miasto.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Mauzoleum Shah-i-Zinda w Samarkandzie służyło jako miejsce pochówku dla członków rodziny i dostojników dworu Timura.

SHUTTERSTOCK, GETTYIMAGES (2)

łapię ostatnie promienie zachodzącego słońca, które zaczarowują Bucharę. I znów daję się uwieść jej atmosferze – tym razem wieczornej. Miasto staje się gwarną biesiadownią pod rozgwieżdżonym niebem. Pożegnalną kolację zjadam przy dźwiękach uzbeckiej muzyki w restauracji Lyab-i Hauz. I patrzę, jak kolejni goście tanecznym krokiem zajmują parkiet.

BUCHARA–CHIWA

Po 7 godzinach w pociągu spędzonych na spaniu, kimaniu, podziwianiu z wysokości kuszetki monotonnych pustynnych krajobrazów, rozmowach z współtowarzyszami podróży, ok. 10.30 docieram do Chiwy. Do zabytkowej części miasta mam jakieś 1,5 km, które pokonuję piechotą, marząc o mocnej kawie. Według legendy Chiwa wyrosła wokół studni, którą wykopał jeden z synów Noego Sim. Faktem jest, że pierwsze osady powstały tutaj już w V w p.n.e., a przed podbojem arabskim panującą religią był zaratustryzm, najstarsza monoteistyczna religia świata. I że stała się ona stolicą wysoko rozwiniętego i bogatego państwa Chorezm. Położona jest w oazie, która powstała dzięki przepływającej niedaleko Amu-darii, na wschodzie graniczy z pustynią Kyzył-kum, a na południu z Kara-kum. Zabytkowa część miasta zwana Itchan Kala zamknięta jest 10-metrowym murem, który ma aż 6 km długości, i prowadzą do niej cztery niezwykłej urody bramy. Wśród 55 historycznych pomników są tu 23 medresy, 6 meczetów, hammam i ponad 250 zabytkowych domów z XVIII i XIX w., w których mieszka ok. 300 rodzin. To głównie rzemieślnicy, z których zawsze słynęło to miejsce. Czekając na kawę w jednej z restauracji, rezerwuję sobie pobliski guesthouse z widokiem, o którym pisałam na początku, na dwie noce. Chcę się nacieszyć tym żywym skansenem, po którym spacerowanie jest niczym przeniesienie się w czasie do średniowiecza. Jest tu gwarnie i kolorowo, od zgromadzonych towarów i skumulowanych na małej powierzchni atrakcji aż kręci się w głowie. Jednak wystarczy zboczyć z utartych szlaków i już robi się intymnie, kameralnie. Otaczają mnie cisza i spokój, rozkładam się na tapczanie, rodzaju łoża z wygodnymi poduszkami, baldachimem i stołem pośrodku. Zamawiam ziołową herbatę o cudownym złotym kolorze i przypatruję się ludziom. A potem znów odkrywam kolejne fragmenty Chiwy, nawigując się trzema minaretami, które górują nad resztą zabudowy. Jeden z nich, Kalta Minor, miał mieć aż 70 m wysokości i być najwyższym tego typu obiektem świata. Choć skończyło się na 29 m, i tak stał się symbolem miasta znanym z setek urządzanych tu każdego dnia sesji zdjęciowych.

CHIWA–KARAKAŁPACJA

Drogami, po których jazda przypomina rodeo, tak są dziurawe, jadę z Chiwy do Karakałpacji, autonomicznej republiki Uzbekistanu. Znalazłam kierowcę, który za 40 dol. zgodził się mnie zawieźć do rozsianych po pustyni starożytnych fortów. Mijamy wioski zbudowane z identycznych rozpadających się parterowych domów i kanały rozprowadzające brunatną wodę na pola. Słona ziemia tworzy tutaj pękającą pod stopami skorupę, a wszędzie unosi się pył znad coraz bardziej suchego Jeziora Aralskiego – iście postapokaliptyczny krajobraz. Same fortece miały bronić szlaków karawan i tych terenów przed wrogimi koczowniczymi plemionami. Wzniesiono je na krawędziach pasma górskiego Sultan Uiz Dag w początkach naszej ery i swoje zadanie wypełniały do XIII w., kiedy uległy hordom Czyngis-chana. Po dwóch godzinach docieram do pierwszej z nich, położonej na 100-metrowym wzniesieniu Ayaz-Kali. Właściwie składa się ona z trzech fortec, które powstały między IV a VII w. Z bliska wyglądają jak zamki z piasku spłukane przez ulewę. A jednak przetrwały w tym wrogim pustym krajobrazie tysiące lat. Kolejna forteca – Topraq-Kala – zajmowała aż 17 ha i mieszkało w niej 2,5 tys. ludzi. Miała nawet salę tronową, co sugeruje, że przebywały tu koronowane głowy. Nieodległej Kyzyl-Kali złotych skarbów strzegł zaś wąż demon, choć najprawdopodobniej była pierwszą linią obrony swojej większej poprzedniczki. Zwana Czerwonym Zamkiem została częściowo zrekonstruowana. – Latem będzie tutaj działała restauracja – zapewnia mój kierowca i przewodnik Muzaffar. W drodze powrotnej, którą przecina rozlewająca się warkoczami Amu-daria (jest też granicą Karakałpacji), zdradza mi, że bardzo chciałby zobaczyć Europę. Z kolei ja już nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do Uzbekistanu. Takich miejsc na świecie zostało coraz mniej, a podobno wyjątkowo pięknie jest tu jesienią. ■

eprasa.pl 9d6ea83e6a

TEKST **MICHAŁ GŁOMBIOWSKI**

TADŻYKISTAN

PRZEJAZD ROWEREM PRZEZ SPEKTAKULARNĄ DOLINĘ WACHAN TO DOŚWIADCZENIE, KTÓRE PAMIĘTA SIĘ PRZEZ CAŁE ŻYCIE.

Dolina Wachan w górach Hindukuszu, oddzielająca Tadżykistan od Afganistanu, była niegdyś częścią ważnego szlaku handlowego. Dziś jest świetną trasą rowerową.

Galina nachyla się nad piecem. Jej czerwona chustka znika na moment w czeluściach glinianej przestrzeni i zaraz znów się pojawia. Od temperatury i skłonów głową w dół kobieta robi się rumiana na policzkach. Za każdym ruchem przylepia do wewnętrznych ścian pieca okrągłe bochenki tadżyckiego chleba. Chwilę wcześniej wyrabiała je wraz z matką. Chleby non są płaskie, miękkie i niczym nie różnią się od tych, które wytwarzano tu – w Korytarzu Wachańskim – przed setkami lat. Karmili się nimi zarówno mieszkańcy tej urzekająco pięknej ziemi, jak i handlarze wędrujący Jedwabnym Szlakiem. Wśród nich był Marco Polo, któremu podróż po Pamirze i przez Korytarz Wachański zdała się męczącą, a samo miejsce spowite chłodem. Podejrzewam, że czas spędzony z ciepłym wachańskim chlebem w dłoni mógł być dla niego prawdziwie kojący. Produkcją płaskich chlebów od zawsze zajmowały się tu kobiety. Gdy wiedziony turystycznym entuzjazmem próbuję im pomóc, rozciągając kawałek ciasta w coś, co przypomina rozdeptaną meduzę, wzbudzam salwy serdecznego śmiechu. Bardziej niż moja nieporadność śmieszy je fakt, że próbuję zrobić coś w kuchni, że staram się włączyć do prac domowych. W tadżyckim rozumieniu przestrzeń domowa należy do kobiet. Mężczyźni pracują na jego utrzymanie. A jeżeli pracy nie ma, zdarza im się popaść w zadziwiający stupor, którym próbują zamaskować swoją nagłą nieprzydatność. Raim, mąż Galiny, uśmiecha się i poklepuje mnie po ramieniu, dając znać, że czas na wspólnego papierosa, a nie komiczne popisy przy piecu.

Rolnictwo w Dolinie Wachańskiej jest mało wydajne. Mieszkańcy zajmują się więc przeważnie pasterstwem i hodowlą bydła.

Pochodzące z epok brązu i żelaza rysunki naskalne w Dolinie Wachańskiej są jednymi z najcenniejszych przykładów sztuki prehistorycznej w Azji.

TADŻYCKA ARKA NOEGO

Raim i jego żona zagadnęli mnie w wiosce Darshai, gdy zatrzymałem się, by się napić wody. Jechałem już od kilku dni, kierując się na wschód i zostawiając za sobą Iszkaszim. Szutrowana droga wijąca się wzdłuż rzeki bez oporów poddawała się grubszym oponom roweru. Gospodarze stali przed niskim domem, jakby czekali, aż ktoś się pojawi. Gdy nadjechałem, od razu postanowili, że rozpalą stojący na podwórku piec, by przygotować dla mnie pieczywo. Z entuzjazmem wprawili w ruch cały wielogodzinny proces: wyrabianie ciasta, oczekiwanie na jego rośnięcie, dorzucanie opału. Z krótkiego postoju narodziły się wielogodzinne rozmowy, a w końcu nocleg i kolacja. Nie spieszyłem się. Miłośnicy dwóch kółek zazwyczaj docierają tu, jadąc całym szlakiem Pamir Highway – trasą prowadzącą przez góry sięgające 6 tys. m. Ja jednak zdecydowałem się na przebycie samego Korytarza Wachańskiego, odcinka o względnie niewielkich różnicach wysokości. Nie zależało mi na biciu rekordów dystansu ani wyczynowych osiągach. Chciałem wtopić się w krajobraz, jadąc powoli, zatrzymując się – jeżeli przyjdzie mi na to ochota – nawet na kilka dni, tam gdzie coś mnie zainteresuje. I tak wjechałem w krainę głębokiej zieleni karmiącej się wilgocią rzeki i lodowcowymi potokami spływającymi na wiosnę z gór. W ślimaczym tempie mijałem gliniane i kamienne domy skryte pomiędzy jasnymi pniami osik, ośnieżone szczyty po afgańskiej stronie doliny, osiołki wiozące na grzbietach swoich właścicieli, mężczyzn przytłoczonych pakunkami siana przenoszonymi z pól do obejść. Sunąłem po żwirowanej drodze, mając wrażenie, że znalazłem

Leżąca na wysokości 2800 m n.p.m. wieś Vrang to niegdysiejsza (IV–VII w.) enklawa buddyjska w Pamirze.

SHUTTERSTOCK (3), ADOBE STOCK, POPRZEDNIE STRONY: ADOBE STOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Tradycyjne tadżyckie placki non do dziś powstają tak jak przed setkami lat.

Wciśnięty pomiędzy Tadżykistan, Afganistan, Pakistan i Chiny Korytarz Wachański liczy sobie ok. 350 km. Niegdyś przebiegał tędy ważny szlak handlowy.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

W 1271 r. przez Dolinę Wachańską podróżował Marco Polo. Uznał ją za niezwykle piękną, ale samą wyprawę zapamiętał jako wymagającą i męczącą. Dziś jest tylko trochę łatwiej.

się na pokładzie biologicznej arki, otoczony górami wibrującymi od śpiewu ptaków, skrywającymi lamparty śnieżne i przeskakujące pomiędzy skałami, jakby grawitacja ich nie dotyczyła, koziorożce.

WYPIJ ZE MNĄ HERBATĘ

Korytarza Wachańskiego nie sposób przebyć bez ciągłego zatrzymywania się. To kraina niewyczerpującej się gościnności. Co kilka kilometrów porywają mnie napotkani ludzie. Parzą dla mnie herbatę, pieką chleby, podsuwają konfitury z owoców z własnych sadów. Czasem napełniają szklaneczki mocnym alkoholem. Dopytują się, czy mam gdzie spać, gotowi zwolnić swoje łóżko lub chociaż kawałek podłogi, na której można rozłożyć koc lub materac. Jestem w najbardziej odległym zakątku Azji Środkowej, miejscu, o którym świat powoli dopiero sobie przypomina.

Ta dolina jest pasem ziemi wtulonym pomiędzy góry Hindukuszu i Pamiru. Przecięta szerokim nurtem rzeki Pandż, która skleja Tadżykistan z Afganistanem. Dzisiejszy Korytarz Wachański powstał za pomocą kilku ruchów nakreślonych na mapach rozłożonych na stołach. Jest politycznym tworem ukształtowanym pod koniec XIX w., gdy rywalizujące ze sobą mocarstwa brytyjskie i rosyjskie walczyły o panowanie nad Azją Środkową. Wbijający się niczym palec między dwa kraje wąski korytarz stał się strefą buforową oddzielającą rosyjski Turkiestan na północy od brytyjskich Indii na południu. Dolina ma ok. 350 km długości, a miejscami zaledwie kilkanaście szerokości.

STUPA NIE STUPA

Na trasie co jakiś czas wyprzedzają mnie rozpędzone wiekowe łady wiozące ściśniętych pasażerów. Żyjąc tu, nie możesz liczyć na transport publiczny. Jeżeli nie masz własnego auta, pozostaje ci podwózka. Te nieoficjalne taksówki uginają się od pakunków wrzuconych na dach i wciśniętych do bagażnika. Kierowcy trąbią na mnie wesoło, w pozdrowieniu, a wzbudzony pył z drogi przylepia się do mojej wilgotnej skóry. W miejscowości Vrang natrafiłem na sprzedawców rubinów. Większość z nich nie ma dziesięciu lat. Miętoszą w rękach swoje skarby, patrząc na przyjeżdżających samochodami turystów z minami wytrawnych handlarzy. Mój rower zbija ich z pantałyku. Czy Europejczyk poruszający się na dwóch kółkach – zamiast terenowym autem – przyjechał tu na zakupy i czy ma wystarczająco dużo pieniędzy, by warto było poświęcać mu czas? Drogocenne kamienie lśnią w słońcu nie mniej od poliestrowych marynarek tych

SHUTTERSTOCK, ADOBESTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Krajobraz Doliny Wachańskiej w okolicach słynnej drogi M41 (nazywanej Pamir Highway) to często tereny całkiem dziewicze.

dzieciaków. Rozprostowują dłonie, na których leżą zmętniałe czerwone kamienie. Być może to rubiny. W dolinie ich nie brakuje. A może jednak to półszlachetne kruszce zwane spinelem. Rozpoznać potrafią je jedynie wytrawni geodeci. – Rubiny, rubiny – młodzi sprzedawcy ignorują wszelkie wątpliwości. Wiedzą, że prędzej czy później ludzie z Zachodu kupią te krwiste kawałki skał za równowartość kilkuset złotych, która jest tu majątkiem. Rubiny, spinele? W tym odległym od świata zakątku niczego nie można być pewnym. Nawet ułożona z kamiennych platform schodkowa buddyjska stupa, dla której przyjeżdżają tu turyści, być może nie jest stupą. Prawdopodobnie powstała w IV w., co czyniłoby ją jednym z najstarszych miejsc obrzędowych w Azji Środkowej. – Myślę, że to stupa – mówi mi nauczyciel z tutejszej szkoły. – Ale niektórzy uważają, że to miejsce było Świątynią Ognia zaratustrian, wyznawców religii wywodzącej się ze starożytnego Iranu. Podobne budynki odnaleziono na Bliskim Wschodzie. Korytarz Wachański przez wieki był pasem transportowym, po którym przemieszczali się ludzie, niosąc nie tylko towary, ale też własną kulturę, wierzenia i obrzędy. Pojawiali się tu animiści i zaratustrianie. Buddyjscy mnisi nadeszli z Chin w VI lub VII w. Ponoć przynieśli ze sobą kamień, który leży na szczycie pięciowarstwowej piramidy. Jest na nim odbity ślad stopy Buddy.

RYSIKIEM PO SKALE

W Langarze z mozołem wspinam się po skałach. Mój przewodnik – dziesięcioletni syn właściciela domu, w którym znalazłem nocleg – wybiega w przód, przeskakując pomiędzy kamieniami niczym kozica. Czeka na mnie, wyrzucając z siebie głośno rosyjskie zdania. Idziemy zobaczyć obrazy sprzed tysięcy lat. Na płaskim twardym kwarcycie ludzie ryli sylwetki koziorożców, myśliwych, jeźdźców na koniach, dzikich owiec o zakrzywionych rogach. Najstarsze z tych petroglifów pamiętają epokę brązu. Razem jest ich tu ponad 6 tys. Mające po kilka tysięcy lat piktogramy zestawione są ze zdaniami kreślonymi w cyrylicy i pieczołowicie oznaczanymi datami – lata 60., 70. 80. ubiegłego wieku. Przez chwilę złorzeczę w myślach na niefrasobliwych współczesnych grafficiarzy, którzy niszczą bezcenne historyczne świadectwo. Nagle uświadamiam sobie jednak, że te współczesne piktogramy są po prostu częścią cyklu, kontynuacją tradycji rozpoczętej tysiące lat temu. Dowodem, że mamy więcej wspólnego z przodkami, niż nam się wydaje. Śladem, że nasza ludzka historia wciąż ma się dobrze. ■

eprasa.pl 9d6ea83e6a

TURKMENISTAN
ASZCHABAD, DERWEZE

Monumentalny meczet Gypjak w Aszchabadzie miał być dowodem potęgi Turkmenbaszy, czyli pierwszego prezydenta kraju Saparmurada Nijazowa.

eprasa.pl 9d6ea885c8

TEKST **JAKUB RYBICKI**

TURKMENISTAN

TEN KRAJ RZĄDZI SIĘ SWOIMI PRAWAMI, NIE ZWAŻAJĄC NA RESZTĘ ŚWIATA. OD CZASU, KIEDY STAŁ SIĘ NIEPODLEGŁY, NIC TU NIE JEST PEWNE ANI OCZYWISTE.

Spacerując po pustych ulicach Aszchabadu, czuję się jak na planie filmu science fiction; nie bardzo tylko wiadomo o czym. Od liczby złotych pomników kręci się w głowie, niektóre z nich zresztą też miały w zwyczaju się kręcić. Na lśniących czystością ulicach armia policjantów stale pilnuje, by turyści nie robili zdjęć budynkom rządowym, pałacowi prezydenckiemu i innym, losowo wybranym obiektom. W niebo strzelają wieże mieszczące muzea oraz monumenty kultury i historii narodu turkmeńskiego, ale do żadnego z nich nie udaje mi się dostać. Pod marmurowe i klimatyzowane przystanki podjeżdżają autobusy, które pamiętają końcówkę ZSRR. Witajcie w jądrze dziwności!

SURREALISTYCZNE JEZIORO

To socjalistyczne miasto zbudowano na pustyni u podnóża gór Kopet-Dag. Nowe bloki mieszkalne mają wysokość kilkunastu pięter i wszystkie bez wyjątku są obłożone białym marmurem. W nocy cały Aszchabad jest podświetlony różnokolorowymi światłami, co nasuwa nieuchronne skojarzenia z Las Vegas, zwłaszcza że również jesteśmy na pustyni. Temperatury zdarzają się tu iście zabójcze, powyżej 40°C, dlatego nie dziwią intensywne próby zalesienia okolic metropolii. Źródła rządowe podają, że na zboczach gór pod miastem co roku sadzi się 3 mln drzew. Na razie ich przyszłość wydaje się niepewna, a widok młodych drzewek na pustyni dość surrealistyczny. Ale w tym kraju żaden projekt nie jest zbyt śmiały. Na północy Turkmenistanu, na środku pustyni, od ponad dekady powstaje ogromne Jezioro Złotego Wieku, które ma zmienić ten kawałek Azji. Nikogo tu nie zniechęca to, że eksperci biją na alarm, strasząc wielką katastrofą ekologiczną. Tymczasem spacer po stolicy Turkmenii jest dość karkołomnym wyzwaniem. Między pałacami rozciągają się ogromne puste przestrzenie, które w przyszłości zapewne będzie można nazwać parkami. Na razie jednak są to raczej plantacje karłowatych drzew, pośród których próżno szukać cienia. Można wypatrzeć za to ludzi, choć nie są to przypadkowi przechodnie ani tym bardziej turyści. Miejskiej zieleni dogląda armia ogrodników ubranych niczym „ludzie pustyni" z *Gwiezdnych wojen,* z twarzami szczelnie zasłoniętymi chustami.

WROTA PIEKIEŁ

Powiedzieć, że krajobraz Turkmenistanu jest monotonny, to nic nie powiedzieć. Niemal 80 proc. powierzchni kraju zajmuje pustynia Kara-kum, co oznacza „czarny piasek". Piasek jest wprawdzie koloru piaskowego, ewentualnie szarego, ale nikt przecież nie będzie się tu błąkać w poszukiwaniu uzasadnienia dla tej nazwy. Na szczęście męcząco jednostajny, płaski krajobraz jest urozmaicony atrakcją. To dziura w ziemi wielkości boiska piłkarskiego zwana Derweze, czyli Wrotami. Wrotami Piekieł. Od wszystkich innych dziur różni się tym, że od niemal pół wieku nieprzerwanie płonie żywym ogniem. Tragedia Turkmenistanu polega na tym, że jest to kraj niewyobrażalnie bogaty w złoża gazu ziemnego, mieszcząc aż ¼ światowych zapasów tego surowca. Na jego eksporcie opiera się cała jego gospodarka, a gazodolary utrzymują totalitarny reżim. Prezydenci niepodległego Turkmenistanu mogli realizować swoje najbardziej szalone pomysły, póki zapewniali obywatelom stabilność i przyzwoite warunki socjalne. Za darmo były opieka medyczna i szkoły, ale również gaz, prąd, a przez jakiś czas nawet benzyna. W końcu oficjalnie zadeklarowano, że Turkmenia przeżywa właśnie swój złoty wiek. Tak przynajmniej było do niedawna. Pierwszemu poznanemu miejscowemu opowiedziałem zasłyszany dowcip: – Dlaczego Turkmeni nigdy nie wyłączają gazu w kuchni? Żeby oszczędzać na zapałkach. – Nowy znajomy popatrzył na mnie poważnie: – To nie jest dowcip. – Były już prezydent Gurbanguly Berdimuhamedow pozbawił jednak obywateli ich podstawowego prawa – dostępu do darmowego gazu, co

GETTYIMAGES (2), SHUTTERSTOCK (2), POPRZEDNIE STRONY GETTYIMAGES

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Park Niepodległości to jeden z największych i najbardziej reprezentacyjnych terenów zielonych w Aszchabadzie.

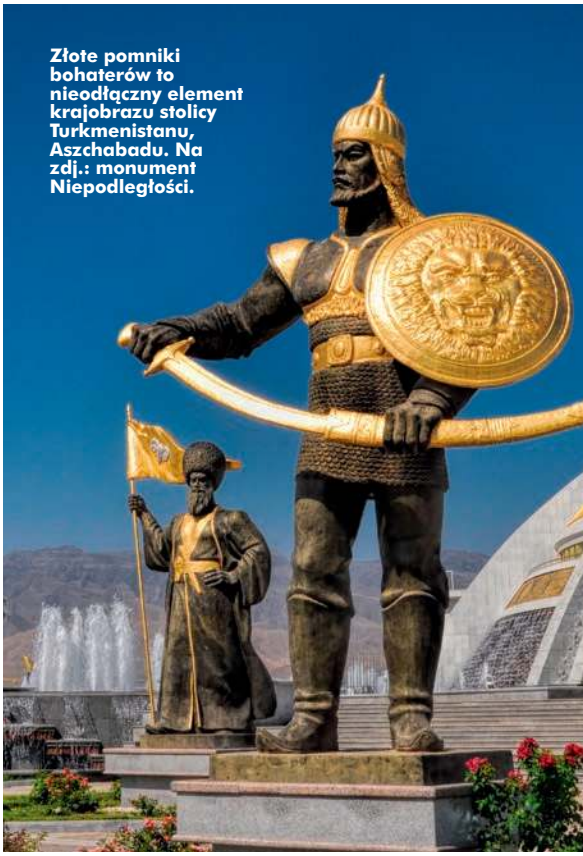

Złote pomniki bohaterów to nieodłączny element krajobrazu stolicy Turkmenistanu, Aszchabadu. Na zdj.: monument Niepodległości.

Rosyjski Bazar w Aszchabadzie. Kupić można tu najlepsze mięso, przyprawy i artykuły gospodarstwa domowego.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

TURKMENISTAN
ASZCHABAD, DERWEZE

Derweze nie bez przyczyny zwana jest Wrotami Piekieł. Z wielkiej dziury w ziemi nieustannie bucha ogień.

ADOBE STOCK

zaowocowało cichymi pomrukami oburzenia. Głośno protestować nie można, bo marmurowe ściany mają uszy. Na szczęście w pustynnej jurcie ściany są ze skóry i drewna, dlatego jej gospodarz nie boi się mówić z nami otwarcie. To jedyna konstrukcja, w której można się schronić przed lejącym się z nieba żarem, a Turkmeni przyzwyczaili się już, że żądni przygód turyści zatrzymują się u nich na dzień. Gospodarz opowiada, że kiedyś była tu wioska, ale odwiedził ją pierwszy prezydent i mu się nie spodobała, więc kazano ją zrównać z ziemią.

OJCIEC TURKMENÓW

Prezydent może wiele, ale ugasić dziury nie może, choć podobno nawet by chciał. Płonący krater jest efektem działalności radzieckich naukowców, którzy na początku lat 70. prowadzili tu odwierty. Chcąc dostać się do zasobów głębinowych, podpalili złoże powierzchniowe, skąd ulatniał się gaz. Miał wypalić się w ciągu kilku tygodni, a płonie do dziś, uparcie nie chcąc dać się zamknąć w ciasnym gazociągu i przyczyniać do wzrostu dobrobytu Turkmenii. W nocy temperatura spada na tyle, że można się wreszcie wybrać na spacer w okolice piekielnych wrót. Na krawędzi krateru jest straszliwie gorąco, co nie powstrzymuje nikogo przed spojrzeniem w głąb. Bez trudu można sobie wyobrazić, że tak właśnie może wyglądać miejsce, do którego trafiają potępione dusze. Od razu przechodzi ochota na grzeszenie. Trudno powiedzieć, czy taka sama refleksja nachodzi odwiedzających Derweze Turkmenów, bo pojęcie grzechu jest w tym kraju dość pojemne. Zdefiniował je pierwszy prezydent – Saparmurad Nijazow, znany jako Turkmenbasza, czyli „ojciec wszystkich Turkmenów". Otóż na starość objawił mu się Allach, osobiście dyktując tekst Ruhnamy – świętej księgi narodu Turkmenów. Została ona wydana w 2001 r. i od tego czasu stała się głównym motywem turkmeńskiego szaleństwa. zaraz potem Nijazow został ogłoszony

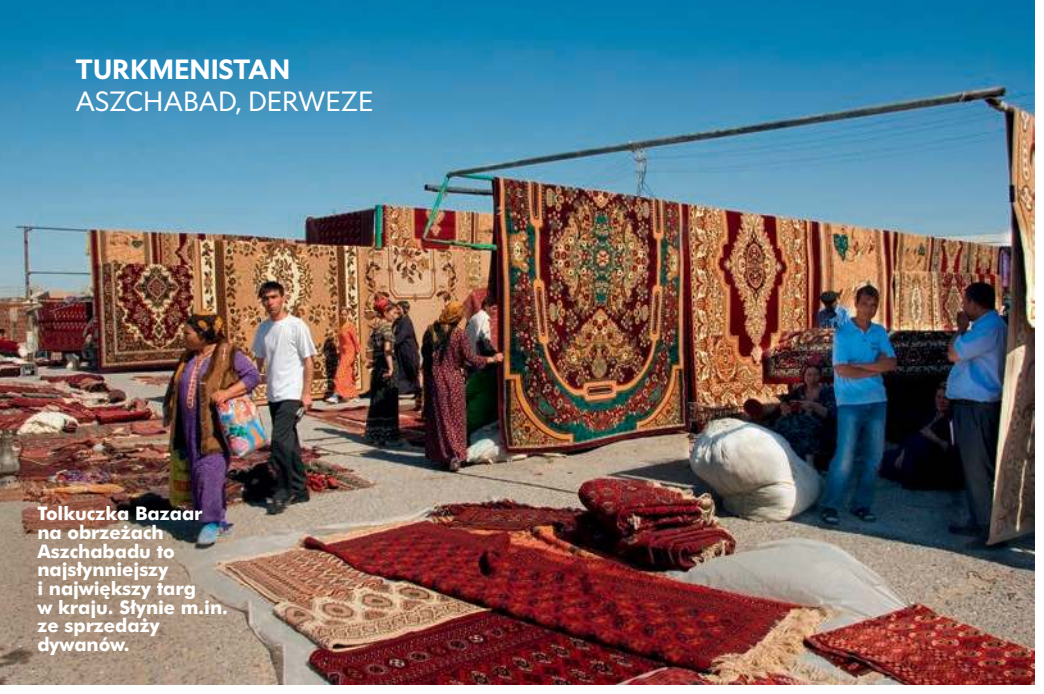

Tołkuczka Bazaar na obrzeżach Aszchabadu to najsłynniejszy i największy targ w kraju. Słynie m.in. ze sprzedaży dywanów.

prorokiem i żywym symbolem Turkmenistanu, w uznaniu jej niezwykłej wartości literackiej otrzymał też tytuł wielkiego pisarza. Ruhnama szybko stała się podstawowym podręcznikiem w szkołach i na uniwersytetach, a także narzędziem promocji kraju. Urzędnicy państwowi mieli obowiązek przynajmniej raz w tygodniu dyskutować przez godzinę o mądrościach wodza, raz w roku byli egzaminowani z jej treści. Jako że Ruhnama jest drogowskazem we wszystkich dziedzinach życia, to nawet na kursach prawa jazdy kilkanaście godzin było poświęcone na lekcje z Księgi Ducha. Nijazow osobiście poprosił Allacha, aby ten przyjął do siebie najgorliwszych czytelników, więc ten, kto przeczyta trzykrotnie Ruhnamę, ma zagwarantowane miejsce w raju. A to tylko wierzchołek góry absurdów, na jaką wspinał się Turkmenistan na początku XXI w.

SPRZYJAJĄCA ŚRODA I DZIEŃ ARBUZA

Lista zakazów i nakazów wprowadzonych przez Turkmenbaszę była długa i tak niewiarygodna, że trudno ocenić, które z nich były prawdziwe, a które nie. Pewnym jest, że zostały zamknięte opera i balet (nie mają nic wspólnego z turkmeńskim dziedzictwem, a poza tym Turkmenbasza ich nie rozumiał), zakazano działalności cyrków i puszczania muzyki z playbacku w miejscach publicznych, a także noszenia długich włosów i brody. Nie wolno było też mieć więcej niż jednego kota ani wstawiać jakże lubianych w centralnej Azji złotych zębów. Całe złoto kraju miało być prawdopodobnie przeznaczone na pomniki wodza. Gdy w 1997 r. Turkmenbasza rzucił palenie, razem z nim musieli uczynić to wszyscy ministrowie, a w całym kraju zabroniono palić w miejscach publicznych. Następnie zamknięto wszystkie szpitale poza Centralnym, zamieniając je w centra diagnostyczne. Ponieważ wódz lubił arbuzy, jego imię nosi teraz jedna z odmian tego owocu, a Turkmenia dostała nowe radosne święto – Dzień Arbuza. W 2002 r. ustanowiono nowy kalendarz. Miesiące i dni tygodnia zyskały piękniejsze określenia. I tak, styczeń stał się Turkmenbaszą, luty – flagą, kwiecień – Gurbansułtan (mama Turkmenbaszy) itd. Wtorek został „młodym dniem", środa – „sprzyjającym dniem", czwartek – „błogosławionym dniem". Wydawało się, że gdy po śmierci Turkmenbaszy w 2006 r. na tron wstąpił jego były dentysta, Gurbanguly Berdimuhamedow – nazywany Arkadagiem (Dobrodziejem), rzeczy wrócą do normy. I rzeczywiście, większość absurdalnych przepisów wycofano, przywrócono kalendarz gregoriański. Ale państwo pozostało dyktaturą, tyle że z nowym przywódcą. Berdimuhamedow nie usunął wszechobecnych złotych posągów poprzednika – w samym Aszchabadzie jest ich kilkadziesiąt – ale pomału dorzuca do nich swoje własne, na przykład 20-metrowy pomnik na koniu, pokryty szczerym złotem. To wciąż nie ta skala co 75-metrowa Arka Neutralności zwieńczona 12-metrowym pomnikiem Turkmenbaszy, który obracał się tak, by jego twarz była ciągle zwrócona ku słońcu, ale zawsze. W ramach ograniczania kultu jednostki monument przeniesiono ze ścisłego centrum na przedmieścia, a złoty eksprezydent przestał się obracać. Podobno z góry roztacza się piękny widok, ale nie sprawdziliśmy – akurat było zamknięte. Nie weszliśmy też do muzeum historii Turkmenii ani do galerii sztuki – dni i godziny ich otwarcia rządzą się trudnymi do zrozumienia prawami. Były już prezydent (w 2022 r. formalnie na stanowisku zastąpił go syn, Serdar Berdimuhamedow) jest pełen wigoru i ma wiele zainteresowań. Oprócz jazdy konno ściga się samochodami, strzela na poligonach, lata helikopterami, a w wolnych chwilach rapuje z wnukiem. Wprowadził również sporo nowych zakazów. Gdy Arabia Saudyjska zezwoliła kobietom na prowadzenie samochodów, Turkmenistan od razu wymyślił i wcielił w życie przepis dokładnie odwrotny. Mało tego, kierowane przez mężczyzn auta muszą być białe. Aszchabad to w końcu białe miasto, logiczne więc, że jeżdżące po szerokich arteriach pojazdy też powinny być tego koloru. Mają być również czyste, podobnie jak ulice, po których codziennie mkną zastępy śmieciarek i chodzą zastępy sprzątaczek oraz ogrodników. Pod mądrymi rządami kraj pewnie zmierza w stronę dobrobytu. Nikt mający szczęście tu mieszkać nie ośmieli się temu zaprzeczyć. ■

SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Tradycyjny kobiecy strój w Turkmenistanie to głównie köýnek, długa do kostek suknia z szerokimi rękawami. Na głowę zakłada się kolorową chustę z jedwabiu lub bawełny. Do tego obowiązkowo biżuteria.

OMAN
BAHLA, NIZWA, MASKAT

Wioska Wakan zachwyca tarasowymi ogrodami sięgającymi niemal po same chmury, z widokiem na monumentalne góry i doliny.

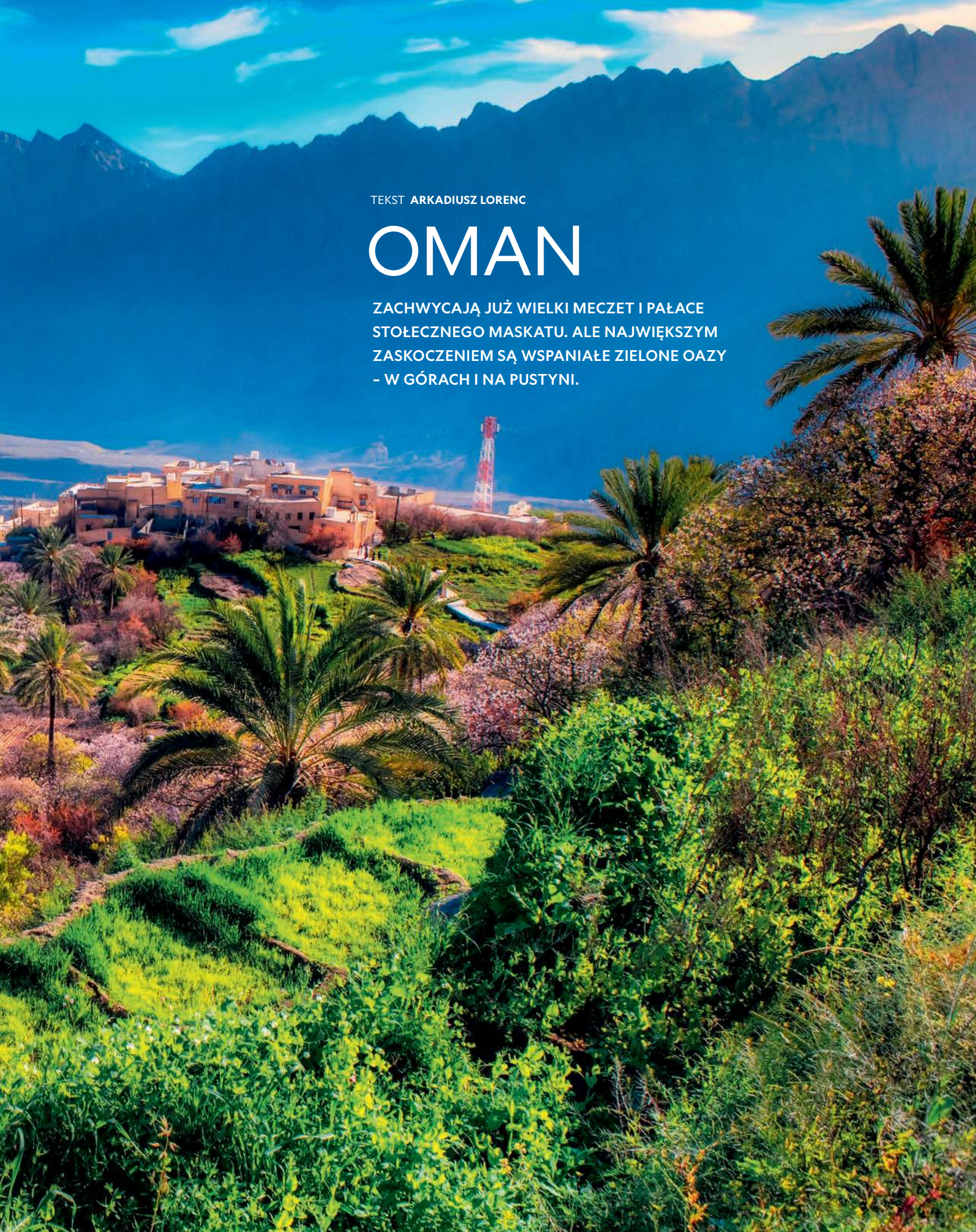

TEKST **ARKADIUSZ LORENC**

OMAN

ZACHWYCAJĄ JUŻ WIELKI MECZET I PAŁACE STOŁECZNEGO MASKATU. ALE NAJWIĘKSZYM ZASKOCZENIEM SĄ WSPANIAŁE ZIELONE OAZY – W GÓRACH I NA PUSTYNI.

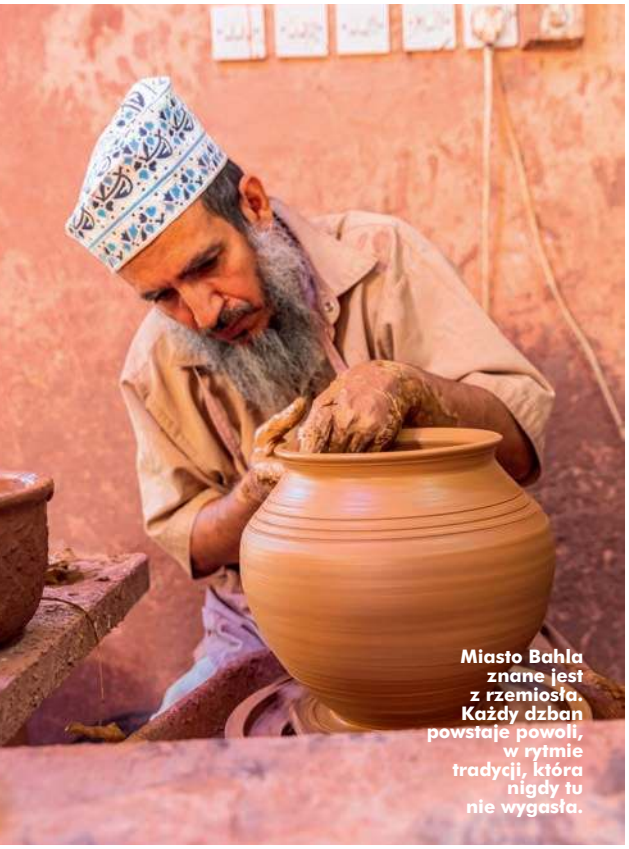

Miasto Bahla znane jest z rzemiosła. Każdy dzban powstaje powoli, w rytmie tradycji, która nigdy tu nie wygasła.

Chłopcy w tradycyjnych strojach na starym suku w mieście Bahla.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Wielki Meczet Sułtana Kabusa w Maskacie to najważniejszy budynek sakralny w kraju.

Zapach kadzidła prowadzi nas wąskimi uliczkami suku. Targ właśnie poszedł spać. Jest środek dnia i w Bahli, w północnym Omanie, temperatura sięga 30 st., mimo że to połowa lutego. Zbyt gorąco, by handlować, sklepy i stoiska są więc zamknięte, suk zamiera na kilka godzin. I tylko ta mirra delikatnie drażni nos, wonny dym prowadzi w głąb i dalej, dalej. Siadamy w końcu w malutkiej kawiarni, żeby napić się aromatycznej kawy po omańsku, czyli z kardamonem, nazywanej tu swojsko kahwą. Jej historia sięga czasów wielbłądzich karawan transportujących towary przez pustynię. Wtedy kahwa była dobrem raczej luksusowym, podawano ją wyłącznie przy specjalnych okazjach i w niewielkich ilościach, często w towarzystwie wyjątkowo słodkich w Omanie daktyli, które łagodzą lekko cierpki smak napoju. Nie inaczej jest zresztą i dziś, tyle tylko, że kahwę pija się powszechnie. Zdarza się, że sprzedawcy częstują nią na suku – w małych naczyniach. W ten sposób kontynuują niejako tradycję serwowania napoju przyjezdnym. Wizyta gości zawsze uchodziła bowiem za wydarzenie. Odpoczynek w środku dnia to coś, na co czekaliśmy. Daje wytchnienie i energię. Wyszliśmy właśnie z największego fortu obronnego w Sułtanacie Omanu, który stoi w Bahli od średniowiecza, choć archeolodzy ustalili, że pierwsza osada w tym miejscu była jeszcze w czasach sprzed ery islamu. Fortów w Omanie było kilkaset, głównie w północnej części kraju. Budowano je w strategicznych miejscach, na ogół na wzniesieniach. Miały chronić porty czy miejscowości położone na szlakach handlowych, którymi transportowano mirrę, kadzidło i inne cenne towary. W forcie w Bahli znajdowały się części mieszkalne (jedna sięga najpewniej 1000 r. n.e.), religijne (dwa meczety), a także baraki dla żołnierzy czy stajnie dla koni, wielbłądów i osłów. Całość otoczona była wysokim murem z ośmioma wieżami. Kto chciał podbić fort, nie mógł liczyć na łatwy i szybki sukces: w wieżach znajdują się otwory skierowane w dół – przeznaczone dla strzelców. Oprócz tego przewidziano też inne, którymi wprost na nacierających przeciwników wylewano gorący olej, melasę lub wodę. Co tu dużo mówić: wrogów czekało tu naprawdę gorące powitanie.

WYJĄTKOWY SUŁTAN

Wzniesiona na planie trójkąta w większości z glinianych cegieł budowla jeszcze całkiem niedawno była w zupełnej ruinie. Podobnie zresztą jak inne zabytki Omanu, choćby fort w Nizwie położonej ok. 50 km od Bahli. Ten ostatni słynie z wysokiej na 40 m wieży i uznawany jest za najważniejszy zabytek sułtanatu. Radykalną zmianę w podejściu do tych budowli – ale też zmianę w wielu innych dziedzinach życia – przyniósł rok 1970, w którym to władzę w wyniku zamachu stanu przejął po swoim ojcu sułtan Kabus ibn Sa'id. Jakiś czas po wstąpieniu na tron postanowił on przywrócić świetność wybranym zabytkom. Ruszył zaplanowany na długie lata program remontów, renowacji i konserwacji. Od tego czasu zmieniło się tu właściwie wszystko i Oman pamięta o tym do dziś. Imię władcy, który rządził przez bez mała pół wieku, aż do śmierci w 2020 r., spotkać można w tym kraju na każdym kroku. W podróży nie raz jesteśmy zaskakiwani tym, jak bardzo udało się Kabusowi ibn Sa'idowi rozwinąć i scyfryzować Oman. Poruszamy się po kraju wynajętym samochodem i kiedy chcemy w Maskacie zapłacić za parking miejski, mamy pewien

W Omanie panuje monarchia dziedziczna. Nie ma parlamentu ani partii politycznych. Obowiązuje muzułmańskie prawo szariatu.

Bliski Wschód na talerzu: chrupiące samosy, świeże warzywa, raita (sos jogurtowy), aromatyczne chutneye i chaat (miks ziemniaków, cieciorki, cebuli, przypraw, jogurtu).

SHUTTERSTOCK (4); POPRZEDNIE STRONY: SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Nomadka z pustyni Wahiba Sands w masce burqa typowej dla kobiet z Omanu. Chroni przed słońcem i piaskiem, a jednocześnie jest elementem tradycji i skromności.

problem: nigdzie nie ma parkometru, a płatności dokonać można jedynie za pomocą SMS-a. Problem w tym, że kupiliśmy tylko lokalną kartę z internetem, bez możliwości wysyłania płatnych wiadomości. Pomocni okazują się policjanci, którzy opłacają parking za nas i nie przyjmują nic w zamian. Co zresztą bardzo nas nie dziwi: niewymuszona gościnność i uprzejmość są tutaj na porządku dziennym. Podobnie jak brak znanej nam z innych krajów arabskich nachalności sprzedawców czy pracowników turystyki. Ale przecież nie tylko za zasługi na polu cyfryzacji rodacy chwalą dziś swojego wielkiego władcę. Gdy sułtan przejmował władzę, w całym Omanie było zaledwie 10 km asfaltowych dróg. Do tego ledwie trzy szkoły i wszechobecny analfabetyzm. A także niewolnictwo, które władca zdelegalizował pięć lat po wstąpieniu na tron. Brakowało też jakichkolwiek swobód obywatelskich: wyjazd z kraju był możliwy wyłącznie za zgodą sułtana, nie można było nosić okularów przeciwsłonecznych ani prowadzić rozmów telefonicznych dłuższych niż kwadrans. Kabus Ibn Sa'id wybudował drogi, wprowadził powszechną edukację, rozwinął sieć telekomunikacyjną. Zapewnił łatwiejszy dostęp do opieki zdrowotnej, przy okazji stawiając wiele szpitali. Ufundował też w stolicy Wielki Meczet. Jego budowę rozpoczęto w 1994 r. i ukończono po prawie siedmiu latach. Żeby wznieść świątynię, trzeba było przywieźć z Indii ok. 300 tys. ton piaskowca. Dziś jest ona w stanie pomieścić 20 tys. wiernych i robi olbrzymie wrażenie. Gdy jesteśmy w Maskacie i zbliżamy się do meczetu, naszym oczom ukazują się przede wszystkim minarety – najwyższy ma 90 m wysokości, pozostałe są o połowę niższe. Wchodzimy ubrani w koszule z długim rękawem i spodnie zakrywające kolana. Mijamy misternie wystrzyżone, soczystozielone krzewy, wypielęgnowane rabaty kwiatowe. Idziemy alejką poprzez trawnik tak równy i zielony, że wprost nierealny. Wkraczamy w końcu na błyszczącą, wypolerowaną piaskową posadzkę. Ściany Wielkiego Meczetu i jego kopuła wyrastają przed nami nagle. Ściągamy buty, wchodzimy do środka. I znowu dajemy się zaskoczyć – tym razem żyrandolem. Wykonany został we Włoszech z 600 tys. kryształów Swarovskiego. Możemy je oglądać na metalowej konstrukcji pokrytej 24-karatowym złotem. Swego czasu był to największy żyrandol na świecie. Przepych widać w Maskacie nie tylko tutaj. Swoim pięknem, wyrzeźbionym w drewnie i kamieniu, przytłacza np. wnętrze Królewskiego Teatru Operowego. Zarówno foyer, jak i sala koncertowa mieszcząca ponad tysiąc gości są otwarte i można je zwiedzać. Niemal na każdym kroku architektoniczny rozmach stolicy Omanu zaskakuje i oszałamia. Przekonujemy się o tym, spacerując po okolicy określanej w przewodnikach jako Stary Maskat. To tam znajduje się pałac Al-Alam, w którym odbywają się ważne uroczystości z udziałem sułtana. Uwagę przyciągają przede wszystkim cztery potężne złote i niebieskie kolumny na froncie zwężające się ku dołowi na kształt trąb powietrznych. Na nich spoczywa prosty już w formie dach tej dziwnej, lecz pięknej budowli.

KONSERWATYWNA OAZA

Kurz. Wszędzie kurz. Pył pustyni unosi się w powietrzu i przyćmiewa horyzont. Porusza się na wietrze, w miastach miesza z dymem kadzideł. Wygląda jak mgła, czasem nawet się zastanawiamy, czy to chmura zasnuła góry, na które patrzymy, czy to pył? Ale Oman to nie tylko piach i pustynia. Oman to też woda; może nawet przede wszystkim woda, choć brzmi to niedorzecznie, gdy pomyśleć, że mówimy o kraju położonym na Półwyspie Arabskim. Tyle że bez wody

SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Między wysokimi ścianami wąwozu Wadi asz-Szabb płyną szmaragdowe wody, tworząc naturalne baseny ukryte wśród oazowej zieleni.

Tradycyjny strój osmański składa się z bogato tkanego pasa, eleganckiej tuniki – dishdaszy, i błyszczącego handżaru – sztyletu.

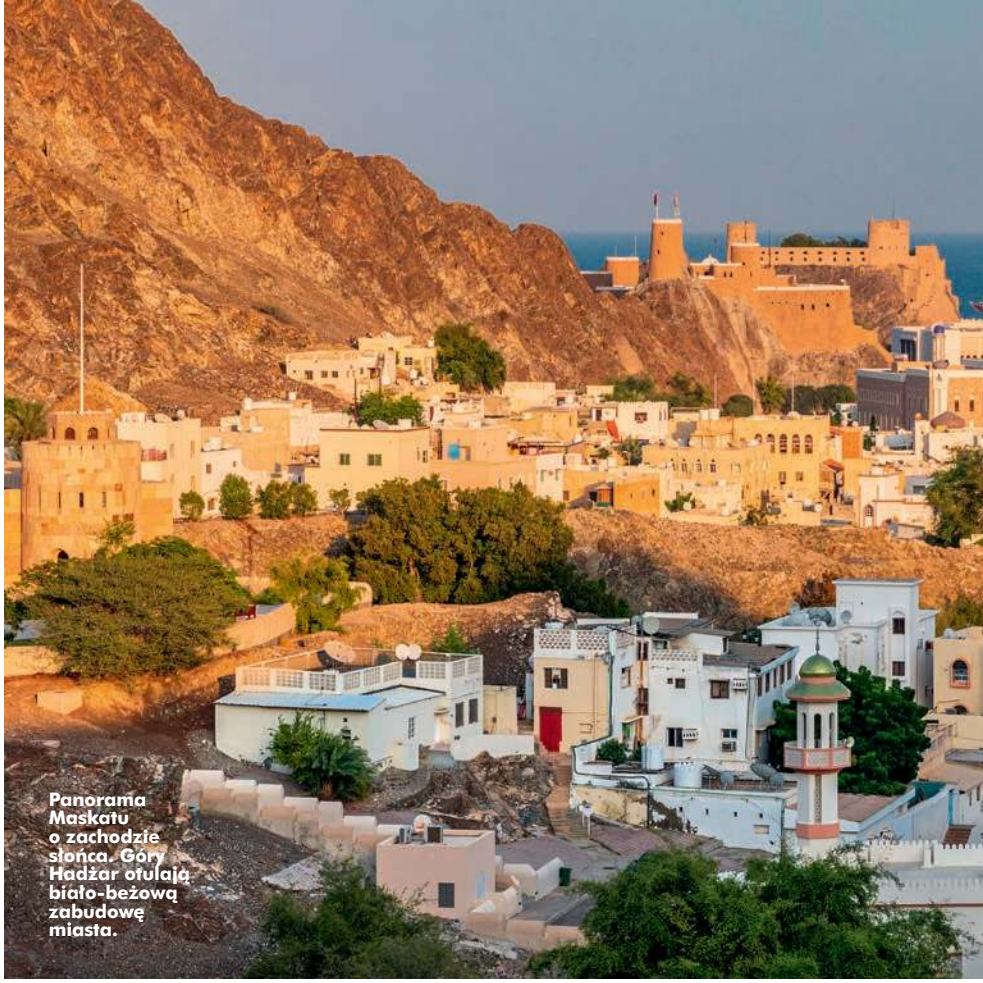

Panorama Maskatu o zachodzie słońca. Góry Hadżar otulają biało-beżową zabudowę miasta.

W oazie Misfat al Abriyeen woda płynie starożytnym systemem faladż między zielonymi palmami, nawadniając tarasy i tworząc wyjątkowy krajobraz.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

SHUTTERSTOCK (3)

Omanu by nie było. Z Bahli ruszamy w stronę gór. Dojeżdżamy do Misfat Al Abriyeen. To wieś położona u podnóża pasma górskiego Al-Dżabal al-Achdar, której historia sięga trzystu lat wstecz. Szybko zaczynamy rozumieć, dlaczego krajobraz Misfat Al Abriyeen jest, jak czytamy w przewodniku, częstą ilustracją turystycznych folderów podróżniczych po Omanie. Kaskada wzniesionych z kamieni i gliny domów spada w dolinę, a otacza ją palmowy gaj. Zasłaniamy kolana, stosując się do konserwatywnych lokalnych obyczajów, i ruszamy na spacer wytyczonym szlakiem. Wiemy, że jesteśmy tu tylko gośćmi i staramy się respektować zasady. Idziemy wzdłuż faladżu, czyli kanału irygacyjnego. Woda płynie spokojnie w betonowym korycie, wzdłuż zbocza góry. Wszędzie rosną palmy, ich zieleń na tle piaskowych, skalnych gór wydaje się niemal absurdalna. System afladż (to liczba mnoga od słowa „faladż") stosowany jest w Omanie do dziś, przede wszystkim w pokrytym górami rejonie Al-Batina. Bez niego nie byłoby oaz i rosnących w nich palm daktylowych. Woda pochodząca z górskich źródeł prowadzona jest w dół dzięki sieci kanałów, niekiedy także podziemnych. Daje życie: można ją pić, można też obmywać się w niej przed modlitwą, a to w islamie niezwykle ważne. Można w końcu podlewać nią rośliny. Liczbę afladż w Omanie szacuje się na ponad 4 tys. Jedna czwarta nie jest już jednak czynna: źródła wyschły. W 2006 r. UNESCO wpisało system afladż na listę światowego dziedzictwa, podkreślając, że bez niego zasiedlenie wielu pustynnych i górskich obszarów północnego Omanu nie byłoby możliwe.

SOCZYSTA ZIELEŃ PUSTYNI

W poszukiwaniu wody jedziemy wzdłuż wybrzeża na południowy wschód. Linia brzegowa Omanu liczy ponad 3 tys. km i oferuje plaże zarówno skaliste, jak i piaszczyste. To kusząca propozycja, z której zresztą w końcu skorzystamy. Tym razem nie interesuje nas jednak morze, tylko góry, a właściwie górska dolina Wadi asz-Szabb i znajdujące się w niej zbiorniki wypełnione szmaragdową wodą. Niecałe dwie godziny od wyjazdu z Maskatu wysiadamy z auta na parkingu pod Wadi asz-Szabb. Wita nas całe stado kóz: małych, dużych, białych, brązowych i czarnych. Niektóre wskakują na maski samochodów, inne, ku uciesze turystów, wciskają się do otwartych bagażników. Podobno zdarza się, że podgryzają tapicerkę, co w przypadku wypożyczonych samochodów może rodzić pewne problemy. Przepływamy łódką na drugi brzeg i zaczynamy trekking. Droga nie jest prosta: żeby dojść do pierwszego zbiornika, w którym można pływać, trzeba pokonać wiele skał, pojedyncze strumienie. Dobre buty są tu niezbędne. Trzeba też zachować ostrożność, w niektórych miejscach skały są bardzo śliskie, szczególnie po deszczu. Idziemy wzdłuż faladżu coraz wyżej i wyżej. Po drodze mijamy kilka zbiorników. Kąpiel w tych położonych niżej jest zakazana, stanowią one źródło wody pitnej dla mieszkańców okolicznych wsi. Po niecałej godzinie trekkingu docieramy na miejsce. Przed nami pośród piaskowych skał ukazuje się coś w rodzaju stawu. Kolor wody oszałamia, a jej temperatura przynosi ulgę po wędrówce. Wadi asz-Szabb jest najpopularniejszym wadi, czyli górską doliną z okresowymi lub stałymi zbiornikami wodnymi w całym Omanie. Uchodzi za najpiękniejsze i jest jednocześnie stosunkowo łatwo dostępne. A w nas znów budzi poczucie absurdu, które towarzyszyło nam już we wsi Misfat Al Abriyeen: nagle wśród skalistych, piaskowych gór spotykamy wodę, cień i bujną soczystą zieleń. Czego więcej można by chcieć od państwa wykrojonego z pustyni? ■

eprasa.pl 9d6ea83e6a

TEKST **JOANNA LAMPARSKA**

JORDANIA

PETRA I DŻARASZ TO NIESAMOWITE HISTORIE I SPEKTAKULARNE WIDOKI.

Al-Chazna nazywana przez Beduinów Skarbcem Faraona to najważniejszy zabytek Petry.

eprasa.pl/9d6ea83e6a

Gdy planowałam samotny, choć lepiej napisać „w pojedynkę", wyjazd do Jordanii, koleżanki łapały się za głowę. „Sama?", „A jak coś się stanie?". Ale co może się stać? Jordania to bezpieczny kraj do podróżowania – tłumaczyłam cierpliwie. „A nie będzie ci smutno?". Tego akurat nie wiedziałam. Kocham historię i zabytki, pomyślałam więc, że chcę się nacieszyć nimi na swój sposób, bez kompromisu. Po przestudiowaniu mapy zdecydowałam, że podróż zacznę na południu, żeby jak najszybciej dotrzeć do Petry – wykutej w skałach stolicy Nabatejczyków, a potem do biblijnego Dżaraszu na północy. Te dwa miejsca najbardziej działały mi na wyobraźnię. Poza tym kto nie zna słynnej świątyni z *Poszukiwaczy zaginionej arki*? Zdjęcia do filmu były kręcone właśnie w Petrze. Atrakcje Jordanii są jednak jak samotne wyspy. Rozrzucone po całym kraju, dzielą je spore odległości, musiałam więc popracować nad logistyką i poświęcić więcej czasu na przemieszczanie się. Petrę dzieli od Dżaraszu 280 km, z lotniska w Ammanie miałam do Petry dodatkowe 130 km. Może to niewiele w kraju pokrytym siecią autostrad, ale w Jordanii to mogło potrwać chwilę dłużej.

W okolicach Petry warto zobaczyć bardzo ciekawe stanowisko archeologiczne Siq al-Barid. Zwiedzanie jest bezpłatne.

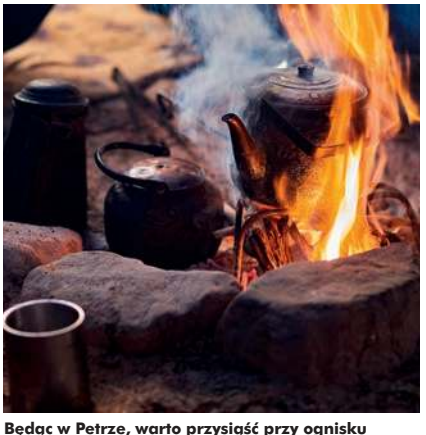

Będąc w Petrze, warto przysiąść przy ognisku z Beduinami. Serwowana przez nich herbata prosto z ognia to doświadczenie, które będziecie pamiętać.

SAMOCHODEM W STRONĘ PETRY

Wylądowałam w Akabie, nad Morzem Czerwonym, i tu postanowiłam spędzić pierwszą noc. Nad ranem świeży humus, baba ghanoush – pieczony bakłażan zmiksowany z innymi warzywami, i sałatka tabbouleh. Nareszcie poczułam, że jestem w odmiennej strefie kulinarnej, ale też w kraju, w którym, podobnie jak na talerzu, w gościnności nie ma żadnych ograniczeń. – Załatwimy ci samochód do Petry – obiecał młody recepcjonista. – Będzie tanio, dojedziesz bez problemu. Nawet nie musiałam się targować, cena była przystępna, okazało się, że w moim hotelu śpi też para z Pragi, szybko dogadaliśmy się, że pojedziemy wspólnie, dzieląc koszty. Nad ranem samochód należący do skomplikowanej struktury rodzinnej – uwaga, brata kuzyna kolegi mojego recepcjonisty – czekał pod drzwiami. Po dwóch godzinach byłam w Wadi Musa, skąd wyrusza się do Petry. Wcześniej długo szukałam zakwaterowania. Znalazłam w końcu pensjonat z widokiem na całe miasteczko. Rocky Mountain Hotel jest rodzinnym hotelikiem z tradycyjnym wystrojem, dla mnie najważniejsze było jednak to, że oferowali bezpłatny dojazd do bram Petry. Wczesnym rankiem następnego dnia stanęłam w końcu przed wejściem do jednego z najbardziej tajemniczych i najpiękniejszych miejsc na Ziemi. Od reszty świata oddziela je kasa biletowa w nowoczesnej informacji turystycznej.

TYSIĄC I JEDEN PIRATÓW Z KARAIBÓW

Upał był niemożliwy. Na drodze kłębił się tłum Beduinów. Wszyscy mieli oczy podkreślone henną, która chroni śluzówki przed piaskiem, na głowach nosili identycznie zawiązane chusty. Od czasów premiery *Piratów z Karaibów* trwa spór, czy to Johnny Depp podkradł beduińską stylówkę, czy też Beduini z Petry zapatrzyli się w Jacka Sparrowa. To jednak nieistotne, gdy tysiąc i jeden Jacków Sparrowów otacza cię w tej samej chwili, oferując swoje usługi. – *Take a horse, lady, take a horse! It's free* – namawiali. Inny Sparrow proponował mały powozik. Zza tego drugiego wynurzył się trzeci – z ofertą samego siebie w roli przewodnika. Wszystko „za darmo". Jedyne, co mogłam zrobić, to uśmiechnąć się szeroko i grzecznie podziękować. Nie narzucali się, byli uprzejmi, choć stanowczy. Już po drugim „dziękuję" dawali spokój. Wolałam przejść Petrę na piechotę, zostać w niej cały dzień, tak żeby się nią nacieszyć i usłyszeć, o czym mówią kamienie. Miasto wykute w piaskowcu odkrył przechodzień. W 1812 r. 28-letni szwajcarski orientalista Johann Ludwig Burckhardt wybrał się z Damaszku do Kairu. W Afryce miał szukać źródeł Nigru. Długo przygotowywał się do tej podróży. Studiował arabski, w Syrii poznawał miejscowe zwyczaje, przeszedł w końcu na islam. Bliski Wschód przemierzał w stroju Beduina. Teren dzisiejszej Jordanii, pustynny i spalony słońcem, nie obiecywał wielu niespodzianek, ale kiedy Johann usłyszał od tubylców, że w okolicy kryje się skalne miasto, zapłacił, żeby je zobaczyć. Kilka godzin później szedł blisko półtorakilometrowym wąskim wąwozem, którego ściany osiągały miejscami ponad 200 m. Na jego końcu

ADOBE STOCK, GETTYIMAGES (2), SHUTTERSTOCK, POPRZEDSTRONY ADOBESTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

W Jordanii powszechnym strojem kobiety jest zakrywający włosy hidżab. Ale już zakrywanie twarzy jest rzadkością.

Prowadzący do Petry wąwóz Al-Sią liczy sobie 1,2 km, a jego ściany momentami mają wysokość 100 m!

Starożytny amfiteatr w Petrze powstał w I w. Mógł wówczas pomieścić 6–8 tys. widzów.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

JORDANIA
PETRA, DŻARASZ

Petra określana jest mianem Doliny Różowych Skał. O wschodzie i zachodzie słońca skały nabierają jeszcze piękniejszego odcienia.

epresa.pl 9d6ea83e0a

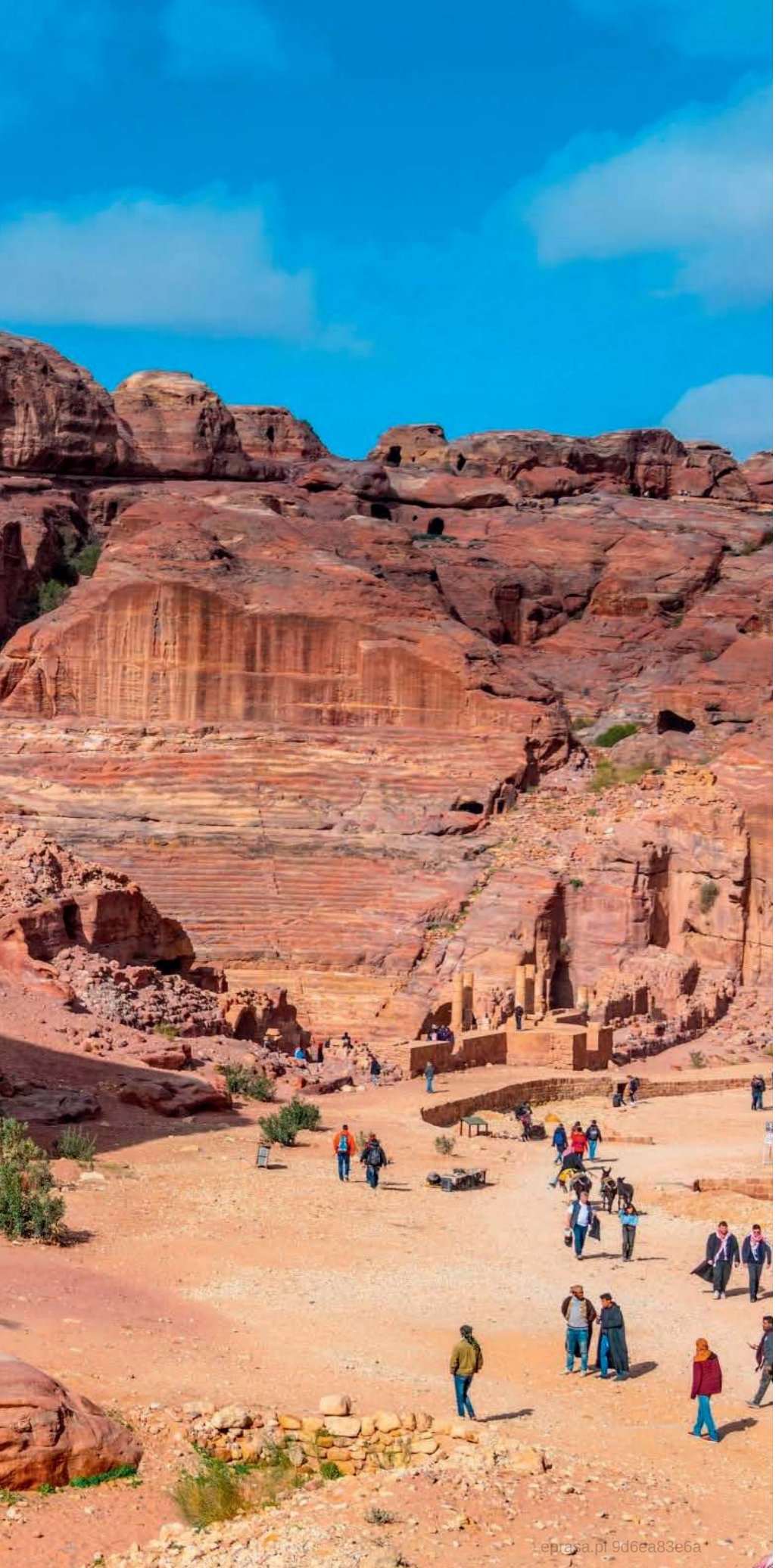

SHUTTERSTOCK

Szwajcar zobaczył ósmy cud świata. To świątynia Al-Chazna, która zagrała potem w przygodach Indiany Jonesa.

KAWA W CIENIU SKAŁY

Petra to po prostu „skała". Wąwóz Al-Siq, wielobarwny i tajemniczy, wiódł mnie do bajkowego świata. Moment, w którym droga się skończyła i zobaczyłam Al-Chaznę, był absolutnie magiczny. Jej wykuta w różowym piaskowcu fasada ma wysokość ponad 40 m i szerokość 25 m. Pod świątynią zwaną również Skarbcem Faraona działa bar na świeżym powietrzu, zamówiłam więc kawę, żeby uważniej przyjrzeć się tej niesamowitej fasadzie budowli. Tak naprawdę to grobowiec – w Petrze jest ich znacznie więcej, wszystkie monumentalne, zatopione w piaskowcowych zboczach. Są pozostałością po stolicy Nabatejczyków, beduińskich plemion, które bogaciły się dzięki pobliskiemu szlakowi handlowemu. Miasto rozłożyło się na powierzchni 260 km² i rozkwitło w III w. p.n.e. Petra szybko stała się przedmiotem pożądania innych władców, a rozliczne kontakty z ówczesnym światem do dzisiaj widać w architekturze miasta. Tu się nie tylko żyło z pompą, ale tak też umierało. Pośmiertny dom był równie ważny jak ten doczesny. Po kawie ruszyłam „główną ulicą", mijając kolejne fasady. Wszędzie było pełno ludzi fotografujących w szale zachwytu. Skręciłam w prawo, żeby minąć Dolinę Grobowców, wielkich budowli, w których chowani byli nabatejscy arystokraci i królowe. Za nimi znalazłam schody, tysiące schodów, niemalże pustych, dotarłam nimi na taras, z którego mogłam podziwiać amfiteatr. Podobno mieściło się w nim do 8 tys. ludzi. Dalej czekała już największa niespodzianka. Beduiński namiot, z którego można zrobić zdjęcie świątyni z Indiany Jonesa niemal z lotu ptaka. Fotografowanie jest bezpłatne, ale kawę musiałam kupić. To rodzaj biletu.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Owalne Forum i główna ulica Cardo Maximus to pozostałości dawnej rzymskiej Gerazy. Dziś to jordański Dżarasz.

WEHIKUŁ CZASU

Zmęczona marszem w słońcu usiadłam na czerwonym dywaniku tuż nad Al-Chazną. Musiałam naładować baterie przed zejściem na dół. Upał zrobił swoje. Z namiotu widziałam ludzi kłębiących się na dole. Być może Petra tak właśnie wyglądała 24 wieki temu? Poleciałam sobie na chwilę w tamte czasy i był to jeden z najbardziej magicznych momentów w całej podróży. Zeszłam w dół tą samą drogą, żeby dotrzeć do Basin Restaurant. To oaza dla tych, którzy kończą wyprawę, obejrzawszy główne atrakcje, ale przystanek dla mnie, bo zamierzałam iść dalej. Wybrałam kilka lokalnych przysmaków ze szwedzkiego bufetu i zamówiłam kieliszek zimnego białego wina. Te kilka chwil odpoczynku w cieniu było prawdziwą ulgą.
W przewodnikach często pojawiają się informacje, że Petrę można zwiedzić w jeden dzień. Można, ale po co? Wielowarstwowej historii tego miasta i jego zagadkom należy się znacznie więcej czasu. Po lunchu zaczęłam więc dalszą wędrówkę. Pełną kolejnych schodów i kamieni, cały czas w górę. Po godzinie stanęłam przed klasztorem Al-Dair. Jego dwukondygnacyjna fasada ma 47 m wysokości i 48,3 m szerokości i jest największą w Petrze. Nie wiadomo, kiedy powstała ta budowla, być może była grobowcem, może świątynią. Kontemplując jej piękno, pomyślałam o tym, że trudno się dziwić Herodowi czy Kleopatrze, że chcieli mieć to miasto dla siebie. Petra najpiękniejsza okazała się wieczorem. Wtedy zachodzące słońce oświetla monumentalne królewskie grobowce i wszystko dookoła robi się złote. Wracałam powoli, wyprzedzały mnie bryczki ze zmęczonymi turystami i Beduini na koniach. Warto było zostać do tej pory. Następnego dnia powtórzyłam całą trasę. Patrzyłam na to samo, ale widziałam to już inaczej.

W DRODZE NA PÓŁNOC

Kilkadziesiąt godzin później zmierzałam na północ. Poranny autobus zabrał mnie do Ammanu. Tam złapałam taksówkę do kolejnego antycznego miasta, Dżaraszu, biblijnej Gerazy. Było popołudnie, więc światło zrobiło się miękkie, a ja znowu przeniosłam się w czasie. Dosłownie. Wkroczyłam do prawdziwego rzymskiego miasta, szłam wzdłuż kolumnady ulicą, na której zostały wgłębienia po kołach rydwanów. Czułam się jak w grze komputerowej, wszystko było takie realne, a równocześnie ulotne. Dżarasz założył prawdopodobnie Aleksander Wielki, choć mógł to zrobić również jego generał Perdikkas. W 63 r. p.n.e. miasto zajął Pompejusz i przez kolejne wieki metropolia znajdowała się pod panowaniem Rzymu. To właśnie wtedy Jezus uzdrowił tu w spektakularny sposób opętanego. Złe duchy opuściły mężczyznę, na chwilę zamieszkały w świniach pasących się w pobliżu. Świnie zaś rzuciły się do jeziora i utonęły. Potem Geraza była częścią Bizancjum, aż podbili ją Arabowie. W 749 r. ziemia się zatrzęsła i miasto legło w ruinach. Ale jakie to ruiny! – Czy mogę ci zająć chwilę czasu? – na takie pytanie nie byłam przygotowana. Młody mężczyzna trzymający w dłoniach duży notatnik zaskoczył mnie. – Jestem absolwentem archeologii, chętnie posłużę jako przewodnik. Nazywam się Karim. Podróżujesz sama? W pierwszym odruchu chciałam podziękować, ale po chwili pomyślałam: czemu nie? I tak Karim poprowadził mnie przez starożytność. „Weszliśmy" do świątyni Artemidy, patronki miasta, przeszliśmy przez odrestaurowany łuk Hadriana – zwycięzcy Nabatejczyków, żeby potem wspiąć się do świątyni Zeusa, skąd roztacza się panorama Dżaraszu. Dopiero z góry to wszystko robi wrażenie, szczególnie dwa teatry i forum otoczone kolumnami. Nie trzeba mieć wielkiej wyobraźni, żeby zobaczyć to miasto w czasach świetności. Szliśmy również przez chrześcijańskie kościoły, żeby nagle przeskoczyć do czasów, gdy miasto zajęli Sasanidzi i na arenie grali w polo. Geraza leżała na rubieżach rzymskiego imperium, ale podobnie jak w stolicy Nabatejczyków biegły tędy najważniejsze szlaki handlowe. Jechały karawany z przyprawami, bawełną i kamieniami szlachetnymi, a kupcy przystawali, żeby odpocząć, napić się wybornego wina i naładować baterie. Wieczorem Karim pomógł mi zamówić taksówkę. Bezpiecznie dotarłam do hotelu i na poranny lot. Pijąc pokładową kawę, która nijak się miała do tej z Petry, myślałam o tym, że czasami warto przeżyć coś zupełnie samemu, a potem zadziwić tym nieufne przyjaciółki. ■

GETTYIMAGES, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Słynna kamienna droga do Ad-Dajr w Petrze liczy sobie ponad 800 stopni wykutych w piaskowcu.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

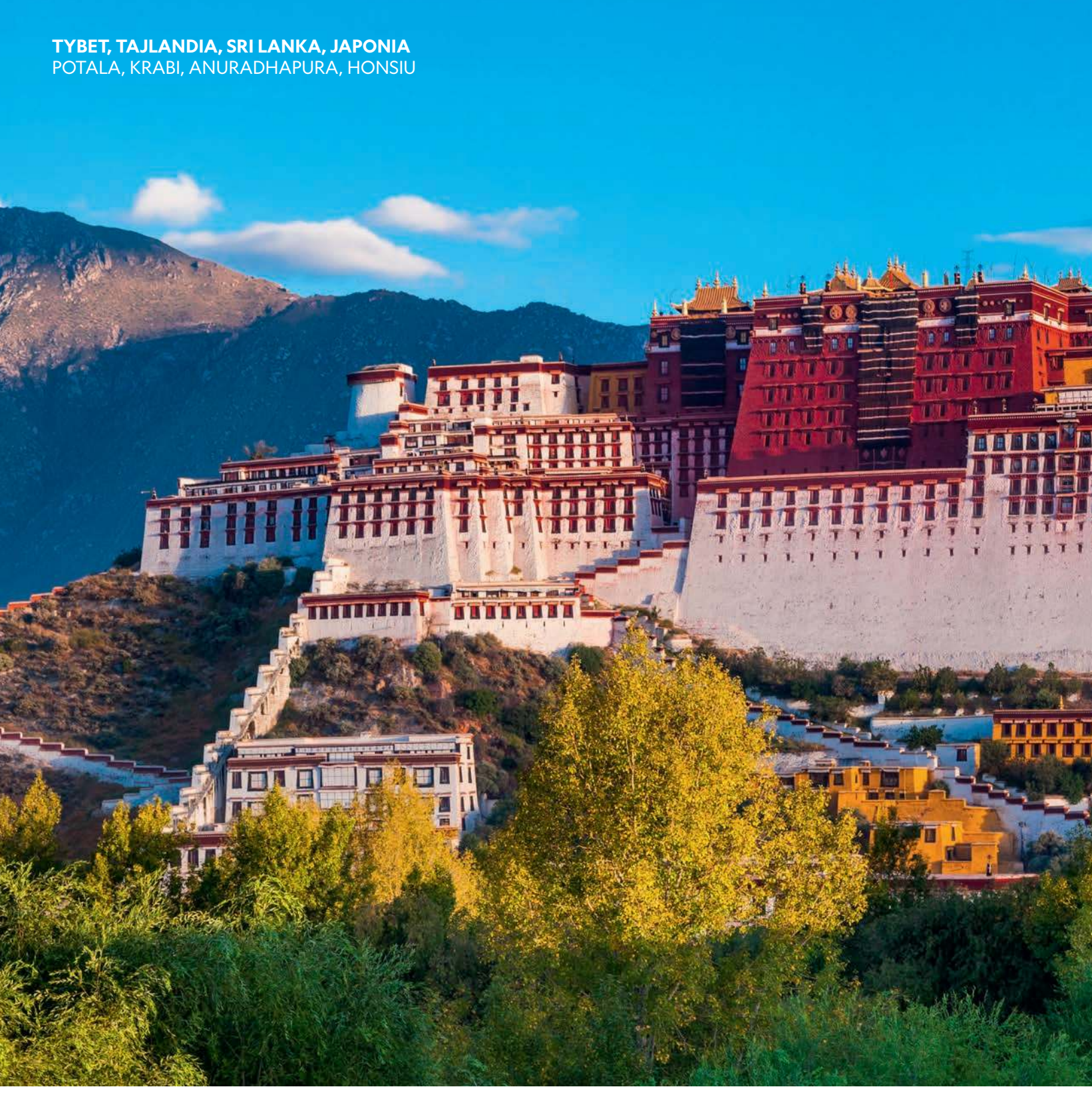

PAŁAC POTALA

TYBET, LHASA

Rezydencja dalajlamów – duchowych i politycznych przywódców Tybetu – jest jednym z najważniejszych symboli narodu żyjącego na wysokogórskim płaskowyżu. A także centrum buddyzmu tybetańskiego zwanego czasem lamaizmem. Pałac Potala powstał na miejscu ruin po VII-wiecznym poprzedniku, po tym jak jego budowę w 1645 r. zlecił V Dalajlama. Gdy trwające ponad 50 lat prace w centralnej części Lhasy, na zboczu Góry Czerwonej, dobiegły końca, oczom wiernych ukazał się prawdziwy

eprasa.pl 9d6ea83e6a

Pałac Potala w Lhasie znajduje się na Czerwonej Górze (Marpo Ri) na wysokości ok. 3700 m n.p.m.

ADOBE STOCK

cud świata. Imponująca budowla składająca się z dwóch części – Białej i Czerwonej, u której stóp rozpościera się stolica Tybetu, ma długość 400 m i wysokość 115 m. Czerwoną i białą fasadę wieńczą złote dachy, a wnętrza kryją ponad 200 tys. rzeźb i posągów, 10 tys. ołtarzy i niezliczoną ilość malowideł. Do 1959 r., gdy po krwawo stłumionym powstaniu XIV Dalajlama przeniósł się do Dharamsali w Indiach, pałac był siedzibą tybetańskich władz, a także czynnym klasztorem. W pałacu Czerwonym znajdowały się biblioteki, sale medytacji oraz kaplice. Dziś, choć pałac Potala pełni już tylko funkcję muzeum, dla wielu Tybetańczyków wciąż jest dziełem i siedzibą bogów.

eprasa.pl 9d6ea83e6a

WAT THAM SUEA

TAJLANDIA, KRABI

Czyli: Świątynia Tygrysiej Jaskini. Mnich Jumnean Seelasettho, który podczas odosobnienia w pobliskiej grocie oddawał się medytacji, ujrzał przechadzające się nieopodal tygrysy. Na ścianach wciąż widoczne są jakoby ślady po ich pazurach. Choć powstała stosunkowo niedawno, bo w 1975 r., szybko stała się miejscem pielgrzymek wyznawców buddyzmu, a jej sława wykroczyła poza granice Tajlandii. Dziś jest to centrum praktyk medytacyjnych. Szeroki dziedziniec zajmują budynki, a mnisi wciąż żyją w jaskiniach, które znajdują się u stóp wzgórza. Na jego szczyt prowadzi stroma droga. Jej przejście wymaga wysiłku. Do pokonania jest aż 1260 stopni, z których część ma nawet 30 cm wysokości. Gościom towarzyszą wścibskie małpy. Na tych, którzy przełamią strach i zmęczenie, na wysokości 278 m n.p.m. czeka nagroda – błyszcząca w słońcu statua siedzącego na kwiecie lotosu Buddy ze złota, a także zapierający dech w piersi widok. Na zielone lasy tropikalne, górskie szczyty oraz lśniącą taflę Morza Andamańskiego i cieśniny Malakka.

JAYA SRI MAHA BODHI

SRI LANKA, ANURADHAPURA

2,6 tys. lat temu Siddhartha Gautama, znany jako Budda Siakjamuni, osiągnął oświecenie i zrozumiał naturę rzeczy, medytując przez 49 dni pod drzewem Bodhi. W 236 r. za sprawą Sanghamitty, córki króla Ašoki i buddyjskiej mniszki, na Sri Lankę trafiła południowa gałąź tego drzewa. Posadzona została przez króla Devanampiya Tissa w 288 r. w parku w mieście Anuradhapura. Wyrosło z niej Jaya Sri Maha Bodhi, które uznaje się dziś za najstarsze posadzone przez człowieka i opisane drzewo na świecie. Dla buddystów jest to tym ważniejsze, że oryginalne drzewo Siddharthy w Bodh Gaja w Indiach zostało zniszczone. Figowiec pagodowy wyrastający teraz na tarasie kilka metrów nad poziomem ulicy w ogrodzie Mahamewnāwa w Anuradhapurze przetrwał wszystko. Od dawna też jest celem dla milionów pielgrzymów, którzy co roku odwiedzają Jaya Sri Maha Bodhi, by poczuć bliskość z Buddą.

IZUMO-TAISHA

JAPONIA, HONSIU

W prefekturze Shimane na wyspie Honsiu znajduje się jeden z najważniejszych chramów szintoistycznych w Japonii. Izumo--taisha – zwany też Izumo-ōyashiro. Przybywają tu pielgrzymi z całego kraju. Chram zamieszkuje Ōkuninushi, bóg ziemi, opiekun państwowości i rolników, jedna z centralnych postaci japońskiego panteonu, który za swoje zasługi otrzymał to miejsce od potężnej bogini słońca Amaterasu Ōmikami. Zgodnie ze starożytnym zwyczajem pawilony chramu rozbierane są i budowane na nowo co 60 lub 70 lat. Japończycy wierzą, że podczas 10. miesiąca kalendarza lunarnego wszystkie bóstwa kami z całego archipelagu opuszczają swoje siedziby i spotykają się w Izumo-taishy na dorocznych obradach. Tam uzgadniają szczegóły dotyczące kolejnych urodzin, zgonów i małżeństw. Z tego powodu 10. miesiąc roku zwany jest kannazuki – „miesiącem bez bóstw", a w okolicy chramu: kamiarizuki – „miesiącem z bóstwami". W Izumo odbywa się wtedy uroczysty festiwal (*mg*).

ADOBE STOCK, SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 9d6ea83e6a

JUŻ W SPRZEDAŻY!

Kup prenumeratę online

www.national-geographic.pl

natgeopl

eprasa.pl 9d6ea83e6a

ITAKA

Nowość!

WIETNAM

DOŚWIADCZ PONADCZASOWEGO PIĘKNA

bezpośrednio Dreamlinerem

O! ZIMA 25/26

WWW.ITAKA.PL

eprasa.pl 9d6ea83e6a